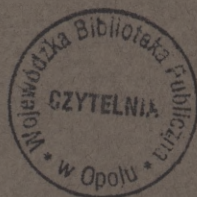


DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia



N6

MIESIĘCZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

ROK 1935

ROK XIV

Nr. 6

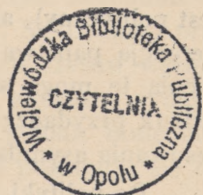
T R E Ś Ć

Adolf M. Bocheński: Polityczne oblicze asymilacji narodowej	489
Aleksander Hertz: Legenda o wiekach minionych	509
Stefan Napierski: Dwie książki Czechowicza	521
Stefan Flukowski: Krok	527
Kazimierz Sowiński: Zwycięstwo Gustawa Ferensena	529
Stanisław Rogowski: Przedświt	546
Emil Bobrowski: Sprawa Stanisława Brzozowskiego. Akta Sądu Obywatelskiego (V)	547
Z ŻYCIA ZAGRANICY. Jubileuszowy rok „Timesa“ (T. Grzebieńlowski)	565
SZTUKA. Szesnaście lat polskiej architektury (Alfred Lauterbach). — Wystawy w Instytucie Propagandy Sztuki (K. Winkler)	570
KSIĄŻKI. Pola Gojawieczyńska: Dziewczęta z Nowolipek (Wacław Kubacki). — Jalu Kurek: Grypa szaleje w Naprawie (Kazimierz Wyka). — Pamiętniki chłopów (A. H.)	578

C E N A N U M E R U Z Ł. 2.—

DROGA Nr. 6

Kolekcja
Emila Kornasia



ADOLF M. BOCHEŃSKI

POLITYCZNE OBLCICZE ASYMILACJI NARODOWEJ

I. ASYMILACJA I POLITYKA. Problem asymilacji narodowej, zaniku i powstawania narodów, zalicza się bezwątpienia do najbardziej skomplikowanych. Literatura, dotycząca przedmiotu, jest dziś już tak obfita, że trudno marzyć o możliwości poszczycenia się jej zupełnem opanowaniem; stąd — niepodobieństwo wyczerpania przedmiotu, a w pewnej mierze i przyniesienia czegoś nowego. Do zabierania głosu w tej sprawie skłania przede wszystkim zapał rozmaitych pokątnych publicystów do częstowania czytelników poglądami podawanymi jako aksjomaty, a opierającymi się zazwyczaj — *risibile dictu* — na jakichś „osobistych spostrzeżeniach”. Pewien wybitny filozof powiedział, że myśliciele istnieją po to, by bronić ludzkość przed pseudo-myślicielami. Nie wysuwając pretensji do myślicielstwa, chętnie stajemy w szranki z pseudomyślicielstwem.

Zagadnienie asymilacji narodowej można ujmować z rozmaitych punktów widzenia. Można zastanawiać się np. nad wpływem poziomu kulturalnego ludności asymilującej na szybkość procesu. Można próbować tworzenia stałej zależności między liczbą mniejszości i jej zwartością geograficzną a przebiegiem asymilacji. Wszystkie te zagadnienia są niewątpliwie nadzwyczaj ciekawe i pouczające; narazie jednak pozostawimy je na boku i zajmujemy się asymilacją z punktu widzenia politycznego, t. zn. w związku ze stanowiskiem państwa. Niepodobna bowiem wyobrazić sobie zagadnienia politycznego, nie związanego najściślej z państwem. Program polityczny polegać może albo na dążeniu do zmian w ustawodawstwie państwowem, albo w administracji państwowej — bądź to przez zmiany w jej składzie, bądź

też w jej postępowaniu. Wszystko, co nie ma związku z wyżej wymienionymi dziedzinami, nie należy do polityki, a co za tem idzie — i do literatury politycznej. Jeśli np. mówi się o ograniczeniu Żydów w dziedzinie handlu, to można wyobrazić sobie realizację tego albo drogą zmiany ustawodawstwa państwowego czy postępowania administracji (w tym wypadku program jest polityczny), albo też drogą jakiejś akcji, nie mającej nic wspólnego z ingerencją państwa (w tym wypadku program nie jest polityczny). Rozróżnienia te mogą się wydawać niepotrzebną scholastyką. W rzeczywistości jednak przydadzą się nam one bardzo dla ograniczenia pola naszego zainteresowania asymilacją narodową.

Do polityki w tej dziedzinie należy tylko możność wpływu państwa na zmiany, zachodzące w składzie narodowościowym jego obywateli. Całe zagadnienie asymilacji ujęte z punktu widzenia politycznego mieści się w zdaniu: „wpływ państwa na procesy asymilacyjne“. Do wyjaśnienia tego wpływu będziemy się też starali nieco zbliżyć. Zanim jednak przejdziemy do rzeczy właściwej, parę słów jeszcze poświęcić musimy zasadniczemu rozróżnieniu.

Adam Krzyżanowski w zakończeniu swej klasycznej *Pauperyzacji* podzielił ludzi na trzy kategorie: tych, którzy umieją korzystać z doświadczeń minionych pokoleń, tych, którzy umieją korzystać tylko ze swoich doświadczeń, i wreszcie tych, którzy wogóle z żadnych doświadczeń korzystać nie umieją. Otóż w naszej sprawie trudność zdaje się polegać przede wszystkim na tem, iż doświadczenia dawniejsze pozostają pozornie w pewnej sprzeczności z temi, które przynosi nam bliższa epoka. O ile bowiem zmiany w składzie narodowościowym znacznych prowincyj były niegdyś na porządku dziennym i wpływ państwa na nie był niewątpliwie bardzo znaczny, o tyle mniej więcej od połowy XVIII w. obserwujemy tu zasadniczą zmianę. Z całą pewnością utrzymywać można, że od tego czasu większe zmiany narodowościowe przestają być dokonywane pod wpływem państwa i wogóle ulegają znacznemu zwolnieniu. Stąd — analizę tych zagadnień będziemy musieli dzielić na część, odnoszącą się do przeszłości, do teraźniejszości, oraz na wyjaśnienie zmian, zaszłych w międzyczasie.

Jest jeszcze druga podstawowa dystynkcja, którą tu należy przeprowadzić. Mówiąc o zmianach składów narodowościowych państw, można mieć na myśli dwie rzeczy, zasadniczo od siebie różne: z jednej strony — zupełny zanik świadomości narodowej grupy mniejszościowej i przejście jej, z rozwiniętymi niejako sztandarami, do narodowości państwowej; jest to proces, który zaszedł we Francji np. odnośnie do szczepu prowansalskiego, w Polsce odnośnie do szczepu kaszubskiego. Najwybitniejszy bodaj publicysta młodego nacjonalizmu polskiego, p. J. Giertych, pragnąłby właśnie

takiej asymilacji naszych mniejszości wschodnich. Z drugiej zaś strony — do przedmiotu naszego należy także dążenie państwa, drogą konsekwentnej polityki, do zmiany odsetku narodowościowego danej prowincji, do zmniejszenia procentu mniejszości, zwiększenia liczby reprezentantów narodowości państwowej. Narodowość mniejszościowa w tym wypadku nie zanika, tylko pewien jej odsetek wynaradawia się. Prof. St. Grabski pragnąłby zastosowania tego typu polityki odnośnie do naszych kresów wschodnich. Różnica między obu typami polityki asymilacyjnej może się wydawać raczej natury ilościowej, niż jakościowej. Nie jest to jednak mniemanie słuszne — zważywszy olbrzymią różnicę metod, któreimi posługują się oba programy. Uzmysłowi to najlepiej porównanie między asymilacją narodu szkockiego przez angielski, a pozbyciem się Greków z Azji Mniejszej przez rząd turecki. Drugi program asymilacyjny posługuje się przedewszystkiem kolonizacją i eksterminacją ekonomiczną ludności mniejszościowej, pierwszy — wytwarzaniem tradycji, łączących obie narodowości, i hamowaniem swobodnego rozwoju kultury narodowej mniejszości. W poniższych wywodach kolejno zajmować się będziemy obu formami programów asymilacyjnych.

II. POWSTAWANIE I ZANIKANIE NARODÓW. Autorzy z najróżnorodniejszych obozów politycznych (żeby choć wymienić Dmowskiego — z jednej, a Mackiewicza — z drugiej strony) zgadzają się na nadzwyczaj niegdyś silny wpływ państwowości na kształtowanie się świadomości narodowej. Niektórzy idą nawet tak daleko, że genezę narodów upatrują wogóle w organizacjach państwowych. Jest to oczywista przesada, z czego łatwo sobie zdać sprawę, wziąwszy pod uwagę takie narody, jak grecki lub włoski, które właściwie nigdy nie były objęte jednym własnym państwem narodowym. A przecież są to narody, których dzieje leżą u podstaw całej współczesnej świadomości narodowej. Jednak z całym naciskiem należy podkreślić, iż przebywanie w ramach jednego organizmu państwowego i wynikające stąd tradycje nadzwyczaj często przyczyniały się do wytworzenia nowych świadomości narodowych, lub do zaniku jednych na rzecz drugich. Wymieńmy tu chociażby takie narody, jak francuski lub szwajcarski. W okresach dziejowych, w których mniemanie, że naród taki jaki jest, bez zmiany swej istoty, powinien dążyć do jaknajwiększej potęgi politycznej — było znacznie słabsze niż dziś; innemi słowy: były okresy, w których nacjonalizm był o wiele słabszy niż dziś, przebywanie paru narodów w obrębie jednego państwa i wywodząca się stąd absorbcja jednego przez drugi nie budziła nieprzyjemnych wspomnień dziejowych. Wręcz przeciwnie: stopniowo usuwała ona antagonizmy. Państwo ingerowało zresztą wówczas w te procesy i inną drogą — poza symbjozą polityczną dwu szczepów. Sprzyja-

nie np. panujących obcej kulturze zdobywało dla niej znaczne obszary, podczas gdy narody, tracące swą identyczność, nie widziały w zmianach nic groźnego, lub w każdym razie nadzwyczaj mało. Przykładem niech będzie tu germanizacja Śląska przez Piastów, lub Czech przez pierwszego Luksemburga.

Tak przedstawiała się sytuacja w odleglejszej przeszłości. Doświadczenia te działają na zwolenników prowadzenia i dziś polityki asymilacyjnej przez państwo. Zapominają oni jednak, iż zasięg wpływu państwa na procesy zmian narodowościowych zmniejszył się niebywale, poczynawszy od połowy XVIII w., czyli od czasu wzrostu ideologii nacjonalistycznych. Odtąd niepodobna już mówić o znacznym wpływie państw na zanikanie czy odrodzenie narodów. Nie znaczy to natomiast bynajmniej, by procesy asymilacyjne w niektórych wypadkach, w ciągu ostatnich wieków, nie posunęły się znacznie naprzód, podobnie jak znów w innych wypadkach uległy za-
trzymaniu, lub nawet zostały odrobione. Oczywiście: wypadki, w których narody napozór zupełnie już zasymilowane odzyskały swą świadomość, były stosunkowo o wiele częstsze. Wśród czytelników *Drogi* z całą pewnością nie znajdzie się taki, któryby nie potrafił jednym tchem wymienić dziesięciu takich narodów, jak: Katalończycy, Słowacy, Łużyczanie, Macedończycy, Białorusini, Finnowie, Estończycy, Łotysze, Litwini, Maltanowie i w. i. Z drugiej strony — zauważyć znów trzeba postęp w zjednoczeniu narodem Szkocji i Anglii, Bretanii i Francji, Kaszub i Polski, Ukrainy i Rusi zakarpackiej, i t. d. Słusznie też stwierdza p. Giertych, że jeśli zanik narodowości stał się w ostatnich wiekach o wiele rzadszy, jak niegdyś i jeżeli wiele szczepów odzyskało swą utraconą dawniej świadomość narodową, to nie można mówić o zupełnem zahamowaniu wszelkich samorzutnych procesów asymilacyjnych.

O czym można natomiast mówić, i to z całą stanowczością — to o zupełnym braku wpływu państwa na procesy zanikania, odradzania się czy wreszcie powstawania nowoczesnych narodowości. Prawie wszystkie odrodzone w ostatnich wiekach narody spotkały się z najsilniejszym przeciwdziałaniem ze strony państwa, które zamieszkiwały. Weźmy na przykład trzy na pierwszym miejscu wymienione narody — Katalończyków, Słowaków i Łużyczan: czy można sobie wyobrazić bardziej konsekwentne i bardziej energiczne wysiłki jak te, które państwo węgierskie obróciło na madyaryzację Słowaków, a państwo niemieckie — na germanizację Łużyczan? Jednak żywiołowe procesy odradzania się narodów zawsze brały górę nad wynaradawiającymi wysiłkami biurokracji państwowej. Nie wdajemy się tu w ocenę przyczyn odrodzenia takiej liczby narodowości nie posiadających własnego państwa; jest to temat zbyt wielki i zbyt skomplikowany. Jedno

jest dla nas pewne. Na zmiany w tym kierunku polityka państwowa nie była w stanie wpływać w sposób naprawdę wydatny. Tak silnego nacisku, jakiej wywierała biurokracja rosyjska na odradzającą się w ciągu XIX w. narodowość ukraińską, trudno sobie wogóle wyobrazić; doszedł on aż do zupełnego zakazu wydawania jakichkolwiek druków w języku ukraińskim. A jednak rezultaty tego nacisku były równie znikome, jak i w innych wypadkach. Naród ukraiński odrodził się i w latach 1917 — 1921 zmanifestował to z potężną siłą.

Bezsilność państwa wobec samorzutnych ruchów narodowych wyraziściej jeszcze malują dzieje narodów, które w ostatnich wiekach nie odzyskały swej świadomości. Zdarzało się mianowicie dość często, iż władza państwowa, zdając sobie sprawę z niemożności przerobienia mniejszości na swe własne narodowe kopyto, usiłowała rozbudzić wśród niej jakieś resztki dawnej świadomości narodowej, odrębnej od tej, do której mniejszość skłaniała się ostatnio. Tak np. władza państwowa niemiecka z podziwu godną wytrwałością dążyła do stworzenia specjalnej narodowości kaszubskiej, opartej na tradycji ksiąg pomorskich oraz na języku kaszubskim. Mimo jednak dużej metodyczności i wysiłku, akcja ta nie została uwieńczona powodzeniem — i to pomimo prądów w tym kierunku, istniejących wśród samych Kaszubów. Prądy te zostały pokonane wbrew państwu i Kaszubi ostatecznie stali się Polakami. Jeden z nielicznych szczepów o własnym języku, który w ciągu ostatniego wieku zlał się z innym narodem, uczynił to właśnie *wbrew woli państwa*. Bardzo podobny wynik miały mniej metodycznie przeprowadzane wysiłki w kierunku utworzenia narodowości morawiańskiej, czy alzackiej. Mówiło się dawniej często, że przyczyną odrodzenia narodu ukraińskiego w Galicji była polityka hr. Stadion; dziś mało kto bierze te bajeczki na serjo. Rola Stadion jest zresztą dla nas najlepszym argumentem. Naród ukraiński odrodził się w Galicji, a jednocześnie odrodził się w granicach imperjum rosyjskiego. O słabości znaczenia ingerencji państwa niech świadczy fakt, że odrodzenie nastąpiło i tu i tam, mimo że zwalczał je Bibikow a popierał Stadion. Można, oczywiście, snuć dowolne kombinacje na temat tego, co by się było stało, gdyby Aleksander III nie zabrał się do rusyfikacji niemieckiej kultury prowincyj bałtyckich; jednak zupełnie pewne jest, iż początki budzenia się świadomości narodowej Łotyszów datują się z przed tego okresu. Niedługo zresztą prawdopodobnie rozporządzać będziemy nowym arsenałem argumentów, zaczerpniętych z fiaska akcji Rzeczypospolitej w kierunku niedopuszczenia do powstania wspólnej świadomości narodowej na Huculszczyźnie, Łemkowszczyźnie i w Małopolsce Wschodniej.

Na powstawanie i zanikanie świadomości narodowych wpływa duża ilość czynników, których wymieniać tu nawet nie będziemy próbowali. Nie ulega wątpliwości, że do czynników tych zalicza się w pewnej mierze i ta czy inna polityka państwa. Ale jednocześnie doświadczenie dziejowe stwierdza, że czynnik ten jest jednym z najmniej ważnych w naszych czasach, żadną zaś miarą nie może być uznany za decydujący, gdyż prawie zawsze w ciągu ostatnich dwu wieków ewolucja narodowościowa szła w kierunku odwrotnym do tego, który wytyczyć mu chciała konsekwentna i nawet energiczna polityka państwa, żeby choć wymienić niemiecką. Gdybyśmy chcieli, naszym zwyczajem, ująć to zagadnienie w formę *quasi*-matematyczną, powiedzielibyśmy, że osłabienie wpływu państwa na przebieg procesów narodowościowych jest wprost proporcjonalne do reakcji, wywoływanej próbami przymusowej asymilacji. Jest to może nielogiczne, że narody buntują się dziś najsilniej przeciw tym wysiłkom, które właściwie nie są w stanie zmienić ich losu; jednak może właśnie w tym buncie leży tajemnica przyczyn niepowodzenia asymilacji. W wyżej wymienionej zasadzie mieści się w każdym razie jej potępienie. Próby asymilacyjne — bez wpływu na istotne procesy dziejowe — wywołują niesłychanie silną reakcję nienawiści mniejszości w stosunku do państwa.

Obecnie pozostaje nam zastanowienie się nad wyjaśnieniem empirycznych faktów dotąd zanotowanych. Przedewszystkiem nasuwa się związek między postępami liberalizmu politycznego, zaszłymi w ciągu XIX w., a zahamowaniem wpływu państwa na zmiany narodowościowe. W przeciwieństwie do stosunkowo łagodnych metod XIX w. dawniejsze okresy osiągałyby w tej dziedzinie o wiele skuteczniejsze rezultaty. Nawrót do haseł państwa totalnego oraz ogólna barbaryzacja życia politycznego otwierałaby asymilacji narodowej nowe perspektywy w tym kierunku; chodziłoby tu raczej o eksterminację, niż o asymilację — wyjaśnienie to jednak niezbyt nam odpowiada. Zadania antropologiczne wykazały bardzo słaby wpływ inwazyj historycznych na skład rasowy krajów europejskich. Pittard, wielki antropolog lozański, wyśmiewa się z ludzi, którzy zwiedzając Sycylię, rzekomo dostrzegają typy reprezentacyjne wszystkich inwazyj, które niegdyś nawiedzały ten kraj: Greków, Fenicjan, Arabów, Normanów i tylu innych. W rzeczywistości wszystkie te inwazje nie pozostawiły żadnych widocznych śladów antropologicznych. Świadczy to o stosunkowo małym zakresie stosowanych niegdyś eksterminacji. Z drugiej strony — pomimo liberalizmu XIX w., środki stosowane w kierunku wynaradawiającym w tym okresie były niekiedy bardzo bezwzględne, żeby choć wymienić stosunki irlandzkie, sposoby zaś działania państwa, ze względu na rozpowszechnienie się szkół i słowa drukowanego, o wiele potężniejsze niż dawniej. Nie przesądzać więc

pytania, czy wprowadzenie państwa totalnego nie zwiększy możliwości państwa w zakresie oddziaływania na zagadnienia narodowościowe — zasadniczy powód różnicy między w. XIX a okresami wcześniejszemi upatrujemy gdzieindziej — w ewolucji idei i ich wzajemnej sily.

Zauważyliśmy już, iż jedną z niewątpliwych przyczyn zahamowania ruchów asymilacyjnych, tak częstych w starożytności, jest wzrost natężenia poglądu, że ludzie tego samego języka i kultury narodowej powinni dążyć do możliwie największej potęgi właśnie tej grupy, złączonej wspólną kulturą. Opinie, że ludzie o tej samej kulturze narodowej powinni dążyć do maksymalnej potęgi politycznej, nazywamy potocznie nacjonalizmem. Pogląd ten w pewnej mierze przejawiał się zawsze; nawet w najodleglejszych okresach można mówić o jego występowaniu. Dziś natomiast przejawia natężenie o wiele większe w stosunku do innych idei, aczkolwiek znów byłoby znaczną przesadą twierdzenie, że jest jedyną wielką ideą, wpływającą na stosunki międzynarodowe. Solidarność ludzi o różnych kulturach narodowych wobec pewnych idei religijnych, ustrojowych czy społecznych i dziś staje często przeciwko idei nacjonalizmu integralnego. Natężenie tych norm etycznych, pretendujących do kierowania życiem ludzkim, zmienia się jednak z dziesięciolecia na dziesięciolecie. Jeszcze w w. XVIII lojalizm dynastyczny był jedną z najsilniejszych idei, walczących z nacjonalizmem. Dawniej występowała silniej solidarność wyznaniowa; dziś niewątpliwie mniemanie, że ludzie o wspólnej kulturze powinni dążyć do potęgi swej grupy — znajduje się u zenitu powodzenia. Stosunkowo najcięższą walkę przychodzi mu stoczyć z ideami pokoju i solidarności międzynarodowej.

Pozostawmy na boku sprawę przyczyn tego relatywnego wzrostu nacjonalizmu; powiedzmy tylko, że dwa główne czynniki zdają się składać na powstanie świadomości narodowej, a co za tem idzie — i na jej skutek, nacjonalizm: z jednej strony — wspólność kulturalna, z drugiej — wspólność tradycji politycznych ludzi, związanych ze sobą pewną łączącą ich kulturą. Nie są to, oczywiście, jedyne czynniki narodotwórcze, nie są może nawet wystarczające. Jednak gra tych dwu czynników jest zasadnicza dla powstawania i utrzymywania się świadomości narodowej. Klasycznym — i to pod dwoma względami — przykładem są dzieje powstawania narodu greckiego. Jeszcze przed wojnami perskimi jedność grecka była natury bardziej cywilizacyjnej, niż politycznej; później, oczywiście, również przejawiały się pewne tendencje w tym kierunku — tak np. Isokrates w okresie schyłkowym Grecji wskazywał na kulturę, nie zaś na pochodzenie, jako na czynnik spajający. Ale przecież tradycje wojen perskich tworzyły podwalinę akcji Demostenesa, wysuwającej przeciw dynastji macedońskiej (o kulturze niewątpliwie greckiej) zarzut obconarodowości, dowód wyrobionej świadomości

mości narodowej, opartej na obu naszych czynnikach. Właśnie zaś na wspólnych tradycjach politycznych Greków, na Efialtesie, Leonidasie i na żywotach Plutarcha, tworzyły się przez analogję nacjonalizmy współczesne.

Zrozumienie dla dwu głównych czynników narodotwórczych pozwala nam zrozumieć osłabienie wpływu państwa na zmiany narodowościowe. Dopóki idea solidarności politycznej, opartej na solidarności kulturalnej, była stosunkowo słabsza — procesy asymilacji, czyli zanikania wspólnot kulturalnych pewnych określonych grup, a co za tem idzie i powstawania nowych — odbywały się prawie niepostrzeżenie, nie wywoływały żadnych protestów, lub w każdym razie bardzo mało. Zbliżeniu kulturalnemu dwu narodów nie stawiały z konieczności wpoprzek tradycje walk politycznych, powodowanych właśnie przez usiłowanie wzmożenia tego zbliżenia. Tak było np. z narodem polskim i litewskim: naród polski narzucał litewskiemu swą kulturę, naród litewski odczuwał przykro podporządkowanie polityczne państwu polskiemu, które udało mu się usunąć, nie odczuwał w żadnym stopniu żalu z powodu ztraty własnej istoty kulturalnej. Zbliżenie kulturalne mogło więc iść w parze ze zbliżeniem wzajemnych tradycji polityczno-historycznych. Oba czynniki, potrzebne do wytworzenia wspólnej świadomości narodowej: wspólnota kulturalna i łączne tradycje polityczne — szły więc ze sobą w parze.

Gdy jednak początek w. XIX przyniósł ogromny wzrost idei nacjonalistycznych i gdy pokazało się, że poprzednie wieki nie doprowadziły jeszcze do zupełnego zlania się narodu polskiego i litewskiego, proces zjednoczeniowy uległ nagle zahamowaniu. Litwini zrozumieli, że ich związek z Polską prowadził ich do narodowego samobójstwa, wprost do utraty bytu odrębnego — a więc największej klęski, którą naród wogóle może ponieść. Tradycje wspólnych zwycięstw i klęsk, które Polakom wydają się węzłem między obu narodami, poczęły nagle dla Litwinów przybierać kształty odpychające. Zrozumieli bowiem, że tradycje te — przy niedostatecznym rozwoju świadomości narodowej — prowadziły ich prostą drogą do utraty niezależnego bytu narodowego. Stąd bierze się prawdopodobnie całe wielkie nieporozumienie historjografji polskiej i litewskiej: Polakom wydaje się ciągle, że aby zjednać Litwinów, należy podnosić korzyści polityczne, odnoszone przez oba kraje wskutek unji, oraz ich solidarność; nie rozumieją, że to, co najsilniej mogłoby przekonać Litwinów do związku z Polską, to dowody, że wobec Polaków nie zatracili nigdy swej odrębności narodowej.

Te rozważania pozwalają nam sformułować pewną ogólną zasadę odnośnie do asymilacji narodowej. Jeżeli rola państwa w nowoczesnych asymilacjach jest tak mała, to nie dlatego, żeby państwo (np. przez konsekwentną politykę szkolną) nie mogło wpływać na kształtowanie się kultury mniej-

szości i zbliżenie w ten sposób kultury narodu mniejszościowego i narodu państwowego; wiadomo, w jak znacznej mierze udało się Rosji zrusyfikować kulturalnie kresy wschodnie. Jeśli wytwarzanie tej nowej wspólnoty kulturalnej, lub przynajmniej zbliżenie do niej, nie przyczynia się dziś bynajmniej do zlania się dwu narodów w jedno — to dzieje się tak dlatego, że wszelkie powodzenia, osiągane przez państwo w tej dziedzinie, powodują — wobec siły dzisiejszych nacjonalizmów — powstanie wrogiej tradycji politycznej między państwem a mniejszością. Tradycja taka powstaje zawsze, gdy naskutek winy danego państwa naród ponosi jakąś wielką klęskę. Jakaż może być straszliwsza klęska od utraty lub podważenia odrębnego bytu narodowego?

Powiedzieliśmy wyżej, iż dwa główne czynniki składały się na powstanie nowoczesnej świadomości narodowej: z jednej strony — wspólnota kulturalna, z drugiej — tradycje polityczne, znajdujące się w związku z tą wspólnotą. *Nieszczęściem wszystkich państwowych planów asymilacyjnych, prawdziwą Nemezis na nich ciążącą jest fakt, iż przez sukcesy odnośnie do jednego z tych czynników automatycznie następuje oddalenie mniejszości w drugim i odwrotnie.* Zatrata odrębnej kultury narodowej mniejszości wywołuje wspomnienia nienawiści i walki z państwem. Rozwój kultury mniejszości powoduje wprawdzie rozwój tradycji współdziałania z państwem, oddala jednak możliwość zlania się obu narodów pod względem kulturalnym. W tych warunkach programy likwidacji narodów przez państwo zakrawają na Syzyfowe prace.

Czynnik odrębności kulturalnej i czynnik tradycji politycznej mogą występować u rozmaitych narodów w bardzo różnym związku ilościowym; zauważyliśmy poprzednio, że wspólna tradycja występuje niesłychanie słabo u narodu białoruskiego. Ciekawszy dla nas jest przykład irlandzki: w Irlandji udało się najeźdźcy prawie w zupełności zatrzeć różnicę cywilizacyjną między narodem miejscowym i angielskim; jedynym ważnym czynnikiem odróżniającym było właściwie wyznanie. Jednak tradycje antagonizmu angielsko-irlandzkiego były tak silne, że pomimo tego niesłychanie słabego ilościowo czynnika odrębności kultury irlandzkiej naród ten nie przestał być ani przez chwilę sobą samym. Jest to ciekawy dowód na bezsilność wysiłków państwa w kierunku likwidacji narodowości mniejszościowej drogą asymilacji kulturalnej.

Tu właśnie zaczyna się wyłaniać największy paradoks planów asymilacyjnych. Związywanie jedności kulturalnej z tradycjami politycznymi, a co z tego wynika — i z dążeniami do maksymalnej potęgi politycznej narodu, cały ten kompleks wydarzeń, który nazywamy narodzinami nowoczesnego nacjonalizmu, spowodował uniemożliwienie likwidacji narodów drogą kon

sekwentnej polityki państwa. Naprzeciw asymilacji wysunął się nacjonalizm. A przecież doktryną, która po raz pierwszy może w sposób świadomy postawiła zasadę państwa narodowego i asymilacji mniejszości, była właśnie doktryna nacjonalistyczna.

Bóg starożytności Kronos pożerał własne swe dzieci; nacjonalizm — bóg naszej epoki, ma pod tym względem mocno zbliżone obyczaje: jedną rzecz pożera on z całą pewnością — mamy tu na myśli możliwość realizacji własnego programu narodowościowego. Zaraźliwość idei uniwersalnych nie znajduje się w żadnym związku ze stopniem, w jakim godzą one ze sobą poszczególne narody czy warstwy. Odrębność nacjonalizmu polega jednak także i na tem, że wysuwając hasła mniej więcej identyczne dla wszystkich narodów, powoduje u każdego z nich powstanie doktryny możliwie najbardziej sprzecznej z wynikami tych samych haseł uniwersalnych w narodzie sąsiednim. Relatywizm pojęcia potęgi politycznej sprawia, że śmieszną mrzonką nazwać możemy program pogodzenia nacjonalizmów. Potęga polityczna polega na możliwości narzucania swej woli innym organizmom międzynarodowym. Pogodzenie dwu nacjonalizmów jest też możliwe jedynie przeciw komuś trzeciemu. Zasadniczo potęga państwa jest jednoznaczna z relatywną słabością innych państw, czy organizacyj. Jeśli więc przez nacjonalizm rozumiemy dążenie do potęgi politycznej, odrzucić musimy nadzieje dojścia tą drogą do porozumienia narodów. Natomiast inaczej oczywiście będzie, o ile przez nacjonalizm rozumieć będziemy dążenie do jaknajwiększej jednolitości narodowej państwa. W każdym razie pewne się wydaje, że rozpowszechnienie poczucia, iż ludzie o tej samej narodowości powinni wspólnie dążyć do maksymalnej potęgi politycznej — zagroziło drogę asymilacji narodowej.

Okazja do ponownego zlewania się w jedno narodowości europejskich iść będzie prawdopodobnie równoległe z zanikiem siły współczesnego nacjonalizmu. Wówczas zacznie się ona dokonywać nanowo, nieświadomie, i co najlepsze — niewiedząco na korzyść których narodów. Nie jest jednak wykluczone, że program naszych nacjonalistów zostanie spełniony dopiero wtedy, gdy Polską rządzić będzie ta czy inna międzynarodówka. Do takich rezultatów prowadzi w każdym razie bezstronna spekulacja, oparta na pewnej dozie empiryzmu.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że mówiąc o nacjonalizmie przeszkadzającym asymilacji, nie mamy na myśli jakichś odmian fałszywego nacjonalizmu. Nie chcemy np. powiedzieć, że to właśnie ten hakatystyczny nacjonalizm narodowej demokracji przeszkadzać będzie asymilacji; nie chodzi tu o fałszywy nacjonalizm, chodzi o nacjonalizm wogóle — zarówno ten, którego teorię staramy się tworzyć na tych kartkach, jak i ten, który przed na-

mi — o ileż świetniej — opracowywali Treitschke, Maurras, Dmowski i Don-cow. Asymilacja narodowa na wielką skalę będzie nierealna, dopóki silny będzie pogląd, iż naród powinien dążyć do zachowania swego jestestwa i do możliwie największej potęgi politycznej.

III. PRZYNALEŻNOŚĆ PROWINCJI DO PAŃSTWA. Porzućmy jednak miraż przyszłości, a przejdźmy do spraw bardziej realnych. Na początku niniejszego szkicu zaznaczyliśmy, że obok nadziei na zupełną likwidację narodów mniejszościowych, piastowanej przez niektórych nacjonalistów, istnieje jeszcze drugi prąd polityczny. Chodziło o kierunek rezygnujący z zupełnej likwidacji narodu mniejszościowego i wysuwający jako cel zmianę procentu narodowości państwowej i mniejszościowej w prowincjach kresowych. W Polsce koryfeuszem tego programu jest St. Grabski, autor słynnego hasła spolszczenia okolicy między Lwowem a Tarnopolem. Otóż, nie ulega wątpliwości, że taki program wydaje się na pierwszy rzut oka o wiele realniejszy od pierwszego. O ile wysiłkiem państwa zlikwidować narodu niesposób, o tyle zmniejszenie np. odsetka ludności niemieckiej w danej prowincji nie wydaje się rzeczą zupełnie niemożliwą. I tu jednak baczniejsza analiza dowodzi, że rezultaty, uzyskiwane w ostatnich czasach w tym kierunku, są wprost znikome. Poniżej zajmiemy się też analizą przedewszystkiem możliwości tego kierunku asymilacyjnego, następnie zaś — jego pożyteczności dla państwowej racji stanu.

A) Dwie główne metody, prowadzące do wydatnych zmian w odsetku narodowościowym prowincyj, dadzą się streścić w pojęciach kolonizacji dla celów narodowościowych, oraz faworyzowania jednej narodowości na polu ekonomicznym. Przykładem najbardziej charakterystycznym tego rodzaju polityki jest postępowanie Niemiec wobec Pomorza i Śląska, a także i wobec Poznańskiego. Stosunkowo mały obszar tych terytoriów w porównaniu z całością Rzeszy, a także i minimalny odsetek ludności mniejszościowej w państwie niemieckim, tworzyły idealne wprost warunki dla germanizacji dzisiejszych naszych „kresów zachodnich“. A jednak polityka germanizacyjna, z takim uporem stosowana od czasów Fryderyka Wielkiego, polityka, która tyle nienawiści przysporzyła Niemcom — dała rezultaty wręcz znikome. Ks. Zimmermann w swem monumentalnem dziele, poświęconem kolonizacji niemieckiej na Pomorzu i na Śląsku, zupełnie wyraźnie podkreśla te słabe rezultaty. Najwymowniej przemawiają jednak mapy, zamieszczone na końcu drugiego tomu wymienionej książki, z których jasno widzimy postępy germanizacji na Śląsku od czasów Fryderyka Wielkiego aż po apogeum germanizacji w okresie spisu ludności z 1905 r. Z mapy tej widać przejrzyście, że od czasów Fryderyka granice niemczyzny na Śląsku przesunęły się wyraźnie tylko o ile chodzi o półwysep polskości, wrzynają-

cy się niegdyś w Śląsk etnograficznie niemiecki, a mianowicie na linii Kluczbork — Namysłów — Wrocław. Na północ i na południe od tej linii granice etnograficzne prawie że nie drgnęły, mimo dwuwiekowych wysiłków państwa. Holsche w swem dziele *Der Netzedistrikt* stwierdza, że wolni sołtysi w Prusiech Królewskich i w obwodzie nadnoteckim w połowie XVIII w. byli wszyscy Niemcami; fakt ten tłumaczy nieznamość czytania i pisania u Polaków. Ks. K. Zimmermann nie jest jednak tego zdania: „W rzeczy samej, — pisze, — sołtysi byli dlatego Niemcami, że byli nimi wszyscy mieszkańcy wsi“. Tak więc na 150 lat przed epoką, w której większość ludności Pomorza okazała się polska, w okresie poprzedzającym przeszło wiekową usilną germanizację, tak duża ilość wsi była zamieszkiwana przez ludność narodowości niemieckiej. Podobnie znikome wyniki dały wysiłki rasyfikacyjne na Wołyniu, czy w Kongresówce. Ilość rdzennych Rosjan na tych ziemiach jest dziś wprost śmiesznie mała; gdy porównamy tę liczbę z kłopotami i trudnościami, które polityka rasyfikacyjna przysporzyła imperjum carskiemu w ciągu XIX w. — pusty śmiech zbiera. *Pariuntur montes, nascitur ridiculus mus.*

Prawie równie udatne były wysiłki germanizacyjne na terenie Alzacji oraz Szlezwigu duńskiego. Obok małych wyników, drugą cechą tych wszystkich imperjalizmów narodowościowych jest także ich niebywała nie trwałość. P. J. Giertych z dumą stwierdza, że w którymś z miast pomorskich procent Polaków bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości z kilkunastu wzrósł do kilkudziesięciu. Obosieczny argument! Sztuczna germanizacja, stosowana przez Rzeszę Niemiecką (której politykę stawia się niekiedy za wzór i Rzeczypospolitej Polskiej), doprowadziła do tak trwałych rezultatów, iż wystarczył rok, by procent niemieczyny z kilkudziesięciu zmniejszył się do kilku. Na tym przykładzie najlepiej widzimy słabą siłę nawet wiekowej polityki państwa wobec ruchów naturalnych ludności.

Musimy się porozumieć. O ile zupełne zniszczenie jakiegoś narodu przez politykę państwową nie jest możliwe w naszej epoce, o tyle pewne zmiany w procencie narodowościowym zaludnienia mogą być, oczywiście, osiągnięte. Poniżej widzieliśmy, że wyniki takich dążeń są statystycznie bardzo słabe — tak w porównaniu z wielkością włożonego wysiłku, jak i z czasem jego trwania. Obecnie musimy zastanowić się, jaki wpływ mogą mieć te wyniki na ogólną sytuację polityczną państwa i czy wysiłki, włożone w zmianę składu narodowościowego prowincyj, mogą się wogóle politycznie opłacić.

B) O ile dążenie do likwidacji wogóle narodowości mniejszościowej ma na celu ułatwienie przede wszystkim sytuacji wewnętrznej państwa, które w razie powodzenia tego programu byłoby istotnie znaczne — o tyle

zwiększenie procentu ludności państwowej w stosunku do mniejszości w pewnej prowincji nie ma prawie nigdy tego właśnie celu na oku. Wynika to po prostu z tego, że zmiana składu narodowościowego pewnej prowincji powoduje ogromne kłopoty wewnętrzne dla państwa, wywołuje znaczne niezadowolenie całej mniejszości, czasem terór, zawsze wielki zamęt i wysiłek. Wynik zaś odnosi się tylko do paru procentów mieszkańców danej prowincji. Wspominaliśmy już, że celem marzeń takiego Stanisława Grabskiego jest uzyskanie przewagi polskości na linii Lwów — Tarnopol; chodzi więc o przysporzenie państwu kilkudziesięciu tysięcy obywateli równie lojalnych, jak ci mieszkańcy powiatu miechowskiego, którzy w r. 1920 powiadali: „Nasi biją Polaków“. Celem zmiany odsetka narodowościowego ludności danej prowincji bywa natomiast zazwyczaj względ natury międzynarodowej, dążenie do utrzymania prowincji przy państwie drogą zwiększenia w niej odsetka ludności państwowej. Jest to też główna podstawa argumentacji cytowanego męża stanu. I tu właśnie otwiera się generalna debata.

Wyłaniają się dwie możliwe koncepcje warunków przynależności prowincji do państwa, najściślej związane z ogólnymi kierunkami ideologicznymi; nazwiemy je tu koncepcją narodową i koncepcją państwową. Koncepcja narodowa, której reprezentantką jest w Polsce Narodowa Demokracja, wysuwa twierdzenie, że o przynależności prowincji do państwa decyduje procentowy stosunek zamieszkującej ją narodowości. Inaczej mówiąc, zwolennicy koncepcji narodowej twierdzą, że stopień prawdopodobieństwa przynależności prowincji do państwa jest wprost proporcjonalny do procentu ludności państwowej, zamieszkującej prowincję. Argumentacja, na której opiera się ta teza, zaczerpnięta jest głównie z dziejów traktatu wersalskiego i epoki następującej bezpośrednio po nim. Koncepcja państwowa formułuje zagadnienie w sposób nieco odmienny. Przynależność prowincji do państwa zależy przede wszystkim nietyle od jej składu narodowościowego, ile od siły odnośnego państwa. Gdyby Niemcy nie były słabe w chwili traktatu wersalskiego, nie byłyby utraciły prowincyj etnograficznie polskich; gdyby Czechosłowacja nie była silna poparciem Francji, nie byłaby anektowała Rusi Zakarpackiej. Jeżeli czynnik składu narodowościowego prowincji ma wpływ na przynależność jej do państwa, to tylko jako jeden ze składników jego siły czy słabości. Wchodzą tu w grę zwłaszcza dwa względy: 1) o ile położenie wewnętrzne państwa poprawia się przez uzyskanie większego odsetka obywateli życzliwych dla państwa i 2) o ile poprawia się jego międzynarodowe położenie polityczne, drogą pozyskania opinii międzynarodowej, która skłonna jest uważać, iż prowincja zamieszkiwana np. przez Polaków powinna należeć do Polski. Przychyłność lub wrogie nastawienie tej

opinii stanowi niewątpliwie jeden z czynników międzynarodowej potęgi państwa.

Koncepcja państwowa przychyła się więc do mniemania, że odsetek ludności sam przez się nie rozstrzyga o przynależności prowincji, lecz tylko siła państw wchodzących w grę jako współzawodników do jej posiadania; odsetek ludności działa pośrednio, drogą wzmożenia lub zmniejszenia tej siły. Zanim przejdziemy do krytycznej oceny stanowiska stron obu, zwróćmy uwagę na jeden jeszcze charakterystyczny kontrast.

Koncepcja narodowa, stając na platformie „zasady narodowościowej“, opowiada się niewątpliwie za pewną normą prawną. Nie wchodząc tu w wartość tej normy (jest ona silnie krytykowana), zgódźmy się, że mamy tu do czynienia z pewną normą obiektywną, niezależną w danej chwili od gry przemocy. Koncepcja państwowa, przyjmując, iż o przynależności prowincji do państwa decyduje siła niejako fizyczna — odrzuca podstawę prawną, odrzuca normę obiektywną. Widzimy już intelektualistów, pacyfistów i klerków odwracających się ze wstrętem od tej naszej koncepcji państwowej. A jednak praktyczne konsekwencje obu poglądów nie dają wyraźnej przewagi koncepcji narodowej. Uznawanie decydującego znaczenia *principe des nationalités* prowadzi do wynaradawiania przemocą całych dzielnic, a w każdym razie do wysiłków w tym kierunku. Takiego bezprawia, okrucieństwa i eksterminacji, jak np. przy pozbywaniu się Greków z Azji Mniejszej, trudno wogóle sobie wyobrazić.

Natomiast stanowisko koncepcji państwowej bardziej sceptycznie odnosi się do praktycznego znaczenia zasady narodowościowej, w praktyce prowadzi do uznania *status quo* w dziedzinie etnograficznej i do rezygnacji ze zmian przeprowadzanych drogą nacisku. Z drugiej strony — koncepcja narodowa, w razie jej powszechnego uznania, prowadziłaby wprawdzie do walk narodowościowych wewnątrz państw, eliminowałaby jednak raczej konflikty międzynarodowe. Koncepcję państwową definjowaliśmy jako dążenie do maksymalnej potęgi narodu i solidarnego z nim państwa, koncepcję narodową — jako dążenie do możliwie jednolitego składu narodowościowego państwa i do złączenia wszystkich obywateli danej narodowości w granicach jednego państwa. Pierwsza z tych odmian nacjonalizmu prowadzi do zmniejszenia się ilości i natężenia konfliktów wewnątrz państwa, prowadząc jednakowoż nieuchronnie do konfliktów międzypaństwowych. Druga dałaby się raczej pogodzić z pewnemi formami pacyfizmu, lecz jednocześnie prowadzi do walk narodowościowych wewnętrznych i do hakaty. Gdyby koncepcja narodowa, t. zn. dążenie do jednolitości składu narodowościowego ponad wszystko, była istotnie motorem politycznym współczesnej Europy, gdyby, dalej, dążenie to zmieniło się w uniwersalne uznanie, że do państwa powin-

na należeć prowincja, w której zamieszkuje większość obywateli narodowości rządzącej w niem — wówczas może istotnie o przynależności prowincji do państwa decydowałby jej skład narodowościowy. Dopóki jednak druga odmiana nacjonalizmu, dążenie do jaknajwiększej potęgi państwa i narodu, odgrywa taką rolę w stosunkach międzynarodowych — musimy trwać przy mniemaniu, że o przynależności prowincji rozstrzyga przede wszystkim siła państwa, które ją posiada lub do niej pretenduje.

Jednym z naczelných argumentów koncepcji narodowej są niewątpliwie plebiscyty. Jeżeli o przynależności rozmaitych krajów do państw rozstrzygano na podstawie plebiscytów, to widać istotnie czynnikiem decydującym jest skład narodowościowy. W kilka tygodni po plebiscycie Saary argumentacja ta jest specjalnie silna. Bardziej dokładna analiza dziejów powojennych wykazuje jednak coś zgoła odmiennego. Metoda plebiscytowa stosowana była nietylko w wypadkach niepewności co do składu narodowościowego odnośnych prowincyj, ile w wypadkach trudności w pogodzeniu obozów politycznych, wysuwających odmienne żądania. Nie ulega np. wątpliwości, że plebiscyty polsko - niemieckie były pewną formą kompromisu francusko-angielskiego, dającą jednocześnie pełne zadowolenie poczuciu prawnemu, z którym starano się w Wersalu być o ile możności w zgodzie. W innych znów wypadkach, np. jak w Szlezewigu, wybrano plebiscyt z powodu słabego zainteresowania mocarstw dla tego zagadnienia i chęci podkreślenia swego poszanowania dla prawa. Natomiast znamieny jest brak plebiscytu w terytorjach o wiele bardziej niepewnych i mieszanych, jak np. cała Wileńszczyzna, w których sprawie nie było równowagi zwalczających się obozów, lecz wyraźna przewaga jednej strony. Wymieńmy tu chociażby granice, ustalone traktatem w Trianon, których niezgodność z granicami etnograficznymi stała się wprost przysłowiowa. Również i traktat w Sevres przyznawał Grecji terytorja, o których notorycznie było wiadome, że zamieszkane są przez większość turecką; żaden jednak plebiscyt nie byłby pomógł w Lozannie wobec zwycięstwa wojsk Kemala. W sprawie Galicji wschodniej obeszło się bez plebiscytu; powodem była, oczywiście, okupacja kraju przez wojska polskie: siła państwa niewątpliwie dominowała nad zasadą narodowościową.

Gdy mówimy, że o rozstrzygnięciach międzynarodowych decyduje przede wszystkim potęga wzajemna zwalczających się państw — nie znaczy to bynajmniej, byśmy wpadali w przesadę i częstym zwyczajem rozmaitych nacjonalistów nie doceniali znaczenia opinii międzynarodowej. Stosunek opinii międzynarodowej do państwa jest niewątpliwie ważnym czynnikiem, wpływającym na jego sytuację polityczno-dyplomatyczną, a więc i na jego siłę; ciągle prowokowanie opinii międzynarodowej było jedną z głównych przyczyn przegranej Niemiec w wojnie światowej, a co za tem idzie —

i utraty szeregu prowincyj. Przystąpienie Wielkiej Brytanji do koalicji — w wielkiej mierze, przystąpienie zaś Stanów Zjednoczonych — prawie w zupełności spowodowane zostało wzburzeniem opinji przez niezręczne kroki rządu niemieckiego. Tu jest stały czynnik, wpływający na położenie państwa.

Otóż, wydaje się bardzo jasnem, że jednym ze względów decydujących o tem, czy bezstronna opinja pragnie zaliczać daną prowincję do tego czy innego państwa, jest jej skład narodowościowy. Stanowiska koncepcji państwowej i narodowej byłyby więc w ten sposób nieco zbliżone. Koncepcja narodowa uważa, że o przynależności prowincji decyduje jej skład narodowościowy; koncepcja państwowa kładzie nacisk na siłę państwa — jeśli jednak uzależnia tę ostatnią i od mniemania opinji międzynarodowej o składzie narodowościowym prowincji — oba stanowiska silnie się zbliżają. Piśzemy, że się zbliżają, nie zaś, iż są identyczne; nikt bowiem nie będzie natyle naiwny, by głosić, że stanowisko opinji międzynarodowej odnośnie do składu narodowościowego prowincji jest jedynym i najważniejszym czynnikiem, decydującym o sile państwa. Zwykle raczej popełnia się błąd odwrotny — nie doceniając poczucia prawnego opinji międzynarodowej. Doszliśmy więc do punktu, w którym zasadniczą kwestją jest dla nas problem, w jakiej mierze przymusowa zmiana odsetku narodowościowego danej prowincji wpływa na nastawienie opinji międzynarodowej do państwa i jego postulatów terytorjalnych, a dalej — w jakiej mierze wpływa ona na inne czynniki siły państwa.

Znaczenie składu narodowościowego prowincji dla państwa zależy ściśle od natężenia siły „idei narodowościowej“ we współczesnej Europie. Idee międzynarodowe przez swój wpływ na postępowanie państw są niewątpliwie potęgami o znaczeniu praktycznem niekiedy nawet większem, niż najsilniejsze mocarstwa. Im bardziej rozpowszechniony jest pogląd, że prowincja zamieszkiwana przez ludność należącą do pewnej narodowości powinna należeć do państwa, w którym ta narodowość ma przewagę — tem większy wpływ na sytuację państwa wywiera odsetek narodowościowy tej prowincji. Otóż nie ulega wątpliwości, że zasada narodowościowa ani w przeszłości ani w terażniejszości nie była jedyną ideą, wpływającą na pogląd opinji międzynarodowej w związku z zagadnieniami politycznemi. Mieliśmy i legitymizm dynastyczny i zasadę wyznaniową w XVI w. i dawniej jeszcze odwoływanie się do inwestytury Stolicy Apostolskiej. Można by wymienić jeszcze wiele takich idei, wpływających na postępowanie polityczne państw poprzez opinję publiczną; dziś np. należy do nich idea pacyfistyczna. Od połowy XIX w. idea narodowościowa poczęła brać górę nad innymi — prawdopodobnie z powodu jednoczesnego rozkwitu idei demokratycz-

nych, tak ściśle z nią związanych. Apogeum zasady narodowościowej przypada bezsprzecznie na okres traktatu wersalskiego; wpłynął na to nietylko jednoczesny zanik innych idei międzynarodowych, mogących znajdować się w sprzeczności z ideą narodowościową, ale i zupełnie specyficzna sytuacja, wytworzona naskutek znaczenia prezydenta Wilsona w czasie rokowań. Wszelkie idee międzynarodowe, niezależnie od swej treści, zazwyczaj ustępują w razie sprzeczności z racją stanu państwa, albo wywołują tylko nieznaczne skrzywienia normalnej linii politycznej państw. W chwili zawierania traktatów, które zakończyły wielką wojnę światową, czynnik ten wystąpił o wiele mniej silnie, niż poprzednio. Główne mocarstwo, kierujące obradami — Stany Zjednoczone — było bowiem prawie że niezainteresowane politycznie w granicach europejskich. Jasne jest, że w takich warunkach panująca podówczas idea prawna, a więc idea narodowościowa, odegrała stosunkowo bardzo dużą rolę. Apogeum jednak każe myśleć i o zmierzchu. Razem ze zmierzchem parlamentaryzmu nastąpiło i znaczne ochłodzenie dla zasady narodowościowej; przejawiało się ono bezpośrednio po wojnie światowej — zarówno w literaturze, jak i w praktyce politycznej. Przyzwyczajono się uważać, iż przynależność do państwa kulturalnego, rządzonego na podstawie zasad ogólnie przyjętych w demokracjach zachodnio - europejskich, jest może o wiele korzystniejsza dla ludności od przynależności do państwa o wielkości tej samej narodowości, rządzonego po barbarzyńsku. Niebywale znamienna pod tym względem była np. mowa Winstona Churchilla odnośnie do państwa narodo - socjalistycznego i do przynależności Pomorza. Winston Churchill wprost twierdził, że gdyby nawet Pomorze było zamieszkiwane przez większość niemiecką, byłoby barbarzyństwem poddawać je pod władzę Trzeciej Rzeszy. Było to niewątpliwie refleksem poglądów przeciętnego Europejczyka. Odnośnie do Besarabji, każdy zaprotestowałby przeciw włączeniu jej do Rosji Sowieckiej — i to mimo mocno wątpliwego jej składu narodowościowego, gdyż metody rządzenia tem państwem wydają się mocno drażniąciami dla większości Europejczyków, a nawet dla najzagorzalszego zwolennika zasady narodowościowej. Przynależność natomiast Rusi Zakarpackiej do Czechosłowacji nie powoduje prawie żadnych sprzeciwów, aczkolwiek odsetek Czechów jest tam znikomy, Czechosłowacja jest bowiem państwem cywilizowanym. Znajdujemy się niewątpliwie w okresie odwrotu zasady narodowościowej i zaniku jej znaczenia.

Polityka wynaradawiania ma na celu zjednanie sobie opinii międzynarodowej drogą uzgodnienia składu narodowościowego państwa z normą *principe des nationalités*. Niestety jednak to zjednanie jest w wysokim stopniu wątpliwe — chociażby ze względu na konieczność przeprowadzenia samego wynaradawiania i gwałtów z niem połączonych. Gwałty te i barbarzyń-

stwa nietylko nie dają w rezultacie poprawy na rynku opinii międzynarodowej, ale raczej pogorszenie. Węgry swą nierozumną polityką madjaryzacyjną narobiły sobie więcej szkody, niż zyskały korzyści przez tych kilka procent Węgrów, zamieszkujących dziś np. Ruś Zakarpacką. Gdyby idea narodowościowa była jedynym motorem, wpływającym na opinię międzynarodową i jej nastawienie do zagadnień terytorjalnych państwa, może istotnie warto by dołożyć wysiłków celem zmiany składu narodowościowego prowincyj kresowych. Gdy jednak naprzeciw tej idei wysuwają się inne, gdy znaczenie jej co najmniej neutralizuje konieczne barbarzyństwo przy wynaradawianiu — dobre jego strony dla sytuacji państwa ulegają niebawemu zmniejszeniu. Gdy zaś uprzytomnimy sobie, jak małe są wyniki takiej polityki wynaradawiania i jak duże powoduje ona wzburzenie wśród mniejszości — sąd nasz o programach zmiany składu narodowościowego prowincyj drogą przemocy państwowej będzie musiał wypaść ujemnie.

W powyższych rozważaniach zajmowaliśmy się obiektywnymi możliwościami polityki asymilacji narodowej i jej zgodnością z racją stanu, o ile chodzi o nastawienie opinii międzynarodowej do państwa. Można by to samo zagadnienie obserwować i z innego punktu widzenia — bądź to z punktu widzenia polityki zagranicznej państwa, bądź też jego sytuacji wewnętrzno - politycznej i ekonomicznej. Ujmowanie asymilacji z tych innych punktów przedstawia jednak tę znaczną trudność, iż niemożliwe jest w stosunku do nich stawianie zasad, odnoszących się do wszystkich wypadków. Należałoby tutaj zajmować się kolejno istniejącymi mniejszościami. Możliwości twórczenia ogólnej teorii są mocno ograniczone, spróbujemy jednak przynajmniej wymienić te inne względy, które powinny wpływać na politykę mniejszościową państwa.

1. Naród, do którego należy mniejszość, nawet o ile własnego państwa nie posiada, jest nietylko *przedmiotem*, ale i *podmiotem* polityki międzynarodowej; rozumiemy to w ten sposób, iż jego nastawienie może w pewnych wypadkach mieć wpływ na położenie danego państwa posiadającego mniejszość, lub na wynik konfliktu międzynarodowego. Tak np. niechęć Polaków do zaciągania się do „Wehrmachtu“ bardzo silnie pokrzyżowała plany Luderdorffa w czasie wojny światowej. Otóż polityka asymilacyjna z reguły powoduje nieprzychylnie nastawienie mniejszości do państwa. Stąd więc pochodzić musi pewne pogorszenie się jego sytuacji międzynarodowej.

Czysto teoretyczne znaczenie natomiast posiada sprawa mniejszości, zamieszkującej kilka państw, i co stąd wynika — nadziei na podział sąsiedniego mocarstwa drogą utworzenia państwa narodu mniejszościowego. Likwidacja mniejszości w granicach własnych mogłaby tę cenną nadzieję w pewnych wypadkach znacznie zmniejszyć. Otóż ten ujemny wpływ asymilacji na sy-

tuację państwa wydaje się nam nierealny ze względu na niemożliwość likwidacji mniejszości drogą ingerencji państwa. Z drugiej strony jednak — zapominać również nie należy, że polityka wroga dla mniejszości i dążąca do jej wytępienia niekiedy jest dla państwa pożyteczna z punktu widzenia międzynarodowego. Chodzi o wypadek, w którym dwa państwa posiadające tę samą mniejszość łączą się dla wspólnego jej zwalczania; jak wiadomo, był to jeden z wypróbowanych sposobów Bismarcka w jego zbliżeniu z Rosją Aleksandra II i Aleksandra III. Jest to też czynnik, który niekiedy należy brać pod uwagę.

2. Z punktu widzenia ekonomicznego, polityka asymilacyjna lub ugodowa nie posiada zbyt dużego znaczenia. Polityka faworyzowania jednej narodowości niewątpliwie pociąga za sobą bardzo znaczne koszty; jest to dotkliwie zwłaszcza o ile chodzi o kolonizację. Z drugiej strony — nie można zapominać, iż prześladowanie jednego narodu również pociąga za sobą oszczędności; tak np. tworzenie szkolnictwa mniejszościowego, które w danej chwili nie istnieje, jest często bardzo dużym wydatkiem. Z tego prawdopodobnie powodu pewien wybitny mąż stanu wyraził się, że kwestja ukraińska w Galicji jest przedewszystkiem kwestją pieniężną.

O wiele większe znaczenie posiada polityka narodowościowa, o ile chodzi o eksterminację czy usunięcie pewnej mniejszości, zajmującej specjalnie ważne stanowisko w życiu ekonomicznem kraju, np. w handlu czy w przemyśle. Z przykładów historycznych należy tu wymienić nieszczęśliwe postępowanie Hiszpanji wobec Morysków. Ta odmiana polityki, dążącej do zmiany składu narodowościowego kraju, przynosi skutki raczej ujemne: z jednej strony — pozbawia kraj bardzo aktywnego gospodarczo elementu, z drugiej — zwiększa ingerencję państwa w życie ekonomiczne, co z reguły powoduje ogólne ubożenie.

3. Z punktu widzenia stanu wewnętrznego państwa, następstwa usiłowań w kierunku asymilacji są zazwyczaj również raczej nieszczęśliwe — co często już podkreślaliśmy na tych stronicach. Powodują one z reguły niebywale wrogie ustosunkowanie się danej mniejszości do państwa. Ponieważ zaś postawiliśmy jako ogólną zasadę, iż państwo jest tem silniejsze, im większa ilość jego obywateli jest doń życzliwie usposobiona, przeto pochodząca stąd utrata siły jest już widoczna. Niekiedy polityka asymilacyjna prowadzi aż do teroru ze strony mniejszości, a co za tem idzie — do dezorganizacji państwa. W krajach o dużym odsetku mniejszości pogodzenie urządzeń demokratycznych z polityką eksterminacyjną czy asymilacyjną jest prawie niemożliwe. Reprezentanci mniejszości głosują bowiem wówczas z reguły przeciw rządowi i utrudniają jego istnienie. Sprawą wpływu polityki państwa na nastroje

mniejszości zajmowaliśmy się zresztą obszernie w naszych *Tres quaestiones de natione ac statu*.

Dobiegamy do kresu naszych rozważań. Widzieliśmy powyżej, że asymilacja całych narodów jest w dzisiejszych warunkach zupełnie prawie niezależna od polityki państwa i niesłychanie rzadka. O ile zaś chodzi o wysiłki w kierunku zmiany składu narodowościowego pewnych prowincyj, to dają one zwykle wprost śmieszne wyniki. Nawet te wyniki nie przedstawiają właściwie żadnej poważniejszej korzyści dla państwa, gdyż aczkolwiek staje się ono dzięki nim bliższe ideałom „zasady narodowościowej“, zyskuje jednocześnie opinię państwa rządzonego w sposób barbarzyński, co równoważy zysk ze scementowania ludności pod względem narodowym; natomiast taka polityka powoduje bezwzględną nienawiść mniejszości dla państwa i w ten sposób przyczynia się do jego osłabienia. Dlatego to właśnie wszelkie zakusy asymilacyjne uważamy za szkodliwe dla nowoczesnego państwa europejskiego.

ALEKSANDER HERTZ

LEGENDA O WIEKACH MINIONYCH

I

Jest rzeczą niezmiernie pouczającą zapoznawać się z poglądami i ocenami, jakie wśród ludzi danego okresu powstają o epokach minionych. Takie charakteryzowanie i ocenianie przeszłości przez terażniejszość jest interesujące nie tyle ze względu na prawdę w owych sądach zawartą, ile ze względu na postawy oceniających, i staje się materiałem dla zrozumienia tych postaw. Odnosi się to przede wszystkim do różnych popularnych ocen, formowanych najczęściej w postaci takich czy innych systemów historjograficznych. Doza prawdy, zawarta w tych ocenach, jest naogół bardzo niewielka i nie daje nam klucza do przeniknięcia w rzeczywistość świata minionego. Jeżeli jednak od przeszłości ocenianej przejdziemy do oceniającej terażniejszości, to wszystkie jej sądy, wszystkie jej historjografje stają się niezmiernie godne zastanowienia. Są one jedną z wielu możliwości dla postawienia diagnozy o danej epoce, przeniknięcia w jej procesy duchowe, odnalezienia jej tła społecznego. I niejednokrotnie najbardziej banalne, najbardziej powierzchowne i obiektywnie niesłuszne przeświadczenia mogą dostarczać nam materiału najciekawszego i najcenniejszego. Albowiem banał — to przeświadczenie bardzo szeroko rozpowszechnione, przyjęte przez ogół jako oczywistość, jako truizm. Inna rzecz, że to, co ogół przyjmuje za prawdę najzupełniej oczywistą, może być z gruntu fałszywe. Ale sam fakt, że ów obiektywny fałsz jest przez ten ogół przyjmowany jako oczywista prawda, wystarcza, abyśmy uznali jego wagę społeczną.

Ogromna ilość sądów o zjawiskach życia społecznego wogóle wypowiada się w formie usystematyzowanych przekonań o przeszłości, o przebiegu wydarzeń dziejowych czy o pewnych określonych epokach historycznych. Dla ludzi, żyjących w danym czasie, ocenianie przeszłości jest czyn-

nością, ułatwiającą orjentowanie się w nawale faktów, które bezpośrednio przed nimi stają. Zdanie, że *historia est magistra vitae* — jeden z najbardziej rozpowszechnionych a bezpodstawnych banałów — wyraża dążenie ludzi do zrozumienia tego, w czym dziś biorą udział, przez sprowadzanie go do rzeczy minionych, przebytych, uznanych przez nich za pewne i niewątpliwe. Taki jest też sens posługiwania się wszelkimi analogjami historycznymi. Przeszłość służy nam tu za podstawę dla orjentowania się w teraźniejszości i w przyszłości, jest tem czemś pewnem, do którego sprowadzamy wszystko to niepewne, co dziś przed nami staje. Albowiem gdy chodzi o przeszłość, to niezależnie od sumy wiedzy, jaką rozporządzamy odnośnie do tych czy innych wydarzeń, w każdym razie jest ona przez nas odczuwana, jako coś określonego, nieodwołalnego, w czym żadnych zmian poczynić już nie można. To, co się stało, jest czemś we wszystkich swych szczegółach najzupełniej określonym i z tego względu najzupełniej pewnem. Wiadomości nasze o bitwie pod Jeną mogą być rozleglejsze lub szczuplejsze, ale nie zmienia to faktu, że bitwa ta łącznie z rozkazami Napoleona i uderzeniem pałeczką w bęben najostatniejszego dobosza jest czemś dla nas dziś skrzepem, skończonem, niezmienniałnem. I dlatego też różni się ona zasadniczo od wszystkich tych wydarzeń, które w tej chwili zachodzą, a zwłaszcza od tych, które dopiero zajdą. Pierwsze z nich przedstawiają się nam jako coś płynnego, drugie zaś jako coś prawdopodobnego, przypuszczalnego czy nawet zupełnie niewiadomego. I jedno i drugie pozbawione są tej konkretności, jaką mają dla nas wydarzenia minione.

Chcąc zdobyć jakąś pewność w odniesieniu do zjawisk stających się lub przyszłych, zwracamy się do przeszłości, jako do czegoś określonego, i do obrazu, jaki sobie o niej wytworzyliśmy, sprowadzamy to, co jest dla nas płynną teraźniejszością i nieokreśloną przyszłością. Obraz przeszłości, który sobie wytworzyliśmy, ma więc tu na względzie cel najzupełniej praktyczny — umożliwić nam orjentację w powodzi nacierających na nas wydarzeń.

Ta postawa znajduje dla siebie oparcie w bardzo ważnym momencie, jakim jest skłonność do racjonalizowania przeszłości. Właśnie dzięki tej skłonności mogła powstać historia pisana. Obojętną w tym wypadku jest rzecz, czy będziemy tę historję pisaną uważali za sztukę czy też za naukę we właściwym tego słowa znaczeniu. Potężną masę minionych wydarzeń porządkujemy w każdym razie według jakichś reguł, posługując się różnemi wartościowaniami, dzięki którym selekcjonujemy wydarzenia, wiążemy je ze sobą, nadajemy im kształt jakiejś całości. Podstawową regułą jest tu przede wszystkim wzgląd na sensowność wydarzeń. Historyk szuka logicznego powiązania wydarzeń, badając związki przyczynowe, jakie po-

między nimi zachodzą. Historjograf idzie dalej, sięga do sensu „wewnętrznego“, biorąc za podstawę już nietylko związki przyczynowe, ale rozpatrując przebiegi wydarzeniowe pod kątem widzenia ich celowości. Tak czy inaczej, każdy z nich wprowadza tu pierwiastek sensu, stara się racjonalnie ująć cały materiał badany.

W racjonalizowaniu mieści się i przekonanie o jedności wszystkich przebiegów dziejowych. Wynika stąd przekonanie, że teraźniejszość jest obecną fazą całego rozwoju dziejowego, czy też że jest produktem przeszłości. Przeniesione do sfery moralnej, przeświadczenie to wyraża się w poglądzie, że przeszłość jest odpowiedzialna za teraźniejszość, i na tem tle wyrasta cały szereg opinii, mówiących o takiej ciągłości genetyczno - moralnej. My, ludzie dziś żyjący, i nasze sprawy — to następstwa tego, co działo się ongi, spraw tych ludzi, którzy kiedyś żyli i działali. Jesteśmy powiązani z nimi związkami przyczynowymi — od tej strony podejdzie myślenie historyka; jesteśmy kolejnym etapem w wielkim planie dziejów — tak sprawę postawi historjograf. I tu działa owo nastawienie na teraźniejszość. By mieć jakąś pewność odnośnie do tego, co dziś zachodzi, musimy ją opierać na zdecydowanym przekonaniu, że to, co się dzieje, jest logicznie i genetycznie związane z tem, co się działo, i że teraźniejszość, gdy przeminie, będzie tak oglądana, jak dziś oglądana jest przez nas przeszłość.

Innemi słowy, w stosunku naszym do przeszłości punktem wyjściowym jest teraźniejszość, w której się znajdujemy i w której usiłujemy się zorientować. Zarazem jednak teraźniejszość ta jest pewnym obiektywnie zachodzącym układem stosunków społecznych i niezależnie od tego, w jakiej mierze jesteśmy świadomi tego układu, określa on naszą postawę wobec całej rzeczywistości. Jeżeli patrząc na przeszłość, szukamy w niej drogowskazów dla teraźniejszości, to jednocześnie nasz sposób widzenia przeszłości jest określony przez teraźniejszość, jest odbiciem tego układu stosunków społecznych, w którym bierzemy udział. I w ten sposób wytwarza się obraz przeszłości, skonstruowany przez teraźniejszość, przynajmniej w tym sensie, że kryteria, jakimi się przy tem konstruowaniu posługujemy, są wartościami społecznymi, właściwymi środowisku społecznemu, w którego obrębie się znajdujemy.

I dlatego też, racjonalizując przeszłość, wypełniamy ją treściami społecznymi, które są nam właściwe. Nieświadomie dla siebie wnosimy w czasy minionie wartości, któremi dziś żyjemy. Najsilniej zaznacza się to we wszelkich systemach historjograficznych, które tak wiele mają wspólnego z irracjonalnymi stronami naszych postaw. Historjografja jest najdalej posuniętą próbą uchwycenia sensu dziejów, ale zawsze i wyłącznie pod kątem widzenia tych dążeń, pragnień i oczekiwań, które wyrastają z teraźniejszej rzeczywistości

społecznej. Obiektywna wartość poznawcza historjozofji może być nader znikoma. Jest to zresztą dla nas mało istotne. Ale historjozofja jako wskaźnik pewnych faktów i powstałych na ich tle odczuwań w danej epoce może mówić o tej ostatniej bardzo wiele. Stąd, chcąc postawić jakąś djagnozę o naszych czasach, nie możemy pominąć popularnych dziś historjozofij. Zwłaszcza pewne z nich wymagają dokładniejszej analizy.

II

Historjozofje, o których mówimy, nie są jakimiś zwartymi systemami myślowymi ufundowanymi filozoficznie, w rodzaju wielkich systemów Vica czy Hegla. Oczywiście w pewnej mierze, nieraz nie zdając sobie z tego sprawy, posługują się one takimi systemami. Ale mówimy tu przede wszystkim o pewnych popularnych przekonaniach, z jakimi spotkać się można w gazetach, przemówieniach, w różnego typu publikacjach, wreszcie w rozmowach. Innymi słowy, chodzi tu o poglądy, które stały się dorobkiem t. zw. szerszego ogółu, a przynajmniej są rozpowszechnione w pewnych środowiskach tego ogółu.

Tu odrazu musimy zwrócić uwagę na pewien moment wysoce charakterystyczny dla treści tych poglądów. Potrzeba jakiejś wyraźnej historjozofji staje się szczególnie paląca dla tych środowisk społecznych, które przeżywają okres takiego czy innego wstrząsu, które wychodzą ze stadjum stabilizacji. W okresach stabilizacji społecznej i gospodarczej, kiedy życie toczy się t. zw. normalną koleją, nie tworząc zagadek i niepewności, można z całą ufnością spoglądać w przyszłość. Jutro nie jest czemś tajemniczym, niepokojącym i groźnym. Można wtedy snuć projekty na przyszłość z wielkim prawdopodobieństwem, że będą one zrealizowane. Ideą przewodnią staje się wtedy filozofja postępu i na wierze w postęp opierają się historjozofje warstw ustabilizowanych. Są to historjozofje łagodne, dobrotliwe, nie wymagające drastycznych sformułowań, wolne od akcentów tragizmu.

Sprawa jednak wygląda inaczej, gdy przemija okres równowagi i następuje destabilizacja. Jutro staje się czemś bardzo niepewnym i może wiązać się z obrazem zarówno jakiegoś cudownego wzniesienia się, jak i katastrofalnego upadku. Rzeczywistość przedstawia się zagadkowo, jako spłot tajemniczo działających sił. Miejsce przekonania o ciągłym postępie zajmuje filozofja katastrofizmu, oglądania przebiegów dziejowych, jako szeregu gwałtownych wstrząsów, które decydująco wpływają na zmianę treści całego życia. Dzieje zdają się wtedy posuwać gwałtownymi skokami i każdy taki skok rozpoczyna nowy odcinek czasowy, radykalnie odmienny od poprzedniego. Na tem tle wyrasta szereg interesujących rozumowań, które odnoszą się do

epoki, uważanej za minioną, a więc za tę, która istniała przed owym przełomem czy katastrofą.

I w popularnych historjografjach współczesnych problem epoki minionej występuje niezmiernie wyraźnie. Chodzi tu o stosunek do wieku XIX. Szczególnie w publicystyce faszystowskiej i faszyzującej, wśród pisarzy i publicystów nacjonalistycznych, sprawa stosunku do wieku XIX zajmuje miejsce bardzo poważne i jest jednym z głównych elementów historjografii, jakimi te kierunki się posługują. Zadaniem naszym będzie zająć się tem zagadnieniem wieku XIX tak jak go widzą interesujące nas stanowiska ideologiczne. Przede wszystkim jednak będziemy musieli zatrzymać się nad pewnymi momentami natury ogólnej.

W historjografjach przez nas rozpatrywanych za epokę minioną uznany jest odcinek czasowy, nazywany wiekiem XIX. Oczywiście wiek ten nie jest traktowany jako zamknięty przez daty 1801 — 1900, ale znacznie szerzej, przyczem początki jego przenosi się na połowę wieku XVIII, a koniec — na czasy wojny światowej. Jasna rzecz, że mówiąc o wieku XIX, ma się na myśli nie daty, ale pewne treści z temi datami się łączące, i że właśnie ze względu na te treści przyjmuje się ów wiek XIX jako uprzedni czy miniony w stosunku do czasów naszych. Treści te sprawiają, że dany przebieg czasowy, obejmujący chronologicznie taką czy inną ilość lat, pojmowany jest jako całość swoista, sobie właściwa, różna od innych, a przedewszystkiem różna od tego, co dziś przeżywamy. Zakończyła się czy zakańcza jakaś jedna całość, a rozpoczęła się czy rozpoczyna się jakaś nowa. Teraźniejszość ma być właśnie tym okresem przełomu, w którym likwiduje się wiek miniony, a powstaje wiek następny.

Założona jest więc tu „jedność wewnętrzna“ danego odcinka czasowego, nazwanego ze względu na ową jedność epoką czy okresem. Podstawą wyróżnienia jest związanie przebiegów wydarzeniowych w całość o wspólnym charakterze, stylu czy typie. Epoka powstaje jako rezultat porządkującej działalności umysłu, który pewien zespół wydarzeń, zamkniętych w ramach odcinka czasowego, ujmuje jako zwartą całość. Z reguły też każda epoka sprowadzana jest do kilku zasadniczych pojęć, które przyjmuje się jako wyznaczające ją bez reszty. W ten sposób średniowiecze staje przed nami jako asceza, gotyk, feudalizm, scholastyka i t. d.; Odrodzenie — indywidualizm, naturalizm, eudajmonizm i t. d. Innemi słowy, myślenie nasze o danej epoce sprowadza się do operowania pewną ilością sygnałów, podstawowych uogólnień czy uproszczeń. Łatwo dostrzec, jak ogromny wpływ wywiera tu nauka szkolna, posługująca się krańcowemi uproszczeniami, banalnymi skrótami swych podręczników. Szkole zawdzięcza ogół ten typ myślenia historycznego, w którego wyniku przeszłość widziana jest jako ograniczona ilość ogólniko-

wych formuł, niewątpliwie wypełnianych wyraźną treścią emocjonalną, ale nadwyraz ubogich pod względem zawartości poznawczej.

Wszelkie kierunki historjozoficzne z reguły operują podobnymi symbolami czy skrótami. Nie na czym innym bowiem jak na tem polega cały idealizm historyczny, który sprowadza sens dziejów do stawiania się takich czy innych idei naczelných. Filozofja dziejów Hegla jest tego najbardziej jasnym przykładem. W zwulgaryzowanym uproszczeniu historia staje się jakby szeregiem tytułów rozdziałów książki, której nikt zresztą nie czyta.

A tymczasem jedność epoki jest tylko konstrukcją naszego umysłu. Wytwarza się ona *ex post*, gdy wydarzeniom czasów minionych staramy się nadać jakiś logiczny ład, gdy porządkując je, usiłujemy je zawrzeć w owych sygnałach, skrótach czy symbolach. W rzeczywistości każdy odcinek czasowy jest współistnieniem bardzo różnorodnych treści, które, jeżeli dają się sprowadzać do jakiegoś wspólnego mianownika, to tylko w sposób przybliżony, za cenę poważnych uproszczeń i zniekształceń. Jeszcze dziś dla szerszego ogółu czytającego cała filozofja średniowieczna to arystotelizm, myśl filozoficzna drugiej połowy wieku XVIII to racjonalizm, a początek wieku XIX to romantyzm. Mamy tu do czynienia z symbolami, których treść rzeczowa jest bardzo uboga i które zarazem są zupełną deformacją rzeczywistego obrazu danych czasów. Arystotelizm średniowiecza to nie jest to samo co arystotelizm antyczny, jest on charakterystyczny dla niektórych kierunków pewnego okresu, a w żadnym razie nie jest tem samem, czem była bogata i różnorodna myśl filozoficzna średniowiecza. To samo da się powiedzieć i o wszystkich innych epokach.

Niewątpliwie jeżeli w danym odcinku czasowym da się stwierdzić szereg różnorodnych wartości ideologicznych jako rozpowszechnionych wśród tych czy innych środowisk na tych czy innych miejscach, to zawsze pewne z nich wybijają się w sposób szczególnie wyraźny. Lecz nie zawsze da się dokładnie ustalić, że właśnie jedna z nich, a nie inne, była bezsprzecznie dominującą, którą należy uznać za instancję, charakteryzującą daną epokę. Dzieje badań nad kulturą to ciągle rewidowanie naszych poglądów na temat roli tych czy innych wartości, które rzekomo w danym czasie dominowały i decydowały o jego obliczu. Nieustannie spotykamy się z rewelacjami tego rodzaju, że właśnie nie to, co uważaliśmy za najbardziej znamienne dla danej epoki, lecz zgoła coś innego, czegośmy dotąd nie doceniali, było szczególnie znamienne i wyznaczające. Te rewelacje wykazują najlepiej, jak względna jest jednolitość danej epoki i jak dalece konwencjonalny charakter mają te sygnały - uproszczenia, do których popularna historjozofja sprowadza sens epok minionych.

Ale względy obiektywno - poznawcze odgrywają tylko drugorzędną rolę w kształtowaniu się owych sygnałów jako elementów popularnych historjozofij. Służą one tym celom, jakie są zgodne z funkcjami społecznymi wszelkich historjozofij, i tylko od strony społecznej dają się należycie ocenić. I nie jest rzeczą przypadkową, że wiążą się z nimi tak silne treści emocjonalne. Gdy myślimy o owych sygnałach, to w zależności od naszych postaw społeczno - moralnych, naszych sympatyj, nastawień i przekonań, wprowadzamy do nich takie a nie inne wartości emocjonalne. Szczególnie wyraźnie zaznacza się to w stosunku do symbolów epoki, uznawanej za bezpośrednio minioną. A jeżeli mamy przeświadczenie o przełomowości naszych czasów, jeżeli posługujemy się historjozofją katastrofizmu, to symbole epoki bezpośrednio minionej stają się dla nas czemś żywym, czemś wybitnie aktualnym. Widzimy w nich wartości, którym w przekonaniu naszym przeciwstawiają się wartości czasów nadchodzących, i stosunek do wartości epoki minionej staje się zagadnieniem programu działania w rzeczywistości, w której bezpośrednio udział bierzemy. Walcząc o pewne ideały, widzimy w wartościach, którym się przeciwstawiamy, ideały epoki minionej, uznajemy je za przeżytki, które pragniemy z życia zbiorowego usunąć. Oczywiście może zachodzić również i stosunek odwrotny: ideały epoki minionej mogą być dla nas wartościami pozytywnymi, których bronimy przed naporem epoki nadchodzącej.

Tak więc wszystkie te skrótowe sposoby widzenia przeszłości, wszystkie te sygnały zaczynają być wprowadzane do rozgrywających się aktualnie wydarzeń, stają się hasłami dla ścierających się kierunków, dla tych czy innych stanowisk społecznych, politycznych czy moralno - kulturalnych. Przeszłość jest tu tylko powłoką, pod którą ukrywa się żywo drgająca współczesność. I pamiętając o tem, możemy przystąpić do omówienia problemu wieku XIX w niektórych współczesnych koncepcjach historjozoficznych.

III

Z nastawieniem zdecydowanie wrogiem do wieku XIX spotykamy się w różnych stanowiskach nacjonalistycznych i faszyzujących, podczas gdy wyznawcy demokracji mniej lub więcej wyraźnie nawiązują do wieku ubiegłego, występują jako jego obrońcy. Stanowisko przeciwników demokracji da się zgruba ująć w sposób następujący. Wiek XIX wytworzył swoistą ideologję, na którą dziś niema już miejsca, przyczem to, że na nią „niema miejsca“, można rozumieć dwojako. Według rozumienia pierwszego, ideologja wieku XIX umarła w sposób naturalny. Była ona wytworem swoistych warunków ubiegłego stulecia, warunki te dziś są zgoła odmienne, i dlatego ideologja dawna jest z natury rzeczy zastępowana przez nową, jej przeciwną. Jest to stanowisko deterministyczne. Ale obok niego występuje i drugie, w praktyce często

od pierwszego nie oddzielane. Można by je nazwać stanowiskiem moralizatorskim. Ideologia wieku XIX była jakimś zboczeniem, spowodowanym przez niesłuszny z punktu widzenia moralnego przebieg wydarzeń tego okresu. Ideologia ta przyniosła też wiele zła. Dziś to zło musi być naprawione przez odrzucenie ideologii i zastąpienie jej przez nową, wręcz przeciwną. O ile dla stanowiska pierwszego ideologia wieku XIX odgrywała w swoim czasie rolę pozytywną, ale dziś staje się przeżytkiem, skazanym na śmierć naturalną, o tyle stanowisko drugie traktuje ją jako jedno wielkie nieporozumienie, jako zboczenie z drogi właściwej, na którą dziś należy wkroczyć zpowrotem.

Mówiąc o ideologii, trzeba ustalić, co się przez to rozumie. Otóż i tu występują dwa rozumienia. Raz ma się na myśli poglądy, wyznawane przez zespoły ludzkie w jakimś okresie czasu; drugi raz na sposób romantyczno-heglowski sprowadza się ją do treści moralno - idealnej jakiegoś czasu, widzi się w niej ideę „zawartą“ w pewnej epoce, w ludziach i w sprawach tej epoki. W praktyce oba te rozumienia traktowane są jako adekwatne: poglądy, wyznawane przez ludzi, są wyrazem idei danej epoki, zawartych w niej treści pojęciowych.

W każdym razie, mówiąc o ideologii, operuje się pewnymi uogólnieniami, do których sprowadza się czy to sens wydarzeń, czy treść poglądów, uznawanych za reprezentatywne dla epoki. Ideologia staje się w ten sposób zbiorem pewnej ilości sygnałów, które danym czasom przypisujemy. W stanowiskach, zwalczających wiek XIX, atak na sygnały będzie istotnym momentem systemu historjozoficznego.

Sygnały te są brane z różnych dziedzin. Tworzą one spłot momentów gospodarczych, społecznych i politycznych, ze szczególnem jednak zabarwieniem natury moralnej. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu zagadnienie prymatu w ideologii wieku XIX czynników materialistycznych. Kultura wieku XIX — twierdzą zwolennicy tego stanowiska — miała charakter wybitnie materialistyczny, co się wyraża zarówno w przewadze techniki nad duchowością, jak i w ogólnem nastawieniu hedonistycznym, w brutalnym utylitaryzmie, w dążeniu do zysku. Odzwierciedleniem tego była panująca teoria klasycznej ekonomii politycznej, a w całym życiu gospodarczym i społecznym — kapitalizm, jako forma wytwarzania i wymiany, oraz liberalizm i marksizm, jako zasadnicze filozofie społeczne.

Nietrudno dostrzec, że takie ujęcie zawiera daleko posunięte pomieszanie pojęć, płynące z werbalnego traktowania materializmu. Materializm metafizyczny, materializm dziejowy i materializm w sensie stylu życia, polegającego na hedonizmie i dążeniu do zysku, są to rzeczy najzupełniej różne, które niekoniecznie występują łącznie i wcale nie warunkują się wzajemnie.

Utożsamianie tych rzeczy świadczy o daleko posuniętej ignorancji, dowodzi nieorientowania się w najbardziej elementarnych pojęciach.

Istnieje tu zresztą pewna obserwacja słuszna i przez nikogo nie kwestjonowana: wiek XIX był okresem imponującego rozkwitu techniki, a zarazem i potężnego rozwoju gospodarki kapitalistycznej. Oczywiście jedno i drugie miało swe uwarunkowanie historyczne w epokach poprzednich, a gdy chodzi o sprawy moralne, to ów „duch kapitalizmu“ początkami swemi sięga wieków znacznie wcześniejszych. W w. XIX wykazywał on raczej pewne znamiona dekadencji.

Jednakże nie sprawa ścisłości pojęciowej czy historycznej jest tu czynnikiem zasadniczym. Spekulacja historyczna i historyczno - filozoficzna odgrywa tu rolę najzupełniej uboczną i jest tylko próbą racjonalnego uzasadnienia postawy społecznej dla przeciwników wieku XIX. Ich antykapitalizm jest antykapitalizmem drobnego kupca, małego przemysłowca i tych wszystkich elementów społecznych, które bronią się przed niwelującym naciskiem produkcji wielokapitalistycznej. Otóż opór tych środowisk nie jest bynajmniej czemś nowem. Istniał również i w wieku ubiegłym i wtedy, jak dziś, posługiwał się chętnie legendą średniowiecza, idealizowaniem gospodarki cechowej, konstruowaniem programów korporacjonistycznych. Pod tym względem współczesny faszyzm nie jest niczem nowem. Wyraża on w dalszym ciągu te ideały społeczne, które cechowały drobnomieszczaństwo wieku XIX i, negując ideologicznie wiek miniony, faktycznie nie przestaje w nim tkwić. Jeżeli jednak ten antykapitalizm związał się dziś specjalnie z negacją wieku XIX, to dzieje się to dzięki działaniu szczególnych warunków, właściwych epoce powojennej.

Jeżeli materializm ma być jednym z naczelných elementów ideologii wieku XIX, to jako drugi obok niego występuje nacjonalizm. I ten, podobnie jak materializm, traktowany jest werbalnie i wieloznacznie. Zagadnienie to zresztą omawialiśmy na innem miejscu *). Tu zaznaczymy, że walka z racjonalizmem, a raczej z postawą, uznającą przewagę elementów myślowych w życiu kulturalnem, jest czemś tak starem, jak dzieje naszej kultury. W niemniejszym stopniu istniała ona i w stuleciu minionem i argumenty, jakimi się posługują dzisiejsi irracjonałiści, nie są ani lepsze ani gorsze od tych, jakimi się posługiwali dawniejsi ich poprzednicy. To, co przez cały wiek XIX napisano o błędach rozumu, stanowi ogromną bibliotekę i rzecz można, że walka z racjonalizmem i intelektualizmem to jeden z zasadniczych składników w życiu kulturalnem ubiegłego stulecia.

Dalszym momentem, składającym się na obraz ideologii wieku XIX, jest jej kosmopolityzm, co wiąże się, z jednej strony, z kapitalizmem, z dru-

*) Patrz: Dwie filozofje. *Wiedza i Życie*, r. 1934, zeszyt 4.

giej zaś — z rolą organizacji międzynarodowych. I tu spotykamy się z całym szeregiem krańcowych nieporozumień. Niewątpliwie wiek XIX jest okresem rozkwitu handlu światowego i powiązania gospodarki kapitalistycznej w jedną potężną całość. Są to fakty tak oczywiste, że zatrzymywać się nad nimi nie trzeba. Jednakże nie należy ich utożsamiać z kosmopolityzmem w sensie określonej postawy życiowo-moralnej czy kierunku ideologicznego. Kosmopolityzm rozumiany w ten sposób jest zawsze właściwy pewnym przodującym środowiskom społecznym i jeżeli w okresie rozkwitu kapitalizmu cechuje on wielką burżuazję, to w czasach poprzednich był on typowy dla szczytów świata feudalno-arystokratycznego. Jako ideologia jest on czemś bardzo starym i był dobrze znany antykowi. Zresztą wiek XIX, który był właśnie okresem rozwoju idei narodowościowej, a wraz z tem i początkiem kształtowania się ideologii nacjonalistycznych, miał liczne kierunki i hasła antykosmopolityczne i walka z kosmopolityzmem była w nim bardzo bogato reprezentowana. Wrogi stosunek do kosmopolityzmu, pod którą to nazwę podciąga się zresztą niezmiernie różnorodne treści, jest bardzo typowy dla wszystkich tych środowisk, których horyzont myślowy jest zamknięty w ciasnych granicach lokalnych warunków bytowania i dla których racją istnienia jest przeciwstawianie się wszelkim wartościom przychodzącym zzewnątrz, naruszającym ich stan względnego izolowania się. „Mali ludzie“ warstw średnich zawsze są nastawieni akosmopolitycznie i amiędzynarodowo i zawsze będą hołdowali wyraźnemu partykularyzmowi. Tę samą tendencję wykazywali w wieku ubiegłym, co i dziś. Oczywiście jeżeli ta postawa w czasach obecnych wypowiada się w formie szczególnie nasilonej, to jest to następstwem swoistych warunków obiektywnych, które z wielką siłą wdzierają się niszczycielsko w świat „małego człowieka“. Kosmopolityzm wieku XIX staje się dla niego dziś uosobieniem wrogich sił, które teraz podważają podstawy jego bytowania kulturalnego i społecznego.

Wreszcie wiek XIX to okres panowania haseł Rewolucji Francuskiej, zasad wolności, równości, braterstwa i indywidualizmu. Na zasadach tych oparł się ustrój demoliberalny, który przyniósł ludzkości anarchję gospodarczą i społeczną. Ustrojowi temu należy się dziś przeciwstawić z całą bezwzględnością i na miejsce dawnych zasad wprowadzić nowe — autorytetu, hierarchji, dyscypliny, organizacyjnego podporządkowania się. Przejście od zasad Rewolucji Francuskiej do zasad nowych ma mieścić w sobie istotny sens zachodzącej dziś wielkiej przemiany.

I tu znowu stajemy wobec daleko posuniętego pomieszania zasadniczych pojęć. Ideały wolności, równości i człowieka to nie jest to samo, co praktyka liberalizmu gospodarczego, a demokratyzm nie jest równoznaczny

z pewnymi formami parlamentaryzmu. Na temat demoliberalizmu pisze się bardzo dużo, lecz ogromna większość tego, co zostało napisane, świadczy, jak dalece piszący nie rozumieją pojęć, któremi się posługują. Cała ta wojna z demoliberalizmem, który uważany jest za bardzo zasadniczy atrybut wieku XIX, jest smutnym przykładem upadku współczesnej myśli społeczno - politycznej.

Nie możemy się tu wdawać w analizę rzeczowości stanowisk antydemoliberalnych. Zaznaczymy jedynie, że nie spotykamy się tu z poglądami nowymi, lecz ze zwulgaryzowaniem powtarzaniem poglądów przeciwników zasad Wielkiej Rewolucji z wieku ubiegłego. Nigdy w wieku XIX zasady te nie były realizowane w całej pełni, zawsze miały charakter postulatów ideologiczno - moralnych i zawsze natrafiały na niesłychanie ostry sprzeciw. Związanie ich dziś z wiekiem XIX jest znów wysoce znamienne dla sytuacji socjalnej warstw społecznych, które operują dziś mitem antydemoliberalizmu. Pragnienia autorytetu, hierarchji i dyscypliny są dziś wyrazem oczekowań tych warstw społecznych, które, dotknięte rozkładem wewnętrznym, widzą swą nadzieję w jakiejś potężnej maszynie organizacyjnej, stawiającej każdego na swoim miejscu, gwarantującej mu możliwość istnienia. Koncepcje organiczne, lęk przed indywidualizmem, przed chodzeniem samopas, mówią nam o dramatycznej rzeczywistości, w jakiej znalazły się pewne warstwy społeczeństw współczesnych. I dlatego w świecie „małych ludzi“ kształtuje się mīt pozytywny nowego średniowiecza, który się przeciwstawia mītowi negatywnemu wieku XIX. Ten obraz średniowiecza, tak daleki od rzeczywistości historycznej, wyraża w sobie tęsknotę za jakąś krańcową stabilizacją, za jakimś ładem, gdzie każdy miałby swój punkt oparcia i swój choćby niewielki, ale pewny zakres działania. W tem hierarchicznie uporządkowanym społeczeństwie odpowiedzialność za bieg spraw publicznych spadałaby całkowicie na szczyty hierarchji — na wodza i jego drużynę. „Mały człowiek“ pragnie spokoju, chce się zamknąć w kole swoich spraw bezpośrednich, ale tu chce czuć pod nogami grunt pewny. Wiek XIX, w którym w rzeczywistości żył podobnymi pragnieniami, wydaje mu się groźnym zaprzeczeniem tych jego pragnień.

IV

Obraz wieku XIX w popularnych historjografjach współczesnych jest więc konstrukcją abstrakcyjną, jest fikcją, która nie znajduje pokrycia w rzeczywistości minionej. Ma ona natomiast swą odskocznnię w tem, co jest treścią czasów dzisiejszych.

Analizując w swoim czasie zagadnienie stosunku do obcych i omawiając sprawę antysemityzmu, kładliśmy nacisk na to, że spotykamy się tu

z postawami, w których element fikcji odgrywa rolę czynnika, rekompensującego katastrofalność pewnej sytuacji społecznej. W legendzie o wieku mionym spotykamy się z inną stroną tej samej postawy. Środowisko społeczne, wchodzące w stadjum wewnętrznego rozpadu, wytwarza sobie szereg fikcyj, w których ogniskuje swe obawy i nadzieje — wyniki swej rzeczywistości społecznej. Fikcje te możemy nazywać mitami, legendami czy innymi pokrewnymi nazwami.

Nazwy te wyrażają, że mamy tu do czynienia z zasobem treści obiektywnie fałszywych. Niemniej treści te mogą mieć swój sens społeczny i czynią zadość pewnym potrzebom społecznym. Są więc realnościami społecznymi, z którymi zarówno teoretyk kultury, jak i praktyk życia musi poważnie się liczyć. To, że coś jest głupstwem, nie zmienia faktu, że może ono być przez wielkie gromady ludzkie przyjmowane za prawdę i że mogą się w niem wyladowywać jakieś treści społeczne. Błędem krańcowego racjonalizmu jest założenie, że wykazanie błędności jakiegoś stanowiska jest równoznaczne z praktycznym jego przekreśleniem. W rzeczywistości fikcja może mieć niezmierną żywotność, jeśli tylko spełnia funkcję społeczną.

Nie mamy zamiaru konstruować tu jakiegś ogólnej teorii funkcji społecznych. Na jedno tylko chcemy zwrócić uwagę — na rolę pierwiastków negatywnych w fikcjach, jakimi kieruje się nacjonalizm w dzisiejszej swej fazie rozwojowej. Wypowiadają się one w jego zwalczającej postawie wobec czegoś, co uznawane jest za siłę wroga i zagrażającą. Czy to będzie obcość, czy obcy, czy też cała jakaś epoka — zawsze na pierwsze miejsce wysuwają się momenty obronności i lęku przed niebezpieczeństwem, uosobionem w przedmiocie fikcji. Bezwątpienia za lękiem idzie i szukanie wartości pozytywnej — oparcia się o coś, znalezienia jakiegoś środka odparcia przeciwnika. Ale ten moment pozytywny jest dopiero okolicznością wtórną, towarzyszącą zasadniczej postawie, która jest wyznaczona przez lęk. I ta postawa zdradza rzeczywiste podłoże społeczno - dziejowe ideologii nacjonalistycznej. Jest niem rozkład środowisk społecznych, które taką ideologią żyją. I dlatego w nacjonalizmie tyle jest nieświadomego tragizmu. Jest to ideologia zamierania, ideologia kończącego się świata, który w fikcjach energii, dyscypliny i organizacji, czynu i bohaterstwa stwarza dla siebie ideologiczną rekompensatę za beznadziejną rzeczywistość.

STEFAN NAPIERSKI

DWIE KSIĄŻKI CZECHOWICZA

I

Ballada z tamtej strony ukazała się w r. 1932; jest to trzeci z kolei tom wybitnie utalentowanego liryka. W porównaniu ze zbiorami poprzednimi nie znać tu rozszerzenia skali, uderza natomiast świadome rozbudowanie nawskroś indywidualnej metody artystycznej, coraz czulsze, subtelniejsze władanie *własnym* językiem pojęciowo - muzycznym, tworzenie odrębnej „sztuki poetyckiej“, opartej wyłącznie o sprawdziany wewnętrzne, zamknięte w obrębie osobistej jaźni autora. Czechowicz od pierwszych wierszy, jakie drukował przed laty, dał się poznać jako najbardziej bodaj samotny poeta swego pokolenia; i tu, w następstwie, z wiarą w niezastąpione nawet w świecie w. XX posłannictwo poezji, usiłuje dokonać czynu wielkiej odwagi duchowej: przywrócić liryce pierwotną jej autonomję, jej samowystarczalność, tę samowystarczalność naturalną, tajemniczą i wieloznaczącą, jaką przechowuje pieśń i klechda ludowa, organicznie sprzęgnięte z podskórnym, pół-bezwiednym życiem zbiorowości. Pragnie, słowem, napowrót podźwignąć ją do mitu.

Czechowicz jest nietylko osobliwie pobudliwą organizacją psychologiczną, instrumentem o bardzo zróżniczkowanej wrażliwości, lecz zarazem autorem etycznym, zabiegającym o rygor kompozycji, o logikę wizyj. Ten urodzony elegik, każdą frazę zatapiający w strumieniu magiczności, nurzający palce i oczy w źródłach czarnoksiężskich zaklęć, pisze całkowicie tak, jak patrzy i słucha. Nie znaczy to, by ulegał płynności widzeń, bez kontroli folgował rozlewności „słowiańskiego“ żalu; przeciwnie: obrazy - dźwięki, obrazy - akordy przygważdża, wyławia, odnajduje, daje szyfr, zaznacza interwały. Jest wynalazczy i odkrywczy. Nie zawsze, oczywiście, z jednakowym skutkiem; lecz taki jest postulat jego, romantyka a zarazem — nowo-

czesnego poety. Istotę tej budowy artystycznej, o którą u dna wsparty jest każdy wiersz Czechowicza, możnaby tak spróbować określić: jest to religijna chęć wyrwania się na „wolność metafizyczną“, by poprzez sekundę widzenia dojrzeć szparę, lukę, szczelinę ku „tamtej stronie“, ku ceniom platońskiej jaskini, ku zaświatom czystej wyobraźni, mającym w sposób solenny i nieodwołalny usprawiedliwić świat zwykły zjadaczy chleba, co więcej: utrwalić go, przywrócić mu niewątpliwą tym razem realność. Poprzez niebiosy i piekła poezji Czechowicz nie przestaje poszukiwać ziemi. Urzeczony wizjami, świat pragnie urzeczywistnić od nowa; posiada integralną postawę twórcy; sztuka dłań i kosmogonja — to jedno.

W założeniu tem mieści się *imaginaryjność* jego poezji wraz z wszystkimi jej niebezpieczeństwami: jest to artyzm, chwiejący się na cienkiej krawędzi nicości, musującej plazmy, z której powstają kwiaty, demony, pejzaże i gwiazdy. By ziemię na nowo kreować wyobraźnią, trzeba ją wprzód odcielesnić, by piękniejszymi potem zaludnić ją zjawami. Trzeba w sobie samym odnaleźć punkt wyjścia: żrący potok, w którym roztopi się kosmos, by w następstwie złożyć się prawdziwiej. I oto drugim z kolei, podstawowym składnikiem formy tego poety jest przedziwna, niepowtarzalna, naturalnie brzmiąca, a przecie irracjonalna melodyjność, opływające wiersze, istotnie zrodzone z „ducha muzyki“. Zaśpiewy, inwokacje, śpiewne rytmizowania, urwanie nuty w pół-dźwięku, zmiana tempa, przrzucanie miar, wyrafinowana gra wiersza wolnego i regularnego, daleka powtarzalność brzmień pokrewnych, — ta zawiła, lecz nigdy niemal sztuczna instrumentalizacja sugeruje, podpowiada, narzuca z przeciwieństw powstającą *harmonję* istnienia, kształtowanego przeżyciem poety. Muzyczność ta syntetyzuje, zamyka w jedno, całkuje świat bezgraniczny, ów chaos przedstworzeniowy, rozbity ma wizje metafor.

Jest to zupełny i nieodwołalny odwrót od naturalizmu w poezji, od wszystkiego, co zatracać może opisowością. Rzeczy w obrębie wierszy Czechowicza istnieją tylko pośrednio i wtórnie, jako ślady, smugi, drgania, elementy. Przez zogniskowanie i zorganizowanie widzeń, dzięki niezwykle wytrzymanej metaforyczności, tworzy on niekiedy, a raczej sugeruje świat inny, niesamowity i pociągający: wzmożonej realności artystycznej. Niesamowity, gdyż jakby oglądany w pół-uśpieniu, w odrętwieniu proroczym katalepsji. Bywa tak, że poeta ten poprzestaje już tylko na znakowaniu, na partyturze niejako, lubuje się w napomknieniach, w niedopowiedzeniach (typowy wiersz: „Zdrada“); wtedy tej niematerjalności czarnoksięskiej grozi rozwianie się w abstrakcję, gdyż magja taka, oparta wyłącznie o wyczulenie słuchowe, wykracza jakgdyby poza same granice wyrazów, zbliżając się do muzyki atonalnej. Dążenie do bezinteresownej czystości formalnej

i rozedrganie uczuciowe kłóć się tu niejednokrotnie; technika wersyfikacji, uwspółcześnionej nawskroś, nawet trochę programowo i natrętnie (unikanie majuskulów i przestankowania), nie zdoła ukryć uroczego w swej staroświeckości sentymentalizmu. Brzmieć to może paradoksalnie, a przecie w poezji Czechowicza przeżywamy jakby nawrót czy nawet renesans oczyszczonego i skondensowanego romantyzmu, słowo „ballada“ w tytule tomu z pewnością nie jest przypadkowe, lecz użyte z całą rozmyślnością, a nostalgiczna i śpiewna „dumkowość“ wielu wierszy to nie tylko objaw rdzennej ich polskości, lecz zarazem głębsza ich istota.

W osobie Czechowicza spotykamy *wrażliwość* poetycką wyjątkowo autentyczną; jest to, jak się rzekło, artysta urzeczony, nawiedzony nawet, — i to wydaje się w nim rozstrzygające. Odrazu rezygnuje z popularności, z przystępności nawet, nad rozgłos przekładając heroizm dojrzewania; swą *ars poetica* wydobywa organicznie, wyszarpuje niejako z ostatecznych i nieuszczipionych założeń osobowości, rozbudowuje ją i przymierza do zrębów istnienia. Akt twórczy jest dlań tyle tajemniczy, co powstanie kosmosu. Wiersze jego apelują do skrytych powinowactw, narzucają czytelnikowi sztywność nieomylną hipnotyzmu i zagadkową melodię zasłuchania, unoszą go w strefy grozy i piękna; zyskują przy powtórnej lekturze, gdyż wtedy dopiero pojmuje się (czy też odczuwa) w pełni, że są to utwory powstałe od jednego rzutu, wynikłe z załączka wizji ku olbrzymim lub delikatnym, lecz zawsze wzajem dopełniającym się obrazom. Wydzźwięk wiersza ostatni wyjaśnia pierwszy ton. Ten senzytywny, utajony romantyk, zapatrzonej w refleksy, spektralne barwy i odbicia, każdym wierszem wymierza jakby granice kosmosu.

Widzeniowość, widziadłaność, wizyjność, — raz po raz trzeba to powtarzać. W związku z tem należałoby podkreślić szczególne poczucie *malarzkości* Czechowicza, jego nieomylny instynkt kompozycji; plastyka to wielce sugestywna, lecz niewolna od udrapowania, od dekoracyjności, przerwana niekiedy ku ornamentacji. W samym gatunku takiej plastyki czai się — poza przymusem temperamentu — zamiar, postanowienie, niemal program literacki. Grozić to może manjerą. Autor bowiem wybornie włada eliminacją, w przeblaskach ukazując zachwycające, świeże i odkrywcze obrazy (lub cienie ich, rzuty i ślady), lecz niezawsze ustrzedz się potrafi ich nadmiaru i stłoczenia; *usamodzielnia je* — jakby z wielkiej taśmy filmowej, tu i ówdzie zbliżając oczom skrawek wycięty z całości — i przez tę samoistność uwypukla i akcentuje przepiękne fragmenty, lecz niekiedy zamazuje całość. Z władcy obrazów, z mistycznego reżysera, przemienia się w ich niewolnika. Demony, które rozpętał, nim samym poczynają władać.

Lecz nie zapominajmy, że w wypadku tym *credo* poetyckie pokrywa się z *credem* filozoficznym, czy, jeśli kto woli, religijnem. Czechowicz nie wierzy w świat, który zastał, lecz w ten, który tworzy. Jest w tem przymus, lęk i zachwyt. W konstruowanych przez Czechowicza akwarelach poetyckich wszystko jest ruchome, płynne, w przelewnym stanie, czekającym na palce i dłoń, na chuchnięcie warg, na objęcie uchem i żrenicą. W przesuwalności tej wszystko jest możliwe: zatrać i ocalenie, groza, legenda, słodycz i straszność. Wiersze Czechowicza, to jakby *obrona* przed naporem sunącego czasu i ruchomej przestrzeni, — to z trudem wywalczona możliwość ostania się na cyplu romantycznego osamotnienia. Jest to powrót, poprzez dzieło sztuki, ku źródłom, które więżą.

II

Tom *W błyskawicy*, opublikowany przy końcu r. 1934, jest szczuplejszy od poprzedniego, lecz, kto wie, czy nie bardziej jeszcze ważki. Wzbudził on zastrzeżenia — nawet pośród licznych przyjaciół literackich Czechowicza, w gronie coraz rosnącym poetów młodych, wywodzących się z prowincji, ulegających jego promieniowaniu, którzy, ceniąc wysoko jego sztukę i ulegając jej czarowi, pragnęliby rozszerzyć jej zasięg, zbliżyć do bezpośredniej rzeczywistości socjalnej; głosy te, pomawiające Czechowicza o *sui generis* egotyzm, tylko poniekąd są słuszne. Zbiór ten bowiem jest w istocie kontynuacją uprzedniego nowatorstwa, wykrystalizowaniem go coraz bardziej świadomem, doprowadzeniem linii wszczętej do krańca, wydobyciem nowych możliwości z dawniejszych, niegdyś powziętych założeń; jest, słowem, realizacją całkowicie dojrzałego temperamentu twórczego, nieprzejednanem zachowaniem wierności samemu sobie. To nie tylko zjawisko poetyckie i przygoda duchowa, lecz także czyn bezkompromisowej odwagi. Rzecz inna, czy poza ten kraniec istnieje droga rozwoju w tym samym kierunku, któraby nie była ślepa uliczką?

Sam autor zbioru, *W błyskawicy*, to raz jeszcze *credo* i wyznanie artysty: krąg zamknięty w widzeniu, świat zawarty w ognisku soczewki, przegwożdżony przebłyskiem blasku, jak cięciem miecza poprzez „morze ciemności“, ujrzany i ukształcony sekundą olśnienia. Poeta nie ogląda się tu na nikogo i na nic, brzmieniem zaklęcia jak na wielkiej pustyni wywołuje z nicności słuchacza, żąda od niego słuchu i wzroku „absolutnego“. „Wołam: bądź“ — tak przemawia do poezji, do człowieka, może do bóstwa; kreując wiersz, zmierza w istocie do teogonji.

Ramy widzenia coraz mocniej i przejrzyściej budowane są przez Czechowicza (porównaj wiersz „Mały mit“), a wypełnia je — jeśli wolno tak rzec — falująca melodia obrazów. Motyw muśnięty wraca następnie wzmo-

żony (tu okno — szyba) w logicznym nasileniu skojarzeń, rozkwitający z pierwotnego korzenia w coraz dalsze drgania uczuciowe, jakby struna dotknięta w przelocie do współdźwięku pobudziła inne, pokrewne, uśpione. Czechowicz z niespotykaną wirtuozeryją (lecz majsterstwo nie jest tutaj popisowe, niema nic z efekciarstwa, przeciwnie: jest niejako wyrazem odpowiedzialności i pokory) wiąże łańcuch metamorfoz; każda sylaba niemal w tobie tym posiada właściwą sobie funkcję i wartość, forma wypracowana jest do ostatka i — pomimo spontaniczności — nic nie jest puszczane luzem. Taki „Dom św. Kazimierza“ to zadziwiający w rodzaju tym poemat; tylko prawdziwe natchnienie zdoła uderzać tak raz po raz w sam nerw wzniosłości niekłamanej, tak się pasować o tragizm wielkości, taki czynić porachunek z własnym powołaniem i — poprzez sztukę — z powołaniem całego narodu. W metodzie tej dopatruję się woluntaryzmu: jest to marzeniowość spięta wolą, patetyczne organizowanie chaosu, a walka o konieczność sztuki przemienia się tu w walkę o możność wrośnięcia w skrawek ziemi, jednoznacznej i sycącej pewnością, zakorzenienia się gdziekolwiek, ostatecznie. Poeta własnej poszukuje ojczyzny.

W zbiorze znajdujemy szereg utworów, opartych wyłącznie niemal o uzupełniające się współdźwięczności, o odległe konsonansy brzmień, barw, obrazów: są one hermetyczne nieco — jakby za Czechowiczem zatrzęsły się raz na zawsze drzwi poezji, jakby kołatał teraz o nie zpoza „tamtej“ utęsknionej „strony“ — dające pole do rozlicznych interpretacji, czytelnikowi — swobodę zakończenia fantastycznych dopełnień. Lecz nawet tu (porównaj „Nuty na dzwony“) wyborne zakończenie przywołuje świadomość, zaznacza moment *ocknięcia*. Wizje bowiem Czechowicza („Śnica i śniegowica“), nuty zdawałoby się całkowicie oderwane, podlegają bezustannie czujnej kontroli, *uwypukleniu* w pojedynczych strofach; reszta jest jakby poddawczym, przygotowawczym lub zamykającym akompanjamentem, tym *niewyrażalnym* żywiołem (zazwyczaj pomijanym przez piszących), z którego wynika i w który zpowrotem spływa jego poezja. Czechowicz lekko i wyraźnie zarysowuje brzegi, o które pluszcze toń irracjonalizmu.

Nie wyłącza nic, nie pomija, dobiera tylko; dzięki temu uzyskuje czarodziejską jakąś bezpośredniość, najtrudniejszą, pełną ryzyka i udręki prostotę tych, którzy w najdrobniejszym szczególe ogarnąć pragną nieskończoną całość, zwróceniu ciągle twarzą ku minionym i idącym wiekom, do ostatka zróżniczkowaną chwytliwość odcieni, w końcowym wyniku: *pełnię* („Prowincja noc“). Olbrzymie interwały, niedopowiedzenia, skrótowość, syntetyczność obrazowa, wyrzutnie — nie służą tu rozplynieniu, jakby się wydawać mogło powierzchownemu obserwatorowi — przeciwnie: zadziwiająco wzmagają poddawczość, którą w następstwie uorganizować winna wy-

obrażnia odbiorcy. Oto czemu rezultaty, osiągnięte przez tego, by raz jeszcze zaznaczyć, urodzonego elegika, godzi się nazwać *nowoczesnym epizmem*. Przebija to zarówno z samych tematów czy raczej pretekstów, nadmiernie niekiedy literackich (bardzo piękny skądinąd poemat „Eros i Psyche“), jak zwłaszcza z ich ujęcia. Niezwykłej mocy dytyrambem jest „Hymn“ (do śmierci), zdumiewająco zobiektywizowany, anulujący niejako pojedynczą, osobistą jaźń autora, który przetwarza się w głos rzeczy samoistnych, wyzwolonych od człowieka (jak Rilke w ostatnich swych książkach); wspinałym wierszem jest utwór zatytułowany „Polacy“, znamieny dla Czechowicza przez doskonałe scałkowanie eksperymentalizmu formalnego z tradycyjalizmem treści uczuciowych; „Iljada tętni“, poświęcona pamięci Wyspiańskiego, zastanawia secesyjnością obrazowania, „modernizmem“ z przed lat trzydziestu, czyżby zamierzonym? Tu plansze Wyspiańskiego do przykładu Homera przedziwnej ulegają przemianie: będąc zapewne punktem wyjścia dla widzenia Czechowicza przetwarzają się pod jego ręką w wizjonalne *ilustracje* faktów imaginacyjnych, podobne tym, jakimi Wiliam Blake zdołał swe od niebios do piekieł rozpięte poematy. Zdobniczość... od niej wolny nie jest Czechowicz. Jest to bardzo polska właściwość; takie „Dzieciństwo“ choćby jest aż wymyślne w swej zamierzonej, wystylizowanej naturalności; młodopolski teatralizm niejedną z tych wizyj kształtuje (porównaj „Złe dwie minuty“) — i słysząc stukot koturnu sztuczności. Ludowe wycinanki, prymitywizowane skrawki ornamentacyjne niepotrzebnie „unaiwniają“ znakomite wiersze („Autoportret“). Tu Czechowicz zbyt uparcie *poprzestaje na sobie*. To przypuszczalnie mają na myśli awangardowi poeci i młodszy ich koledzy w swych zarzutach. A przecie — obok Przybosa — jest Czechowicz dzisiaj najwybitniejszym bodaj lirykiem polskiej awangardy; pośród poetów trzydziestoletnich czołową osiągnął pozycję. Tem bardziej cenną, iż uzyskaną całkowicie samodzielnie.

STEFAN FLUKOWSKI

K R O K

*W tej chwili, gdy się stopa oderwie od ziemi
i wprzód przenosi, powstaje przestrzeń,
objęta radosnym wyżem, z polami dwuimiennymi.
W niej zbudujemy nad jeziorem dom w rozgwarze muszek —
krzyku ptaków — w samym środku szeleszczeń
drzew — z dachem blaszanym i żelaznym rusztem,
gdzie jezor ognia, pełznąc, łąpczywie liże popiół.
Zbudujemy dom, aby się ponad nami rozpiął
i objął nas zewsząd wielobocznie zamkniętą bryłą:
więc może być — chociaż ciągle rośnie — niewielki, zupełnie mały
byleby zimny deszcz nie ciął i słońce za dachem skryło
żar — gdzieby można płyty łak do wnętrza wciągać przez okno,
a szyby — zasłony ze srebra — na wietrze by falowały,
krzew bzu o blachy obrzmiałych rynien szeleścił,
i słyhać było szum owocowych drzew, gdy na słocie mokną.
Oto powstaje dom, który świat pomieści
pod szerokimi okapami naświetlonemi księżycem —
wśród łodyg z płaskim kwiatem zwróconym do słońca —
błękitną strzechą szeroko zapadły za widnokregu granicę.
Już dachów ostro łamane krawędzie
goniąc ogromne, rozsuwające się ściany z nad głów nam pierzchły,
a dębowe węgły wyszły poza widziane,
poza wszystko, póki się gdzieś ze sobą nie zeszły,
nie stopiły w sprężonem powietrzu i oto dom nie ma końca
wyolbrzymiając się bezustannie w jedną kulistą ścianę.
Tak powstał nasz niezmierny, wywołany pragnieniem z nicości świat*

*I nagle zamąciła się kulistość domu,
 znikła — dach się znów zbiega załamując ponad ściany
 z debowych desek — węgły tkwią w skończonem polu,
 gdzie droga gzygzakiem w piachu leży naksztalt gromu
 tkniętego bezwładem, a nad nią w pustce wisi obłok szklany.
 Dom błękitnemi okapami już rozpiął się nad ziemią
 i księżyc wygląda na nim jak długie srebrne pasmo,
 drzewa opłynęły kwiatem i rosą — ptaki ptakami się mienia —
 ugina niż izobary — pulsują zmienne wartości w magnetycznem polu
 nocą zorza polarna płomienie ku sobie nachyla.
 Jeszcze jest dom ale bardzo mały,
 coraz mniejszy, ubogi — niech będzie poprostu chatą,
 gdzie drzwi otwarte to rozłożone skrzydła motyla,
 który usnął na ścianie szerokiej jak atom,
 sam podłużny i czarny ciemnością głębokiej sieni.
 Już krople cynku z rynien przestały
 okapywać i roztopiać w czarnej ziemi —
 słoneczniki padły przerażonym kwiatem w piasek
 i tak zostały prężąc boleśnie ku górze grzbiety łodyg.
 A kiedy wreszcie zginął dom wśród wrzawy krasek
 szukających złotych much i miotania się ryb spragnionych wody,
 dosłyszeć można było jeszcze szelest głowni gdy gasł w nich ogień,
 póki żelazny ruszt jak ostateczne dno nie zapadł się w chaos brył,
 póki nie znikła reszta przestrzeni z pod nogi
 w tej chwili, gdy stopa na ziemię opadła i zanurzyła się w gościńca pył!!*

(Z cyklu: „Piechota“)

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

ZWYCIĘSTWO GUSTAWA FERENSENA

Pan Tomasz obrócił się w stronę mówiącego powolnym ruchem ludzi starych. Sięgnął po swój kieliszek, ale rękę zatrzymał na białym obrusie. Łagodne światło odbijało się w gładkiej powierzchni szkła, przez które przeświecał złotawy kolor wina. Siwemi, bez blasku oczyma wpatrzył się w jasny płyn, jakby chciał utrwalić w pamięci jego przemijający kształt, zamknięty przezroczystymi ściankami. Potem uśmiechnął się melancholijnie i palce, obejmujące szyjkę kieliszka, otworzył nazewnątr, co czynił zawsze, ilekroć miał czemuś zaprzeczyć. Na jego szorstkiej dłoni rysowały się głębokie linje i pęknięcia, jakby wszystkie lata jego życia żłobiły na niej swój ślad. Ręce pana Tomasza miały swoją wyrazistą mowę. Były zawsze czynne, jakby już tylko w nich pozostała resztką bujności jego starych lat. Upłynęła spora chwila, zanim się odezwał.

— Więc pan uważa, że wszystko w porządku?

— No naturalnie. Trudno przecież, żeby jakieś przypadkowe okoliczności mogły zaważyć na życiu.

— O, o to właśnie chodzi. Zbyt wiele z tego, co czynimy, wypływa z prostego przyzwyczajenia. No tak, trudno, żeby przelotne spotkanie z jakimś mężczyzną i to jeszcze w takiej miejscowości, gdzie ludzie mają dość swobody, aby urozmaicać sobie nawzajem wypoczynek, mogło zmienić bieg jej życia. Ale czy zastanawiał się pan kiedy, że jeśli czasem nie bierzemy w rachubę przypadków, to tylko — z braku odwagi? Widzicie — zwrócił się do wszystkich — ja jestem człowiek stary; spędzam wiele godzin w samotności i mam dość czasu, żeby różne ludzkie sprawy rozważać. Nie myślcie, że kiedyśmy zdecydowali się tak czy owak postąpić, to

już wszystko skończone. Ileż to razy zdarza się w życiu, że spotykają nas rzeczy, na które nie jesteśmy przygotowani. Najczęściej odrzucamy je poprostu. Ale przecież zostają w pamięci i powodują ciągły niepokój... Rozważyłem to sobie jeszcze przed paroma laty, podczas ostatniego wielkiego turnieju o mistrzostwo Europy. Jak wicie, od dłuższego już czasu w cyrku odbywają się tylko drobne lokalne zawody, na które mało kto chodzi. A dawniej przychodziło tyle osób, że nowy budynek cyrku wydawał się jeszcze za mały.

Pan Tomasz mówił zwrócony do najbliższej siedzącego Aanskara, zapalając raz po raz fajkę, która mu często gasła. Miał już taki zwyczaj, że jeśli nawet znajdował się w większym gronie, zwracał się zawsze do jednego człowieka, jakby czynił przyjacielskie zwierzenia. To stwarzało przyjemną atmosferę intymności. A przecież nigdy nie opowiadał o sobie. Zdawać się mogło, że przez całe życie przyglądał się tylko innym ludziom.

— Zapewniam was, że ostatniego dnia turnieju siedłem na spotkaniu Ferensena z Adsonem z niemniejszą ciekawością, niż te tysiące widzów, którzy od miesiąca szczerze zapełniali wszystkie krzesła i ławy i gwarną cizbą cisnęli się na galerji. Cóż, powiecie, dziwnego, że walki zapaśnicze ściągały tylu widzów? Przecież to właśnie najprzyjemniejsza rozrywka dla ludzi, którzy nie czytają książek, a w gazetach przeglądają rubrykę wypadków, ogłoszenia tanich kin i program cyrku. Cóż, pomyślicie, nadzwyczajnego w tem, że tak mnie interesował ostatni dzień rozgrywek o mistrzostwo Europy, walka dwóch atletów, z których każdy zwyciężył około 50-ciu przeciwników? Przecież to zupełnie naturalne u człowieka, który przez tyle lat obracał się wśród ludzi, co na ringu zapaśniczym walczą o pieniądze i niezbyt zaszczytną sławę, szczególnie, że, jak sobie niektórzy z was może przypominają, wypadło mi przewodniczyć całej imprezie. Zupełnie jak na pierwszym turnieju w nowym budynku cyrku, kiedy to Gustaw Ferensen, już wówczas najpopularniejszy u nas zapaśnik, jednym błyskawicznym chwytem powalił na obie łopatki Adsona, chociaż ten młodzieniec wykazał tyle zręczności i siły, że galerja — ten najczulszy barometr powodzenia i uznania dla cyrkowych atletów, obawiała się, czy mu Gustaw czasem nie ulegnie. Ci z pośród was, którzy lubią twierdzić przy lada okazji, że historia się powtarza, mogą sobie ten wypadek doliczyć do nagromadzonych troskliwie dowodów, jeżeli, oczywiście, uznają, że jest tego wart, że taka sprawa, jak spotkanie dwóch atletów w walce francuskiej albo wolno - amerykańskiej, może mieć dla kogokolwiek postronnego znaczenie. Ale gdyby ktoś istotnie chciał zużytkować sprawę Ferensena i Adsona, jako dowód, że pewne zdarzenia powtarzają się z całkowitem prawie podobieństwem, musiałbym go przestrzec, że w tym wypadku jest

to wyłącznie podobieństwo najbardziej zewnętrznych okoliczności. I tak: do finału po całomiesięcznych walkach doszedł Gustaw Ferensen i Arney Adson, zupełnie jak przedtem. A przecież jakże inne nastąpiło rozwiązanie!

Przebieg faktyczny tego wieczora, który dla kilku ludzi miał stać się najważniejszym momentem życia, należy właściwie do kroniki policyjnej. Bo zawsze tam, gdzie w grę wchodzi niespodziewana śmierć jakiegoś człowieka, ma coś do powiedzenia policja i sędzia śledczy. Każdy drobny szczegół musi być przecież jaknajdokładniej wyjaśniony, żeby mógł zapaść wyrok — ostatnie słowo sprawiedliwości, zamknięcie niejako ludzkich sądów. A zdań o sprawie Gustawa i Arneya było wiele — jak zwykle w takich razach, bo ciekawość ludzka ma zamiłowanie do roztrząsania rzeczy, które trudno sprawdzić i do snucia rozmaitych domysłów.

Jeśli kogo z was zainteresował już przedtem tak drobny fakt, jak nagła śmierć jakiegoś tam atlety, słyszeliście napewno, że Adson poprostu zabił Gustawa. Ja sam doszedłem później do wniosku, że taki właśnie sąd musiał się narzucać tym, którzy o wypadku wiedzieli ze słyszenia. W ten sposób ułożyły się fakty, że takie ich tłumaczenie miało cechy prawdopodobieństwa. Bo spróbujcie sobie wyobrazić: młody, prawie nieznany zawodnik przyjeżdża na turniej o mistrzostwo Europy. Po raz drugi w życiu udaje mu się pokonać kilkudziesięciu przeciwników i tak samo jak przed trzema laty ostateczną walkę ma stoczyć z Gustawem Ferensenem, który już poprzednio nie pozwolił sobie wydrzeć z garści tytułu mistrza. Ostatniego wieczora, kiedy rozgorączkowana publiczność czeka wyjścia zawodników na ring, okazuje się, że walki wcale nie będzie, że jeden z tych ludzi przed chwilą umarł. Nie kto inny, tylko Adson właśnie musiał w jakiś sposób spowodować śmierć przeciwnika, by podstępem zdobyć nagrodę. Taki domysł potwierdzał fakt, że Adson w nocy znikł i policja nie mogła natrafić na jakikolwiek ślad po nim. Stanowczo nie potrafił sobie Arney zyskać sympatji w naszym mieście. A znaleźli się, oczywiście, i tacy, którzy mnie czynili winnym śmierci Ferensena — coprawda pośrednio — niby, że nie zwracałem uwagi na podejrzanę zachowanie się Adsona, co było moim bezpośrednim obowiązkiem, gdyż stałem najbliżej ich obu. Zaręczam wam, że człowiek ten nie uchybił w niczem regulaminowi i — w ramach zwykłego ludzkiego rozumienia tych spraw — nie zawinił śmierci Ferensena. Niewielu widziałem tak spokojnych i opanowanych ludzi jak on. Na arenie zdawało się, że każdy jego ruch jest poprzedzony namysłem — takie były niezawodne. Mimo błyskawicznego tempa nigdy nie dał się ponieść walce. Z kolegami z cyrku utrzymywał stosunki tylko o tyle, o ile to było konieczne, i nigdy nie wdawał się z nimi w rozmowy, jakby ci

ludzie zupełnie go nie interesowali. Odpłacali mu zdaje się tem samem. Nie lubili go. Był taki poważny i zamknięty w sobie, że ci ludzie, zawsze skorzy do śmiechu i wesołej pogawędki, odczuwali w stosunku do niego coś jakby lekceważenie. Nie śmieliby mu zresztą tego okazać, gdyż jego siła wzbudzała w nich respekt. Nagłe jego zniknięcie z miasta zdawało się wszystkim utwierdzać w przekonaniu, że Adson uciekł z obawy przed śledztwem i odpowiedzialnością. Ci sami, którzy go potępili za to, że tak szybko, zanim się władze zdążyły opatrzyć, znikł, ośmielali się mówić mi w oczy, iż są dla mnie pełni uznania, że tak spokojnie oczekuję wyniku dochodzenia, chociaż jestem zamieszany w tę sprawę.

Zdarzyło się, że w parę dni po wypadku, podczas śledztwa, rozmawiałem o tem z jakimś dziennikarzem, który tak natarczywie i jednocześnie tak uprzejmie domagał się ode mnie informacji, że sama przyzwoitość nie pozwalała mi powiedzieć mu, żeby poszedł sobie do djabła i nie zawracał mi głowy. Chodzi, mówił, o cześć tamtego człowieka. Ujął mnie tą dbałością o ludzką cześć. Ale — jak myślicie — czy mógł ode mnie coś istotnego usłyszeć? Uspokoilem go, że znam dobrze przebieg sprawy i nie pozwolę czci tamtego człowieka na szwank narazić. Poczem dałem mu do zrozumienia, że nic więcej ode mnie nie usłyszy. Bo prawda tego wieczora, ta podskórna prawda, była mi zbyt droga, żeby się nią dzielić z jakimś reporterem czy referentem sportowym gazety.

Podobnie, jak ten dziennikarz, myślała większość ludzi w mieście (mówię, oczywiście o tych, co się tem interesowali — wielu ludzi nie słyszało wogóle o wypadku — nie posądzajcie mnie, że usiłuję tej sprawie nadać więcej rozgłosu, niż sobie zyskała). Widzowie — mieszkańcy dzielnicy robotniczej i portu, którzy oddawna znali Gustawa, lubili go ogromnie i śmierć jego odczuli bardzo żywo. Zapewnieniom, że Ferensen umarł śmiercią naturalną (o ile uznacie, że gwałtowną śmierć można tak nazwać), nikt z nich nie wierzył. W gospodzie „Pod Koziorożcem“ i w barze Bergera co wieczór wyrzekali na opieszałość władz, które nie mogą odszukać winowajcy, żeby go należycie ukarać. Nie potrzebuję wam dodawać, że i mnie nie szczędzili rozmaitych docinków — oczywiście poza moimi plecami. Tak się złożyło, że w tym czasie częściej zacząłem odwiedzać lokal Bergera i nieraz mogłem zauważyć, jak za mojem wejściem milknie ożywiona rozmowa i rozmaici nieznani mi ludzie patrzą na mnie nieufnie. Ale kończyło się tylko na owych nieufnych spojrzeniach i ledwo dostrzegalnych znakach porozumiewawczych. Nikt z nich nie śmiał mi jakoś uczynić najmniejszej aluzji.

Po pewnym czasie wszystko ucichło. Bywalcy gospody „Pod Koziorożcem“ i baru Bergera zajęli się widocznie jakimiś nowymi sprawami.

Okazji do tego nigdy w porcie nie braknie. Tymczasem władze przeprowadziły śledztwo. Sprawa przyjęła taki obrót jak przypuszczałem: sekcja zwłok stwierdziła przerost mięśnia sercowego, co, wskutek przemęczenia miesiącem występów i ogromnego napięcia nerwowego, spowodowało u niemłodego już atlety nagły zgon. Ten czterdziestoletni mężczyzna już dawno powinien był zmienić tryb życia — a wtedy mógłby jeszcze doczekać spokojnej starości. Pamiętam nawet, że jakoś w połowie turnieju lekarz radził mu zaprzestać występów, ale Ferensen uparł się i twierdził, że mu właściwie nic nie jest.

Sporo wątpliwości budziło zniknięcie Arneya, co było najważniejszym powodem niesłusznych podejrzeń. Ale udało się komuś to wytłumaczyć. Że niby ambicja sportowa nie pozwalała mu przyjąć nagrody, która automatycznie jemu przypadła, i wolał się od wszystkiego usunąć. Tak to ktoś składnie wyjaśnił. Ja, com rozumiał sprawę Gustawa i Arneya do najdrobniejszych szczegółów, nie usiłowałem mówić prawdy, bo prawda zawsze niełatwo przemawia do ludzi. A kłamać nie mogłem, gdyż zbyt wiele szacunku miałem dla nich obu i zbyt ceniłem zaufanie, jakim mnie Adson obdarzył. To też wolałem milczeć.

W tej chwili pan Tomasz zauważył, że fajka mu dawno zgasała. Przerwał. Napił się wina i zaczął ją powoli napychać tytoniem. Potem mówił dalej:

— Gustawa Ferensena znałem od trzech lat. Kiedym go pierwszy raz zobaczył — było to właśnie na pierwszym turnieju — wydał mi się mężczyzną w pełni sił. Wysoki, o potężnych barach i twardych, mocno wiązanych mięśniach, wyglądał mniej więcej tak, jak to zwykle przedstawiają atletów na reklamowych fotografiach i afiszach. Obnażone muskułarne ramiona i naprzd podana pierś — oto, co nam się zawsze kojarzy z wyobrażeniem atlety. Rzadko myślimy o tem, że przecież te fotografie przedstawiają — ludzi. Fakt, że jakiś mężczyzna występuje na arenie cyrkowej, już go całkowicie określa w naszych oczach. Ja sam, ilekroć wspominam Gustawa, widzę go zawsze w ciekim, lśniącem trykocie — nie wyróżniał się niczem z pośród innych atletów. Poznałem go na zawodach z tej prostej przyczyny, że sędziowałem w kilku jego spotkaniach. To, że stał się bohaterem turnieju, nie miało dla mnie żadnego właściwie znaczenia. Czy Ferensen, czy kto inny zdobędzie pierwszeństwo, nie interesowało mnie prawie. Nie wynikało to zresztą z tego, że jako sędzia musiałem starać się o zachowanie jaknajwiększej bezstronności, ale po prostu z tego, że Gustaw niczem nie zwrócił mojej uwagi na siebie. I jeżeli nawet później zbliżyłem się trochę do niego, nigdyśmy nie byli w zażyłej przyjaźni.

Zato widzowie — ta bezimienna, wrzaskliwa, łatwo zapalająca się gromada — lubili Gustawa i dumni byli, że kilkakrotny mistrz Europy zamieszkał w naszym mieście. Bo jakoś niedługo przed zawodami Ferensena kupił mały domek koło parku i zamieszkał w nim z żoną. Nie można się dziwić, że tych ludzi cieszyło jego powodzenie: był to ich człowiek. Wyróżniali go z pośród kilkudziesięciu zawodników, którzy zjechali ze wszystkich stron świata.

Już wtedy Adson był najpoważniejszym jego przeciwnikiem i widać było, że jeśli nawet ulegnie, to niełatwo. Odznaczał się większą zręcznością od Ferensena. Zresztą — tylko zręcznością i wysoką techniką walki mógłby pokonać przeciwnika tej klasy, co Ferensen, bo nie posiadał jego siły. W porównaniu z Gustawem był szczupły, ale wzrostem prawie mu się równał. Miał brązową, matową skórę i smagłą twarz. Była to twarz zupełnie wyjątkowa wśród ludzi tego rodzaju, jedna z tych, które tkwią w pamięci przez całe życie. Cóż, pomyślicie, mógł mieć ciekawego w twarzy człowiek, który tarzał się w trocinach cyrkowej areny i zarabiał występami w wędrownych budach, co chronią ciało, osłonięte trykotem, od deszczu, ale nie mogą go ochronić od spojrzeń gawiedzi? Był w tej twarzy spokój, świadomy niezawodności ramienia i wewnętrznej siły. W wyrazie ust rysowało się zdecydowanie, wzbudzające ufność, a w oczach — w skupionem, opanowanem spojrzeniu czarnych źrenic — tliło się niepokojącymi ognikami nieustraszone męstwo młodości, co nie lęka się włości po deszczu i słonecznym skwarze.

Po raz pierwszy zobaczyłem go tego samego dnia, kiedy poznałem Gustawa, ale po zawodach znikł mi z oczu i tylko dochodziły mnie słuchy o jego zwycięstwach. Mimo, że przy pierwszym spotkaniu zamieniliśmy ze sobą parę słów zaledwie, pamiętałem go doskonale, to też ponowny jego przyjazd ogromnie mnie zaciekawił. Albowiem trzeba było widzieć, jak walczył i jak zwyciężał. A właściwie, jak zwyciężali obydwaj — Ferensen i on. Co wieczór dwa ciała — dwie jaskrawe plamy trykotów — przerzucały się na arenie śmigłami, wyliczonymi ruchami. Dwoje płuc pracowało usilnie, żeby nadażyć szybkiemu obiegowi krwi. Widownia wrzała pomrukami radości lub niezadowolenia, a coraz to nowy zawodnik odpadał. Aż wreszcie nadeszła godzina, że już tylko ci dwaj pozostali do ostatecznej rozgrywki.

Przez ostatni miesiąc często pojawiały się na ringu potężne bary Ferensena i biała jego skóra połyskiwała w świetle jak gładki atlas. Rozwijał całą swoją precyzyjną technikę. Zwykł był walczyć z pewną pozorowaną niedbałością, ale oko jego widziało każdy ruch przeciwnika, ale ramię

jego miało gotową odpowiedź na wszelką niespodziewaną zmianę sytuacji. To stwarzało pozór swobody i lekceważenia współzawodnika, jakby było normalnem zakończeniem każdej jego walki. Na arenie zjawiał się nie ten wesoły, trochę rubaszny mężczyzna, którego spotkać można było czasami w hotelu „Pod Koziorożcem“ czy w „Esplanadzie“, ale zjawiał się mistrz, którego samo imię odstraszało niejednego przeciwnika. Arney Adson nie był teraz nieznanym nikomu zawodnikiem. Teraz i jego nazwisko coś znaczyło. Ludzie znający się na rzeczy przepowiadali mu, że niedługo stanie się następcą Ferensena. Przez te trzy lata, gdy znikł mi zupełnie z oczu, zjeździł podobno całą Europę i kawał Ameryki, doskonaląc swoją technikę i zjawiał się dopiero, kiedy uznał, że może stanąć do zawodów z Ferensem.

Tego dnia, kiedy miało nastąpić ich decydujące spotkanie, wyszedłem z domu na długo przed rozpoczęciem programu i mogłem zajść na chwilę do starej „Esplanady“, do tej małej kawiarenki koło cyrku, którą wszyscy napewno znacie. Pamiętacie może galeryjkę na piętrze z widokiem na składy Związku Transportowców i na wybrzeże? Siedział tam nad szklaną piwa Arney Adson. Nieruchome oczy skierował na morze, ale jestem pewny, że nie widział wody. Że nie widział nic. Bo wydawał się zapatrzony i zasluchany w jakieś ważne sprawy, które rozgrywały się w nim samym. Uczyniło mi się nieprzyjemnie, że zakłóciłem jego samotność, bo zauważył moje wejście. Skłonił mi się nawet z niespodziewanem ożywieniem, jak człowiek, zbudzony ze snu, który nadmiarem żywości chciałby rozwiązać wszystkie nasze podejrzenia i udowodnić, że właśnie czuwał. Niesposób było wycofać się, jakbym poto tylko zajrzał, żeby sprawdzić, czy Arney Adson siedzi jeszcze na miejscu, czy czasem nie rozpułnął się w mgłę, co właśnie zaczęła się unosić nad wodą przejrzystymi, sinymi smugami. Przysiadłem się do jego stolika. Widziałem, że go coś dręczy, ale rozumiecie chyba, że nie mogłem go zbyć głupim pytaniem, czy nie przeszkadzam. A o czym miałem z nim mówić w takiej chwili — ja, com zamienił z nim dotąd może z dziesięć słów wszystkiego? Znałem go tylko z areny. Tyle razy widziałem nagie jego ciało, ale czy znałem chociaż jedną jego myśl? I gdy tak siedział w kawiarni przy stoliku, odziany jak każdy z nas, wydał mi się innym człowiekiem, niż tamten — atleta w cyrkowym kostjumie. Pałem w milczeniu, a łagodny wiatr porywał z nad żarzącej się fajki wąskie smugi dymu i rozwiewał je w półmroku. Ale milczenie w obecności tego człowieka nie było ciężkie. Uzyskiwało głęboką wymowę. Poprzez ciszę zdawały się przesuwać niepostrzeżenie ważne słowa, które pozwalały mi coraz lepiej tego człowieka rozumieć.

W pewnej chwili Adson powiedział: — Czy pan wie, że ja nie mam właściwie prawa iść dzisiaj do cyrku? Że powinienem w tej chwili wyjechać?

Głos miał niski o pełnem ładnem brzmieniu. Powiedział to dość monotonicznie. Pytając nigdy prawie nie podnosił głosu na końcu zdania. To nadawało wszystkiemu co mówił ton twierdzący. I teraz jego pytanie było zwrócone jakby do samego siebie albo do wszystkiego, co nas otaczało. Jakby ciszę tego spokojnego wieczora brał na świadka swych myśli. Nie pojąłem jego słów. Czułem w każdym razie, że wiele znaczą, to też nie śmiałem wprost mówić o zobowiązaniu wobec Międzynarodowego Związku w Berlinie i że, chociażby ze względu na widzów, nie można się tak w ostatniej chwili wycofać. Arney zrozumiał zdaje się moje milczenie, bo pierwszy przypomniał, że już czas iść.

Wiedziecie dobrze, że codzienne drobne zdarzenia przesłaniają nam swym cieniem fakty ważne, od których tak wiele czasami zależy. To też nie myślę, że przez cały czas nie miałem na głowie nic innego, prócz sprawy Arneya i Gustawa. Fakt, że zaczynałem pojmywać, iż w walce ich obu nie chodzi tylko o trochę dolarów i wątpliwy zaszczyt z tytułu mistrzostwa w tak pogardzanych przez wszystkich zawodach atletycznych, nie wpłynął zupełnie na przebieg tego wieczoru. Fakt ten był zupełnie niezależny od takiej drobnej np. sprawy jak to, że, gdy nadeszła odpowiednia godzina, trzeba było pójść do cyrku. A zresztą nie wiedziałem jeszcze wtedy o wielu rzeczach, które mi się dopiero później wyjaśniły. I cóż ja tu mogłem uczynić, — byłem tylko widzem sprawy, która rozgrywała się między nimi. A ileż to razy jesteśmy wobec własnego życia widzami! Czasem widzami przerażonymi, którzy patrzą, jak równa, spokojna powierzchnia codzienności niweluje każdą nierówność, każdy poryw marzenia i topi go w nieprzejrzystej głębinie czasu i zapomnienia...

Arney przebiegał się powoli, automatycznie, jakby wykonywał tę czynność na marginesie spraw daleko ważniejszych. Był bardziej niż zwykle milczący. Zdawał się nie słyszeć głosów, dolatujących z widowni, zmieszanych w nieokreślony, prawie jednostajny szum. A tymczasem widzowie coraz bardziej denerwowali się i niecierpliwicki, bo zanosilo się na to, że widowisko rozpocznie się zapóźno. Niepokoiło mnie coraz więcej, że Ferensen nie pokazuje się tak długo i czułem, że stoi to w ścisłym związku ze słowami Adsona. Może Gustaw nie pokaże się wcale? Może i on uznał, że nie ma prawa dziś walczyć? Zdecydowałem już, że trzeba kogoś posłać po niego, gdy zwróciły mą uwagę przygłuszone dźwięki muzyki, dochodzące od strony areny. Pobiegłem zobaczyć, co to znaczy.. Dopiero

wtedy dowiedziałem się, że Ferensen nie żyje, dopiero wtedy, gdy ten człowiek od godziny był już tylko martwym ciałem. W pierwszej chwili sądziłem, że się może zabił, ale dyrektor wyjaśnił mi, że umarł nagle. Najprawdopodobniej na serce. I to w tej chwili, gdy zjawił się u niego chłopiec, wysłany z cyrku, żeby mu przypomnieć, że już najwyższy czas na niego. Jekby słowa chłopaka były hasłem, że istotnie na niego czas, ale gdzieindziej...

Wpadłem do Adsona, a razem ze mną przez otwarte drzwi wpadła do pokoju fala drażniącej muzyki, która miała uspokoić publiczność, zawiadzoną i oburzoną tem, że spotkanie Ferensena i Adsona „dyrekcja zmuszona była odłożyć“.

Stał na dawnym miejscu, a szeroko otwarte oczy utkwione miał w smugę światła. Stał bez ruchu, jakby i z niego uleciało życie, jakby był tylko cieniem siebie samego. Zdawało się, że mnie nie zauważył, że nie widzi, co się naokoło niego dzieje. Chciałem mu powiedzieć coś ważnego, ale wykrztusiłem z siebie zaledwie te słowa:

— Arney! Czekam na pana w „Esplanadzie“.

Musiałem prawie krzyczeć, żeby mnie zrozumiał.

Czekałem długo ale bez zniecierpliwienia. Nudę i zniecierpliwienie odczuwamy tylko wtedy, gdy nie potrafimy zatrzymać myśli nad czymś ważnym i czas mierzymy przesuwaniem się wskazówek zegara. Minuty — wszystkie równo odmierzone, a jakże przecież różne! Czasami jedna chwila jak soczewka skupia w sobie cały słoneczny blask i rozświetla nam drogę ku życiu albo ku zatracie. Oto wskazówki na moim zegarku nie wykonały jeszcze pełnego obrotu od poprzedniego wieczora — a przecież człowiek, który usiadł ciężko obok mnie, nie był już tym samym młodzieńcem co wczoraj. Ten wysoki, atletyczny prawie mężczyzna wyglądał jak zmiażdżony niezwykle ciężarem, za wielkim na jego barki. Jego młodzieńcza twarz o wyniosłym czole, przysłoniętem teraz mierzwą zwichrzonych włosów, była prawie szara. Skórę miał błyszczącą, jak po wyczerpującym wysiłku, a suche wargi płonęły wewnętrzną gorączką. Kształtny, śmiały w rysunku nos zaostriął się. Twarz niby pozostała ta sama i te same wyraziste rysy, ale oczy były zgaszone, jakby znikła z nich wszystka wola widzenia i życia. Wielkie powieki z pod czarnych brwi opadały nisko na białka bez blasku i nieruchome źrenice o tępem, beznadziejnym spojrzeniu. Był jak człowiek, opuszczony przez wszystko: przez nadzieję i przez ludzi. Wiedziałem, że mi w tej chwili nie wolno od niego odejść, ale czyż miałem prawo pytać go o cokolwiek, czyż miałem prawo wtrącać się do jego spraw i przeżyć?

Zabrałem go do domu. Nie sprzeciwił się nawet gestem. Pozwolił sobą kierować jak dziecko.

Dopiero na górze, w mieszkaniu, powiedziałem mu, że Ferensen nie żyje. Wiadomość tę przyjął bez słowa, jakby śmierć Gustawa była naturalnem rozwiązaniem tego, co między nimi zaszło. A może już wiedział? Może usłyszał tę wiadomość w cyrku albo wyczytał ją poprostu z mojej twarzy? Stał przy oknie i zapatrzył się w ciemność, rozpościerając się za szybami. Znam dobrze ten widok. Masywne bloki zabudowań, pokrajane księżycową jaskrawością i czarnymi brózdami cienia na olbrzymie bryły. Nawprost mały prostokąt nieba i ogromny, jasny księżyc, rzucający na podłogę szary cień krzyża okiennej ramy. Dziwnie wyglądała wielka, płaska sylweta mężczyzny na tle prześwietlonych firanek. Siedziałem w przyległym pokoju i usiłowałem wziąć się do jakiejś roboty. Lampka, przyciemniona kolorowym abażurem, rzucała żółtawe światło na rozpozczęty list, który już od paru dni czekał swojej kolei wśród rozmaitych zajęć. Ale pisanie zupełnie mi nie szło. Raz po raz odrywałem oczy z nad kartki papieru i ciągle widziałem poprzez otwarte drzwi nieruchomy cień tego człowieka, rozpostarty na podłodze. Przylegał ściśle do rysunku ramy okiennej, jakby człowiek i krzyż — oba cienie — stanowiły jedną całość. Wydawało mi się, że człowiek, stojący przy oknie, rozplaszczył się cieniem i wrósł w podłogę, zmiażdżony boleścią. To też gdy się poruszył, wywarło to na mnie niesamowite wprost wrażenie. Oto cień ożył i po jasnej smudze światła zaczął się do mnie zbliżać. Oczom moim objawiła się inna twarz Adsona, nie ta, którą widziałem przed godziną. Ta twarz, ulegająca ciągłym zmianom, posłuszna najlżejszym drgnięciom jego uczuć, miała teraz w sobie wyraz skupionej mocy. Oczy płonęły z nieznaną mi przedtem zuchwałością, jakby nieskrępowana dzika odwaga tego człowieka wyrывała się przez nie z duszy.

— Czy pan myśli, że ja mogłem — z Gustawem — zwyciężyć?

Powiedział to szeptem. Ale ten szept brzmiał jak ostry krzyk — tyle w nim było tłumionego bólu. Te słowa wydarły się poprostu z niego pod ciśnieniem wewnętrznego napięcia. Widać było, że nie czeka na moją odpowiedź. Wogóle, gdy Arney rzucał pytanie, to już w tonie jego głosu była zawarta odpowiedź. Ten człowiek taki był milczący, tak niewiele mówił, a kiedy się odezwał, to nie zwracał się do nikogo bezpośrednio, ale do wszystkiego, co było dokoła niego. Zaczął mówić wolno, beładnie, jakby całą siłą woli powstrzymywał słowa, a one wyrывały się z niego pod naporem ciężkich sądów i rozstrzygnięć.

— Gdyby Ferensen mógł przemóc się i przyjść dzisiaj do cyrku, pokonałby mnie z łatwością. Śmierć obroniła go od pogardy dla samego sie-

bie. A cóż — ja? — miałem nadzieję, że uda się jakoś dopchać do końca, że będzie można jakoś z tego wyjść. Mógłbym się tu nie pokazać więcej. Pozostałoby wszystko jak było... A teraz stanął między nami cień zmarłego, którego żadna ludzka siła nie odepchnie. Nie potrafię śmierci tego człowieka udźwignąć... Wytworzyła się taka sytuacja, nastąpiło takie spiętrzenie uczuć, żeśmy z tego wyszli pobici — Joanna i ja.

Gdzież on spotkał się z tą kobietą i co o niej wiedział? Jeżeli wierzyć pogłoskom i całej, możnaby powiedzieć, legendzie, osnutej dokoła jej przeszłości (bo wiele z tego, co się o pani Ferensen mówi w mieście, uważam za czczy wymysł ludzkiej ciekawości), Gustaw przywiózł ją z południowej Ameryki, gdzie podobno grała w jakimś zespole teatralnym. Nie pytałem nigdy o to. Sama także nie wspominała. Wogóle niechętnie mówiła o przeszłości. Z akcentu mowy można było wnosić, że urodziła się na wschodnim pograniczu Niemiec. W jakich warunkach zbiegło jej dotychczasowe życie, nie wiem. Odkąd ją tylko znałem była żoną Gustawa. Miała wówczas niewiele ponad trzydzieści lat. Była dość wysoka i raczej szczupła. Rysy miała harmonijne i duże oczy barwy jasnego błękitu. Ilekroć o niej myślałem, zastanawiałem się zawsze, co ją mogło łączyć z tym olbrzymim, trochę rubasznym mężczyzną, którego zawód nie przyczyniał się przecież do rozwoju jakichś dodatnich stron charakteru. Bo pani Joanna była kobietą subtelną, stworzoną raczej do cichego, spokojnego życia, niż do włóczęgi u boku cyrkowca. A trzeba jeszcze powiedzieć, że Ferensen był dość zamożny na to, żeby jej zapewnić wygodne, beztrudne życie. Gdy wreszcie osiedli na stałe, pani Joanna wiodła życie tak odosobnione i zamknięte, że trudno ją było zobaczyć gdziekolwiek poza domem. Zachodziłem do nich czasami i wiem nawet, że moje wizyty nie były dla niej przykre. Tak rzadko wychodziła, że zawsze ciekawie słuchała nowin z miasta. Zresztą można z nią było mówić o wszystkim. Miała, powiedziałbym, dar słuchania, który tak ogromnie pomaga do snucia nawzajem myśli. Sama mówiła niewiele, ale każde jej słowo było jakby przefiltrowane długimi godzinami refleksji, każde miało zdecydowaną wartość i moc sądzenia. Siadywaliśmy zwykle w jej pokoju. Z okna rozpościerał się widok na park i niewielki, cienisty ogród, otaczający dom. Gdy w ogrodzie rozkwiatały róże, zasadzone jej ręką, widać było, jak wzbiera w niej radość, hamowana spokojem, który jej nigdy nie opuszczał. Spokój pani Joanny udzielał się i mnie. W jej towarzystwie było cicho i bezpiecznie, jakby posiadała dar zażegnania każdego niepokoju. Jej jasnoniebieskie oczy patrzyły na mnie z łagodnym smutkiem, tłumionym mądrością człowieka, który wiele przeżył. A przecież jej życie, przynajmniej obecne, wydawało się takie monotonne i ubogie!

Gdy po raz pierwszy padło jej imię z ust Arneya, nie sprawiło to na mnie wrażenia czegoś nieoczekiwanego. Wiedziałem, że poza cyrkiem Adson widywał się z Gustawem, najczęściej w hotelu „Pod Koziorożcem“, ale przypuszczałem, że nie zna jego żony.

Jakby odgadując moją myśl, Arney dorzucił:

— Byłem dziś w ich domu po raz pierwszy.

Cóż takiego zaszło między nimi, że ten atletyczny, ale dziwnie cichy i łagodny młodzieniec stał się jakby niszczyielskim żywiołem, co zdrzgotował spokój domu Ferensenów? Nie przerywałem mu ani słowem. Czekalem, aż mi sam wszystko wyjaśni. Tymczasem Arney mówił dalej głosem nieco spokojniejszym.

— Ferensen zaprosił mnie dziś do siebie. Poszedłem. Poznała mnie natychmiast. Nie potrafiła tego ukryć. Przypuszczam nawet, że nie chciała. Gustaw zdziwił się, że Joanna mnie zna. Zbyłem go krótkim wyjaśnieniem, żeśmy się kiedyś, dawno, zetknęli ze sobą, na co odpowiedział uwagą, że człowiek nigdy nie wie, z jakimi ludźmi i w jakich okolicznościach może się spotkać. — W jej oczach nie było przerażenia. Jej oczy patrzyły na mnie spokojnie jak wtedy. Jej oczy wyrażały takie skupienie i opamiętanie, że ucichłem pod ich wejrzeniem, wstrzymując słowa, co mi się cisnęły na wargi. Jej oczy z jasnego kręgu światła patrzyły na mnie z miłością i bezgranicznym zaufaniem. Jej usta poruszały się wolno, tając w kącikach uśmiech płochliwej radości, co rozplýwał się niewidzialną falą po całej twarzy i tonał w lekkich puklach włosów. Mówiliśmy, rozumie pan? — mówiliśmy radośnie i dużo. O tak, to było szczęście — ta jedna, jedyna chwila!...

— „Żona moja — mówił wesoło Ferensen — nigdy jeszcze nie była w cyrku na zawodach, to też zaprosiłem pana do nas, żeby chociaż zobaczyła tego, który dzisiejszego wieczora stanie się może moim następcą“.

W jej oczach zapalił się krótki, dla mnie tylko zrozumiały błysk.

— „Nie stanie się twoim następcą nikt — odpowiedziała, patrząc na męża z powagą i spokojem, poczem, przenosząc wzrok na mnie, kończyła: — Teraz trzeba się zdobyć na męstwo wytrwania, choćby je przyszło okupić najtrudniejszym wysiłkiem. Właśnie dzisiaj potrzeba nam wszystkim więcej męstwa niż kiedykolwiek“.

W tej chwili Gustaw jej przerwał, tłumacząc, że zwycięstwo nigdy nie przychodziło mu bez trudu... słyszy pan? — ten człowiek nie pojął ani jednego słowa żony. Kto wie, możeby lepiej było, gdyby nigdy nie rozumiał jej słów... Ale Joanna, nie zważając na to, co mówił, powstała, zbliżyła się do nas obu i kończyła jakimś mocnym, uroczystym głosem, którego dotychczas u niej nie słyszałem.

— „Powtarzam, że trzeba nam wszystkim dzisiaj wiele męstwa. Wszystkim!“.

Dopiero wtedy Gustaw zrozumiał sens tego co mówiła. Słowa jej zawisły w ciszy złowrogie, jak wołanie na alarm. Tamten człowiek patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Zgaśł mu w ręce niedopalony papieros. Milczał...

Adson przestał mówić. W tej chwili dopiero uświadomił sobie, że wchodząc do mieszkania nie zdjął nawet kapelusza z głowy. Trzymał go teraz w obu rękach i wodził wzrokiem po jego szorstkiej, matowej powierzchni.

Pan Tomasz przerwał na chwilę, nalał sobie wina, zapalił fajkę i dopiero do dłuższej pauzy wrócił do opowiadania.

— Dopiero po tem, co usłyszałem od Arneya, zrozumiałem spokojny smutek pani Ferensen i spłoszony uśmiech, błakający się od czasu do czasu na jej wargach. Wiem, że do męża była bardzo przywiązana, ale w jej stosunku do Gustawa uderzała jakaś cicha uległość. Dla Gustawa — wiem to — stanowiła całe życie. Miał do niej bezgraniczne zaufanie. Zdawało mu się, że ich związek jest ugruntowany na trwałej podstawie, której nic zniweczyć nie zdoła. Jego miłość, męska, spokojna miłość dojrzałego człowieka, była jakgdyby światłem, w którym jego życie uzyskiwało pełny sens. To właśnie pani Joanna sprawiała, że Gustaw miał tyle w sobie młodości, że przy tak wyczerpującym trybie życia był nieznudzony. Sama napewno nie zdawała sobie sprawy z tego, czem jest dla męża. — Nie czynię nic ponad to, że przy nim jestem — mówiła kiedyś do mnie — a czy to jest jakaś zasługa i powód do dumy? — Pani Ferensen nie była dumna z siebie. Wszystko, co robiła, wypływało z głębokiego wewnętrznego przeświadczenia, że tak właśnie powinna była czynić.

Przed oczami tkwił mi obraz Gustawa, gdy tak siedział z niedopalonym papierosem w ręce i milczał. Musiał uchwycić jakieś spojrzenie żony, którem obdarzyła tamtego człowieka, musiał sobie uświadomić, ile wyrzeczenia kosztowałoby ją dalsze życie. Cóż z tego, żeby przy nim wytrwała? To już nie byłaby ta sama Joanna. Dalsze jej życie byłoby tylko rezygnacją. Na cóżby mu się zdało jej męstwo, kiedy jemu potrzebna była jej miłość? A może w tem, że przeżyła z nim kilka lat było także męstwo i rezygnacja? Może Joanna nigdy go właściwie nie kochała? Tak, napewno wtedy, kiedy wyznał jej miłość, dała się poprostu porwać jego burzliwej namietności. Przejrzała, ile dla niego znaczy. Była zbyt dobra, żeby go odepchnąć od siebie. To właśnie on zniszczył jej życie, wyssał z niej poprostu całą jej dawną wesołość i swobodę.

Gustaw przesiedział tak pewnie długie godziny a tymczasem w jego duszy waliło się wszystko, co przez te długie lata budował — waliło się całe jego życie, ugruntowane na jego złudzeniu i jej rezygnacji. Wyobrażam sobie, jak powstał wielki postacią i cierpieniem — gdy chłopiec przyszedł mu przypomnieć, że czas na niego do cyrku, i jak zwałił się potem na ziemię. Głos, wzywający go do normalnych wieczornych zajęć, do życia, które stało się nagle dla niego zamknięte, które utraciło cały swój sens — był jakby sygnałem do odejścia. Jeszcze pewnie wtedy starał się przezwyciężyć, chociaż myśl o spotkaniu się z Adsonem musiała być dla niego straszna. Ale jest pewne napięcie woli, przy którym ciało rozpada się w drzazgi. Lepiej niech się rozsypie odrazu, niż gdyby miało pozostać, jak kruchy zlepek. W ostatnim momencie życia ten człowiek zebrał całą swoją moc, która zdruzgotała własne jego ciało.

Spojrzałem na Arneya. Jego twarz żółta, lśniąca od blasku lampy, była jak zastygły płomień. Jakby śmierć tamtego człowieka przepaliła i jego na popiół, jakby wyssała z niego wszystkie siły. Cóż tedy Arney powiedział niedawno? — że z tej sytuacji wyszli pobici — Joanna i on. Bo z żywym mógł podjąć walkę albo się wycofać. Ale teraz tamten człowiek stanął między nimi większy od nich obojga o śmierć. Adson miał słuszość: już go teraz żadna ludzka siła nie odepchnie.

— Widziałem tę kobietę dwa razy w życiu — zaczął Arney cichym głosem. — Po tylu latach pamiętała moje słowa...

— Cóż to mogło być za spotkanie, które związało tych dwoje na całe życie? Wiem, że pani Ferensen od czasu jak się tu osiedlili nie wyjeżdżała z miasta. Przed trzema laty, gdy Adson brał udział w pierwszym turnieju, napewno się nie zetknęli, bo wiedziałbym o tem albo mógłbym się chociaż domyśleć. Arney był wtedy krótko i wiem, że w mieście nikogo nie znał. Dopiero niedawno zbliżył się trochę do Gustawa.

Patrzyłem na niego pytająco, a on tymczasem podjął po dłuższej chwili:

— Wtedy — to było dawno, kiedy jeszcze Joanna była śpiewaczką w jakimś wędrownym zespole. Jechałem na turniej do Antwerpii tym samym okrętem, którym jakaś trupa aktorska udawała się na drugą stronę oceanu.

Pierwszego zaraz wieczora pogoda była okropna, to też teatr mógł liczyć na powodzenie. Gdy tylko statek wypłynął na morze, zaczął padać gęsty, ciepły deszcz. Byłem zadowolony, że nadarza się okazja miłego przepędzenia wieczoru, bo zapowiadano urozmaicony program. Był, oczywiście, chór rosyjski, jakaś para taneczna — wszystko to razem banalne

i nieciekawe. Ale gdy pod koniec programu weszła na estradę aktorka i zaczęła śpiewać — przestałem żałować, że przyszedłem na przedstawienie. W czarnej długiej sukni wyglądała wdzięcznie. Wydawała się młodziutka i pełna świeżości. Głos miała dosyć niski, głęboki, łagodnie modulowany. Śpiewała jakąś znaną smutną piosenkę. Nie wiem, czy była wielką artystką. Wiem tylko, że odkąd pamiętam moje wzruszenia, nie słyszałem takiego śpiewu, jak tego wieczora. Był w nim smutek opuszczenia i przypadłych marzeń i rozpacz daremnej walki. Był to śpiew z samego dna ludzkiej samotności i cierpienia... Program rychło się wyczerpał i śpiewaczka nie pojawiła się już więcej. Ale mimo, że zdążyłem zaledwie przyjrzeć się jej twarzy, poznałbym ją odrazu — tak mi utkwiła w pamięci. I gdy stałem na pokładzie, zapatrzony w morze, które ucichło powoli, wierzyłem, że przyjdzie, że musi, że powinna przyjść. Poznałem ją raczej instynktem niż wzrokiem. Stałem tuż za nią i poprzez jej ramię patrzyłem, jak wiatr goni falę za falą.

Tu — u jej ramienia był spokój ogromny i morze wydawało się jeszcze cichsze. Statek równo, bez drgnienia sunął po lśniącej, lekko zmarszczonej powierzchni, odgarniając bokami grube, ciężkie fałdy wody. A woda przesuwała się nieuchwytna przed oczami, połyskując chwiejnym odbłaskiem księżycowej poświaty. I nagle to wszystko odpłynęło gdzieś z przed oczu: pozostała tylko wiotka postać, oparta o burtę, i nad jej głową kilka dalekich gwiazd.

Gdym się odezwał, spojrzała mi w oczy bez niechęci, a tylko z lekkim zdziwieniem. Rozmawialiśmy bardzo długo. O spokoju morza i duszy ludzkiej i o tem, że po każdej burzy następuje taka cisza, jaka była wtedy na morzu i na niebie. Nie skarżyła się na samotność, ale wiem, że w tem naprędcie skleconem towarzystwie czuła się źle. Potem jakoś niewiadomo kiedy rozmowa nasza przybrała wesoły, beztroski ton. Mówiłem z nią, jakbyśmy się nie wiem jak długo znali. Powiedziałem, że jeśli jeszcze nie dziś, to najpóźniej jutro zakocham się w niej. Nie odrzekła nic. Popatrzyła mi w oczy bardzo poważnie i bardzo smutno. Potem spojrzenie odwróciła na morze i powiedziała, jak to dobrze pomyśleć, że niebo, rozpostarte nad szeroką ziemią, może łączyć ludzi, choćby ich wszystkie sprawy rozdzielały. Uśmiechnęła się jakoś od wewnątrz. Uśmiech ten zamigotał w jej oczach i przemknął przez kąciaki ust. A potem zeszła do kajuty. Zasnąłem bardzo późno. Gdy się obudziłem, był już jasny dzień. Dowiedziałem się, że w Hamburgu przesiadła się z towarzyszymi na inny statek... Cóż? — kiedyś, raz w życiu przeszedłem obok niej przypadkiem i naprawdę nie mogło to wpłynąć na jej postanowienia czy plany... Ale wspomnienie jej uśmiechu osładzało mi każdą ciężką chwilę. Jeździłem

wtedy dużo, bo był właśnie pełny sezon. I gdzie mogłem, szukałem jej... Gdzież ja nie byłem! W Buenos Ayres natrafiłem na jej ślad, ale już jej tam wtedy nie było. Dowiedziałem się, że wyjechała do Europy. Dziś ją właśnie znalazłem...

— Adson urwał w połowie zdania, jakby nie mógł dopowiedzieć, że znalazł ją wreszcie, aby w tej samej chwili nazawsze utracić. A więc nie tylko poto jeździł do Ameryki, żeby w nieustannych walkach usprawniać swe mięśnie. O, świat staje się ogromny, gdy szukać człowieka, z którym się kiedyś rozminęliśmy!

Milczeliśmy długo. Po głowie snuły mi się bezładne myśli. Arney siedział bez ruchu. Jaskrawe światło lampy kreśliło dokoła jego zaciętych ust głębokie brózdy. Barki miał skulone. Wydawać się mogło, że się nagle w przeciągu tego jednego wieczora postarzał.

Tymczasem księżyc już dawno przesunął się bokiem i z podłogi sąsiedniego pokoju znikł złowrogi cień okiennej ramy. Było cicho. Głos mój zadrział dziwnie obco, gdy powiedziałem:

— Najbliższy statek odchodzi około czwartej nad ranem. Do Cherbourga. Stamtąd —

Nie, nie mogłem dokończyć tego zdania. Czy tam, skąd rozchodzą się drogi na wszystkie strony świata, znajdzie się droga, którą mógłby pójść człowiek, co utracił nawet nadzieję?...

I znowu nastało milczenie. Ale gdy nadeszła odpowiednia pora i gdy m powstał, Adson poszedł za mną bez słowa.

Szliśmy bulwarem Zachodnim w kierunku portu. Było pusto. O takiej godzinie tylko coś nadzwyczajnego mogłoby wypędzić ludzi na ulicę. Tylko ci, co wcześniej musieli wstawać do zajęć, ruszali się zwolna. Jakiś stary, bosonogi rybak rozwijał połatany żagiel swego czółna, a kilku młodych, obdartych urwisów dźwigało nędzne łachmany z przybrzeżnej łódki, która służyła im widocznie za chwilowe legowisko. Z miasta szli robotnicy portowi pojedynczo albo małymi grupkami. Ruszali się powoli, jakby nie rozbudzili się jeszcze całkowicie albo jakby wrośli w spokój nadrannej godziny. Od czasu do czasu rozbrzmiewały ich ostrożne kroki i jednostajnym szurgotem mąciły ciszę. Po chwili oddalali się od nas, znikali znowu za drzewami albo w cieniu wąskich uliczek, by znowu gdzieś dalej ukazać się oczom, jak nierzeczywiste, uśpione cienie.

Arney zdawał się nie spostrzegać tego wszystkiego. Szedł jak lunatyk. Nawet gdy się żegnał ze mną, twarz jego pozostała martwa, tylko w głosie zadrgało wzruszenie. Oczy jego patrzyły niejako poprzez mnie, jakby dopiero za mną stał ktoś, godny ich uwagi. Szybko wskoczył do łodzi. Nie

spojrzał już na wybrzeże. Utkwił wzrok w spokojnej płaszczyźnie wody, która otaczała go zewsząd. Łódź kreśliła na jej powierzchni szeroką brózdę — jedyny ślad, że tędy przeszła. Ale wiatr wygładzał ją powoli. I kiedy kuter znikł z mych oczu, kiedy zmieszał się z tłumem statków — morze było tak ciche, jak zawsze o tej godzinie.

Pan Tomasz skończył. Jakiś czas siedział bez ruchu, jakby się wpatrzył w niknący ślad na wodzie. Potem ocknął się nagle i spojrzał naokoło, jak człowiek zbudzony ze snu. W jego spokojnych, siwych oczach przemknęło zdumienie. Wydać się mogło, że dopiero teraz uświadomił sobie, że tamte zdarzenia już dawno przeminęły. Ogarnęło go poczucie osamotnienia, jakby ludzie, którzy go otaczali, nie liczyli się, jakby ważne było tylko to, co stało się wtedy i co jedynie wspomnieniem można było znowu przywołać do życia.

Ożywił się na chwilę i, chcąc przerwać sobie jakąś natrętą myśl, szorstkim, nieswoim głosem zawołał kelnera i kazał podać jeszcze jedną butelkę wina. Potem już przez cały wieczór niewiele się odzywał.

STANISŁAW ROGOWSKI

P R Z E D Ś W I T

*surowy cień przemija nad sierpem majowym
spływa pora deszczowa po pniach do korzeni
— moknąć z soczystą ziemią — burzyć się i pnieć
w zawrotach nieprzytomnej niewstrzymanej głowy*

*w psalmie dobytym od dna przyduszony skowyt
porywisty pęd wiatru i podziemne drżenie
od szeptów szmerów szumów — od bzów i przestrzen
stapia się z wodą prącą bulgotem przez rowy*

*i dalej nie przestaje w oszalałym skoku
zieloną rtęcią buchnie w zasklepione ujście
i strzeli w mrok — a potem wejdzie po obłoku*

*kolorem po kolorze i nutą po nucie
mdłym zapachem z kwitnienia modlitw wiań i soków
słońce — słowo śródniebne — celne wniebopójście*

EMIL BOBROWSKI

S P R A W A

STANISŁAWA BRZozOWSKIEGO

AKTA SĄDU OBYWATELSKIEGO

V

POSIEDZENIE POUFNE Z DNIA 19 LUTEGO 1909

Zapytanie męża zaufania p. Brzozowskiego, dra Bubera, jakie dane co do sprawy Brzozowskiego przez przedstawicieli P. P. S. po ogłoszeniu listy były sprawdzane. Odpowiedź przedstawiciela partji: Wysilek skierowany był do wydobycia dokumentów. Pisząc odpowiedź egzekutywie w sprawie swego świadectwa na sądzie, spodziewali się pewne dokumenty otrzymać. We wrześniu mniej więcej przekonali się, że tymczasem to się nie uda. W czarnej liście jest Rudnicki, stud. krak. Uniwer. Nie wiedzieliśmy, kto to jest, więc umieszczając — spodziewaliśmy się dać poszlakę co do jakiegoś prowokatora.

Pytanie: Czy mieliście dane niesprawdzone co do Brzozowskiego?

Odpowiedź: Nie. Nasz sposób sprawdzania już wyłuszczyliśmy. Co do Brzozowskiego, dochodzenia prędko się wyczerpały ze względu na charakter sprawy.

Pytanie o informacje w sprawie uniwersytetu ludowego. Odpowiedź:

List Moszczeńskiej daje dość wierne wyobrażenie o sprawie. Natomiast Kwiatek pomieszał objawy kulturalne z różnych okresów. O ile natknęliśmy się na nazwisko jakiegoś uczestnika, staraliśmy się z tego źródła zaczerpnąć wiadomości.

Pytanie: Czy Bakaj oświadczał, że dawał 75 rb.? Odpowiedź:

W jednym z listów, pisanych przez naszego męża zaufania, jest

wzmianka, że w jednym z mieszkań konspiracyjnych w gmachu Teatru Nowości X (Bakaj) wręczył Brzozowskiemu pieniądze wyasygnowane na podróż (250 — 300 rb.) z powodu nieobecności Petersona w Warszawie. W innym dokumencie, zawierającym ściśle odpowiedzi Bakaja na zadane pytania, niema wzmianki o 75 rb. — jest mowa o tem, że nie pamięta, w jakim ubraniu przy wręczaniu pieniędzy był Brzozowski.

Badając tutaj Bakaja w środę, staraliśmy się rozwikłać te sprzeczności. Wynikają one z tego, że obok siebie były 3 mieszkania konspiracyjne ochrony: Długa 15, Długa 23 (Teatr Nowości), Miodowa 18. Dopiero potem Bakaj przypomniał sobie dokładnie, w którym mieszkaniu widział się z Brzozowskim. Bakaj podawał adresy mieszkań, które sam zajmował w Warszawie — nie były to wymienione mieszkania konspiracyjne ochrony.

P y t a n i e: Czy możecie nam umożliwić przesłuchanie Waszego korespondenta w Paryżu? O d p o w i e d ź: Najlepiej byłoby przesłuchać męża zaufania naszego i frakcji rew., który bezpośrednio przesłuchiwał Bakaja.

D r. B u b e r: Chodzi mi o korespondenta Waszego i o wspólnego męża zaufania. Prosi o złożenie wyjątków z listów, dotyczących sprawy Brzozowskiego, w sądzie. P r z e d s t a w i c i e l p a r t j i: Rozmowa tutaj z Bakajem pozwoliła nam daleko lepiej wnikać w mechanizm pamięci Bakaja, niż na rozprawie. Jeden z przedstawicieli przy powitaniu przypomniał Bakajowi, że widział się z nim w ochronie. Wtedy Bakaj odrazu powiedział, że przedstawiciela fotografował. Tymczasem przedstawiciel inaczej wyglądał, niż dziś, mimo to Bakaj odrazu go poznał. Przypomniał sobie, co Kowalewskij mówił o jego rodzinie, podał jego adres. Bakaj przytoczył w rozmowie z przedstawicielem najdrobniejsze szczegóły co do Rymkiewicza. Pseudonimu przedstawiciela jednakże nie zapamiętał.

Odczytano i stwierdzono zgodność. Kraków, 19 lutego 1909. Dia-
mand mp., F. Kon mp., St. Żmigrodzki mp., Perl mp., E. Bobrowski mp.,
Buber mp., Moraczewski mp.

POSIEDZENIE SĄDU OBYWATELSKIEGO W SPRAWIE P. BRZOWSKIEGO

d n i a 19.II.1909 r. (p o p o ł.)

P r z e w o d n i c z ą c y zapytuje, czy Brzozowski był wzywany do Ochrony i czy robiono mu propozycje wstąpienia do służby. B r z o z o w s k i twierdzi, że nie czyniono mu tej propozycji, tylko jeden rotmistrz mówił mu o jakimś liście — który pośle mu przez pocztę.

P r z e w o d n i c z ą c y: Czy Goldberg był do Pana podobny? B r z o z o w s k i: Zupełnie nie.

Przewodniczący: Jak Pan przypuszcza — co spowodowało Bakaja do związania Goldberga z nazwiskiem Pana? **Brzozowski:** Istnieje pewien związek. Już w 1903 roku (z początkiem) podobno *Słowo Polskie* łączyło to nazwisko, twierdząc, że Brzozowski jest Żydem i nazywa się Goldberg. To miało być w czasie kampanji Sienkiewiczowskiej.

Przewodniczący: Jak Pan sobie to tłumaczy? **Brzozowski:** Żona moja nazywa się Kolberg, więc mogli to łatwo zamienić na Goldberg.

Sędzia¹⁾ zapytuje p. Brzozowskiego w sprawie jego bytności w ochronie i podpisania tam rewersu w sprawie nieprzyjmowania do siebie brata na mieszkanie. **Brzozowski:** Rewers podpisałem w mojem imieniu — na dowód, że treść przeczytanego papieru przyjąłem do wiadomości.

Perl: Czy nie wspomiano Panu w ochronie o poprzedniej sprawie? **Brzozowski:** Nie.

Perl: Kiedy była w pismach fotografia Pana? **Brzozowski:** Podczas kampanji Sienkiewiczowskiej wzięto odemnie klisze. Później był mój portret w literaturze p. Feldmana.

Bobrowski: Czy Pan w r. 1905 nie zgubił paszportu? **Brzozowski** opowiada o swym przypadku w księgarni.

Bobrowski: Jak długo Pan bawił w Krakowie w marcu? **Brzozowski:** Daty mego pobytu w marcu można ustalić z wykazów wykładów Uniwersytetu ludowego.

Buber: Co się stało z Goldbergiem? **Brzozowski:** W Zakopanem dowiedziałem się, że Goldberg ukrywa się przed aresztowaniem. Później wyjechał on do Szwajcarii i tam umarł.

Buber: Czy komunikowano Panu jakie wiadomości konspiracyjne? **Brzozowski:** Czasem mówiono mi. Wiedziałem np., że w Warszawie jest Warski, Zalewski, — o tem, że ten ostatni (zimą 1903/4) nocuje w redakcji *Głosu*. W Krakowie 1905 marzec niechcący asystowałem wyjazdowi jakiegoś młodego „Proletarjatzyka“ z bibułą. Spotkaliliśmy się przedtem u Michalika. W listopadzie lub grudniu 1905 dał mi we Lwowie Wroński adres, dokąd mam posyłać rękopisy. Później wyjeżdżam za granicę. W zimie 1906 r. wiem o pobycie pewnego człowieka za cudzym paszportem. Brzozowski podaje Sądowi na piśmie nazwiska osób i adresy, o których mówi.

Buber: Czy p. Goldbergowa często przychodziła do Pana? **Brzozowski:** Dość często. W ciągu grudnia 1904 r. i pierwszych dniach

¹⁾ Dr. Perl

stycznia 1905, to jest w ciągu mej choroby, bywała u mnie często. Pokazywałem się też czasem z nią na ulicy. W Falenicy byli pp. Goldbergowie w lipcu i sierpniu. Byłem tam 2 razy z odczytem.

B u b e r: Świadek Bakaj twierdzi, że na wiosnę 1906 była w pismach wzmianka o owacjach urządanych Panu we Lwowie. Gdzie Pan był na wiosnę 1906 r.? B r z o z o w s k i: Od początku 1906 r. byłem w Nervi, od maja zaś w Lozannie.

D i a m a n d: Kiedy urządzano Panu owacje kwiatowe? B r z o z o w s k i: Owacje kwiatowe urządzano mi 2 razy. Pierwszy raz latem 1905 r. w Zakopanem, a potem w listopadzie we Lwowie. D i a m a n d stwierdza, iż fakt urządzenia owacji kwiatowej we Lwowie jest znany sądowi.

B u b e r: Proszę zakomunikować nam o rozmowie nakładcy Połonieckiego z jakąś panią w r. 1908. B r z o z o w s k i: W r. 1908 pytałem p. Połonieckiego, czy nie miał z mego powodu jakich nieprzyjemności. On opowiedział mi, że jakaś pani Młodnicka czy też Młodowska mówiła mu po wydrukowaniu „Czarnej listy“, że narodowi demokraci już od 2 lat zbierają materiały na Brzozowskiego, a materiały te są u p. Wasilewskiego. W r. 1906 Kornel Makuszyński wykrzykiwał w teatrze, że wydostanie dokumentów na Brzozowskiego kosztowało 5 tysięcy rubli, a oprócz ogłoszonych mają jeszcze inne rzeczy w biurku.

D r. B u b e r zawiadamia, że p. Goldbergowa jest obecnie w Zakopanem.

Ś w i a d e k K a t z e n - E l l e n b o g e n: Po ogłoszeniu „Czarnej listy“ z początku wierzyłem jej. Nie wierzył tylko Połoniecki. Opowiadał mi, że była u niego p. Młodnicka i przekonywała go o winie Brzozowskiego. Mówiła, że narod.-demokraci od 2 lat utrzymują człowieka, zbierającego dokumenty na Brzozowskiego, i mają je w biurku. Świadek opowiada swą rozmowę z Kulczyckim. Kulczycki mówił mu o jakimś adwokacie, który wydobyl dokumenty przeciw Brzozowskiemu.

Ś w i a d e k K u ł a k o w s k i: Była rewizja u jednego z adwokatów warszawskich, a powszechnie w mieście twierdzono, że rewizja ta ma związek z dokumentami, którymi się posługują nar.-dem. w sprawie Brzozowskiego.

Ś w i a d e k N e l k e n: Mnie, Dauna i Posnera aresztowano w przeciągu 2 dni w marcu 1903. Czy w r. 1904 aresztowano wyżej wymienionych razem ze mną — nie pamiętam.

B u b e r: Jak długo siedzieliście w r. 1904? D r. N e l k e n: Siedziałem 5 miesięcy i puszczono mnie za kaucją 10 tysięcy rubli. Prostuje poprzednio podane daty aresztowania. Po raz pierwszy byłem aresztowany w r. 1904, a nie 1903; po raz drugi w 1905 r., a nie 1904 — jak poprzednio

podąłem. Następnie świadek podaje kilka dat, dotyczących się jego społecznej działalności.

B u b e r: Czy Wasz areszt był spowodowany aresztowaniem Dauna, czy też nie? D r. N e l k e n: Tego nie mogę rozstrzygnąć.

P e r l: Czy Kozłowski był zdemaskowany jako prowokator, czy też sypał dopiero po aresztowaniu? D r. N e l k e n: Z pewnością tego rozstrzygnąć nie mogę. Z zeznań jego przed Petersonem i gub. żandarmem wynikałoby, że sypał dopiero po aresztowaniu. Razem ze mną był aresztowany Daun. Robotnik Grabowski, który w cytadeli oblał się naftą i podpalił się, również był wyspany przez Kozłowskiego. Kozłowski nie mógł wiedzieć, jakie ja stanowisko zajmuję w partji. P. Brzozowski zapytał się mnie wczoraj, czy podczas roboty partyjnej mieliśmy obaj wspólnego znajomego. Otóż mieliśmy takiego, a był nim Assyryjczyk. Wiedział on dobrze, jakie stanowisko zajmuję w partji. Nie mam absolutnie żadnych danych, by podejrzewać Brzozowskiego o współudział w mojem aresztowaniu.

B r z o z o w s k i zapytuje, czy Assyryjczyk był konspiracyjny. N e l k e n odpowiada na kartce ²⁾).

Z e z n a j e ś w i a d e k W. F e l d m a n: Brzozowski był u mnie w Krakowie 5 lutego 1905 r. Z Brzozowskim byłem tylko w luźnej korespondencji. W lutym 1905 r. nie było mnie w Krakowie. Żona pisała mi, że pewnego dnia w południe przyszedł do mnie Brzozowski i bawił z jaką godzinę. 8 lutego przysłała p. Brzozowska z receptą lekarza z Królestwa, mówiąc, że mąż jest chory, a potrzebne jest to lekarstwo z apteki. Żona postarała się o to lekarstwo i zaniósła je do Sercanek, gdzie pp. Brzozowscy mieszkali. W ciągu lutego posyłał Brzozowski z Zakopanego luźne artykuły do *Krytyki*. Z końcem lutego przyjechała p. Brzozowska i zamieszkała u nas. W marcu przyjechał p. Brzozowski do Krakowa na odczyty Uniwersytetu ludowego. Mieszkał u mnie 6 — 7 dni. Sam go odprowadziłem na kolej. Około 20 kwietnia przyjechała do mojej żony znów p. Brzozowska. W parę dni później przyjechał i p. Brzozowski do Krakowa. Około 1 maja była moja żona u p. Brzozowskiej w Zakopanem. Przedłożył list żony, stwierdzający datę przyjazdu p. Brzozowskiego do Krakowa z Warszawy, a gdybym tego listu nie znalazł — to można skontrolować datę recepty w aptece. W lipcu i sierpniu widywaliśmy się bardzo często z p. Brzozowskim w Zakopanem.

B u b e r: Ile p. Brzozowski wygłosił odczytów w Uniwersytecie ludowym? F e l d m a n: Zdaje się, że trzy (3). B r z o z o w s k i: Tak, trzy. Dwa następne zamówiła doraźnie kancelarja Uniwersytetu ludowego.

²⁾ W rękopisie protokołu przekreślone: „podaje, że Assyryjczyk był bardzo niekonspiracyjny“.

B u b e r: Czy Brzozowski wyjeżdżał gdzie w czasie bytności Pana w Zakopanem? F e l d m a n: Absolutnie nie.

P e r l: Czy Panu jest coś wiadomo, że z końcem 1906 r. miał zamiar się wybrać Brzozowski do Warszawy? F e l d m a n: Nie wiem.

P r z e w o d n i c z ą c y prosi Feldmana o przysłanie Sądowni listu żony.

B u b e r przedkłada Sądowni: list robotnika z Warszawy; list emigranta, którego Brzozowski poznał u Goldberga i którego uważał za bundowca, a który był S. Dekiem (człowiek ten siedzi obecnie w Archangielskiej gub.). Prosi o przesłuchanie świadków: Kucia Józefa, Daniłowskiego Gustawa (Zakopane) — na okoliczności, że Bakaj w drugiej połowie 1906 r. zachowywał się jak najpospolitszy członek ochrony. Prosi o przesłuchanie: p. Leonarda Frenkla, p. Drobnerowej Bolesławowej — ze względu na osobę Goldberga, i Leonarda Frenkla — ze względu na osobę Goldringa: świadka Połonieckiego ze Lwowa — na okoliczność rozmowy z p. Młodnicką; świadka redaktora Srokowskiego — na okoliczność wyrażenia się Zawarzina o owacjach dla Brzozowskiego.

D r. B u b e r wnosi o zarządzenie przeglądu pism galicyjskich z wiosny 1906 r. (luty, marzec, kwiecień) — na okoliczność, że tam nie było wzmianki o owacjach, urządzanych Brzozowskiemu. Prosi o sprawdzenie notatki *Słowa Polskiego*, odnoszącej się do Uniwersytetu ludowego (1904 r., wrzesień, październik) i zawierającej doniesienie o jego mniemaniu założeniu w Warszawie. Prosi o przesłuchanie św. Starcka, słuchacza uniwers. — na okoliczność, że podczas odczytów Brzozowskiego we Lwowie słyszał od sąsiadów uwagi, że to nie jest Brzozowski lecz Goldberg. Prosi o przesłuchanie Henryka Sienkiewicza i osoby, której mówił daną rzecz Sienkiewicz (Bernard Scharlit, Wien, Struwerstrasse II-15, III p.) — na okoliczność nazywania Brzozowskiego Goldbergiem; prosi, by wolno było delegatowi obrony wraz z delegatem Sądu przeglądać książeczki Bakaja w Paryżu, znajdujące się u Burcewa — w kierunku charakteru, treści — i o ile odnosi się ona do p. Brzozowskiego, i o ile nazwisko Brzozowskiego jest tam wymienione, i o zwrócenie uwagi, jak tam adresy mieszkań p. Kulczyckiego w Warszawie są zanotowane. Prosi, by Sąd pozwolił, by przy badaniu tych książeczek, obok delegata Sądu, mógł być obecny mąż zaufania Brzozowskiego, i prosi o zaznaczenie, że jeżeli Burcew pozwala na odpisanie tych notatek w części lub w całości, to Sąd nic przeciwko temu nie ma. Prosi o zawiadomienie delegata Sądu, by przed zbadaniem książeczek porozumiał się z mężem zaufania Brzozowskiego, by badanie książeczek mogło się odbyć wspólnie.

B r z o z o w s k i prosi o przesłuchanie Kobyłańskiego; adres: Olga Kobyłańska, Florencja via di Barbano 4, III p., dla Wład. — na okoliczność, że

p. Kulczycki po powrocie z Paryża opowiadał mu o widzeniu się z Bakajem, i na okoliczność, że podczas bytności w Nervi u Kobyłańskiego powtórzył słowa Burcewa: „Naszem zadaniem jest wzbudzać ufnosć do Bakaja“, i na okoliczność, że w Nervi, mając możność zapoznania się z najwybitniejszymi rewolucjonistami, nie uczyniłem tego.

Z e z n a j e ś w i a d e k S r o k o w s k i: Dziś dowiedziałem się dopiero, że ja mam coś wiedzieć o rozmowie w ochranie o demonstracji kwiatowej. Otóż kiedy narod.-dem. wystąpiła przeciwko p. Brzozowskiemu — stanąłem po stronie p. Brzozowskiego, nie usprawiedliwiając jednak jego postępów. We Lwowie w „Gwieździe“ podjął p. Brzozowski wykłady nanowo. Wykład ten poprzedzony był kwiatową owacją. Widok ten wzbudził we mnie niesmak. W parę godzin potem w towarzystwie Irzykowskiego i Dra Feigenbauma dałem wyraz niesmaku owego. P. Irzykowski przyszedł z propozycją wydania odezwy literatów w obronie Brzozowskiego. Ja nie zgodziłem się na to. Wyraziłem też przypuszczenie, że jeżeli o tem będą czytać w policji rosyjskiej, to się będą śmiać. Mówił ze mną z literatów z Król. pol. p. Dąbrowski³⁾ i kto wie, czy w tem kole nie mówiono o tem — a ja potem powyższe słowa powtórzyłem automatycznie. Nie mogę również twierdzić, czy to nie jest przypuszczenie, wyrażone przeze mnie.

W maju 1907 spotykałem się z Nowaczyńskim i pytałem się o Brzozowskiego. Ten powiedział mi, że nowe rzeczy wyszły na jaw. Później rozmawiałem o tem z Haeckerem, który to potwierdził. Twierdzę, że mówiąc o owych śmiechach żandarmerji, mogłem myśleć o dokumentach z r. 1898.

O r t w i n pyta się Srokowskiego, co znaczy owo wyrażenie się świadka w rozmowie z nim o Zawarzinie („Jak się tam Polacy bawią“). **S r o k o w s k i:** Mówiłem wiele z tutejszymi członkami P. P. S. D. i dowiedziałem się wiele szczegółów — jeżeli zaś mówiłem o tem, to mówiłem o owym szczególe podanym przez Bakaja.

B u b e r wnosi jeszcze o przesłuchanie Suheckiego (Zwierzyniecka 4) co do osoby Bakaja.

Odczytano i poprawiono dnia 21.II.1909. (—) E. Bobrowski.

SOBOTA, DNIA 20 LUTEGO 1909.

Odczytane zostają protokoły posiedzenia tajnego z dnia 19 lutego.

Odczytano list robotnika z Warszawy, Juliana Mirowskiego, z 17.II. 1909:

Do Szanownego Prezydium Sądu w sprawie St. Brzozowskiego w Krakowie.

Niżej podpisany dowiedziałwszy się od p. Br. Gałczyńskiego, że w sprawie powyższej ważnemi są szczegóły dotyczące byłego Uniwersytetu Robotniczego, zorganizowanego

³⁾ Wojciech Dąbrowski.

przed kilku laty w Warszawie, uważam sobie za obowiązek, jako jeden z członków tegoż złożyć w tej kwestji poniższe dane.

Uniwersytet ten (który miał jeszcze w swej nazwie, jak mi się zdaje, wyraz „ludowy“) powstał dzięki inicjatywie Czesława Lewandowskiego, który myśl tę przedstawił gronu robotników młodych, uczących się pod jego kierunkiem deklamacji. I zamiast lekcji odbyto tego wieczoru naradę w tej kwestji. Następnie odbył się szereg posiedzeń organizacyjnych z udziałem Brzozowskiego, na których jako jeden z delegatów wybranych z pomiędzy robotników bywałem i ja.

Tak Brzozowskiego jak i inne osoby, dla sprawy tej zjednywał inicjator, Czesław Lewandowski.

Brzozowski szczególnie zalecał rozagę w tych pracach i wykazywał dbałość o dobro podstawy dla tej instytucji.

I tak, po urządzeniu się, praca szła przez jakiś czas.

Ani zamiarów, ani wogóle mowy o legalizacji Uniwersytetu wówczas nie było, gdyż nikt z nas należących do zarządu nie łudziłby się co do możliwości tego w tym czasie.

Inicjator, Lewandowski, gdy początkowo okazał się bardzo energicznym, niezmordowanie zabiegliwym, to później jednak, w krótkim stosunkowo czasie okazało się, iż jest on nietylko nieodpowiednim do takiej i w naszych tu warunkach roboty, ale wprost wydał się przez nietaktowne na każdym kroku postępowanie — nie możliwym.

Wkrótce też niektóre osoby poczęły się wymawiać od wspólnej z nim pracy, a ci zaś, którzy nawet z wielką odnosili się do niego pobłażliwością, jako do młodego i nie wyrobionego jeszcze człowieka, przekonani o wielu jego błędach, które w przyszłości narazić mogły nietylko jego samego, ale i wszystkich z nim pracujących, zgodzili się na wniosek większości pracę tę przerwać zupełnie.

Tak też się stało, po ogólnym czasie trwania tej pracy, mniej więcej około trzech miesięcy.

Takie były więc powody zamknięcia tej instytucji, która naprawdę to jeszcze do brze nie utrwaliła swej egzystencji, gdy powzięto ją zwinąć.

Dziwnem też wydało mi się otrzymane zawiadomienie, że ta sprawa, skądinąd nieznana prawie, dziś poruszana jest, i że wogóle to mogło stać się przyczyną do postawienia zarzutów komukolwiek jakiegokolwiek zdrady.

W ciągu całego czasu trwania tej pracy nikt z zainteresowanych nieprzyjemności żadnych nie miał, ani też nikt aresztowanym nie był. (—) Julian Mirowski, bronzownik, Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża Nr. 3. D. 17 lutego 1909 r.

Odczytano wyjątek z listu w rosyjskim języku zesłańca do Archangielskiej gub. (podpis znany sądowi). Wyjątek ten przetłumaczono na język polski. (List podaję w całości):

Kandałaksza, wtorek, 15 lipca 1908 r.

Drodzy Przyjacie!e!

List Wasz już nie zastał mnie w Kemi. Złośliwy los rzucił mnie znowu w inne miejsce — poza koło polarne, w kraj letniego dnia i zimowej nocy, w najdalszy zakątek morza Białego. Na północno - zachodnim krańcu zatoki Kandałakskiej, u zachodniego podnóża krawędzi górskiej, otaczającej wybrzeże Terskie, przytuiliła się niewielka osada, złożona ze stu chat: to właśnie Kandałaksza. Przyroda uboga tu i posępna. Gdziekolwiek rzuci się wzrokiem, wszędzie dzika skała — miejscami naga, miejscami porośla jodłą, sosną i karłowatą brzozą. Na całym nieogarnionym obszarze, pokrytym niezliczonemi jeziorami i wartkami rzekami, widać prócz lasu tylko jałowce i niektóre inne krzewy.

Zwierzyny niewiele. Zrzadka przebiegnie pędzony przez głód i owady lis, przemknie gro-
nostaj lub wydra, a czasami zawędruje i bury niedźwiedź.

Ludność — to mieszanina Pomorzan (?), Korelaków i rdzennych Rosjan. Wszyscy
trudnią się poławem śledzi, siomgi, poza tem zabijają foki, w skromnych rozmiarach
polują na leśną zwierzynę i zbierają puch edredonowy. Wogóle jest to swoisty światek.
Nic wspólnego z normalną wsią rosyjską. Niema tu kwestji agrarnej—kamieni jest dowoli,
bierz jeśli tylko chcesz. Nie przeżywano tu ani rewolucji ani reakcji, wszystko dochodzi
jakgdyby z oddali. Zresztą dawność niezbyt już silnie się trzyma — nie tylko młodzi, lecz
i niektórzy starzy piją herbatę, palą tytoń. Prawda, na ziemniaki są odporni — ale to
dlatego, że niezbiecie wiadomo, iż ziemniak jest nieczystym płodem... dziewicy.

Zapytujecie, na jak długo jestem zesłany. Na trzy lata. Aresztowano mnie jako
nielegalnego, nie udało mi się ukryć i trzeba było zawędrować tu. Zapytujecie o towa-
rzyszy. Zesłanych jest tu dziesięć osób różnego autoramentu, przeważnie średniorolnych
chłopów, porwanych falą rewolucyjną bez wiedzy i świadomości — ludzi, z których
„niebezpiecznych rewolucjonistów“ uczyniła tylko gorliwość Ochrany i ta nieokiełznana
reakcja, która tak się u nas na Rusi rozhułała. Nie będę się rozwodził nad obecnymi ze-
słańcami, nie będę ich osądzał, chociażby dlatego, że i tak już są oni oplwani — być
może nawet zanadto, a poza tem zbyt blisko się z temi żywiołami stykacie, żeby trzeba
Wam było specjalnej charakterystyki.

Piszecie, że u Was stosunek do emigrantów jest nieprzyjazny, i słusznie zaznacza-
cie, że wpływa na to moment ekonomiczny. Zupełna racja. Wszędzie powtarza się ta
sama historia. Przyzwyczajono się kojarzyć z rewolucją pojęcia heroizmu i niezwyklego
poziomu umysłowego i moralnego. Zapomina się, iż z tego nie wynika bynajmniej, by
każdy, kto ucierpiał wskutek rewolucji, był bohaterem — a gdy okaże się, że rzekomy
bohater je i pije jak zwykły śmiertelnik, zwłaszcza gdy pod względem ekonomicznym
(jeśli się tak można wyrazić) nadeptuje na pięty, a tembardziej jeśli przejawia jakąkolwiek
słabość — zaczyna się gwałt, często nieszczerzy, czasem kryjący niską zawiść, chęć słabe-
go, by wyrzucić złość na jeszcze słabszym. Tutaj, w kraju zesłania, zdarzało mi się sły-
sząc nieprawdopodobnie wstrętne rzeczy o zesłańcach; jednak gdy myślę o tej nagonce
przeciw zesłańcom, jaka się obecnie dokonywa, to muszę przypisać ją w znacznym
stopniu niezdolności olbrzymiej większości do rozważania nowych zjawisk chociażby
w tej płaszczyźnie, w której się ocenia zjawiska codzienne. Zresztą — czyż ta nagonka
nie jest jedną z form likwidacji rewolucji rosyjskiej, odbywającej się teraz na całym
froncie? Powtarzam: ja bynajmniej nie myślę ani wybielać, ani bronić zesłańców
i emigrantów.

Cóż mam pisać o sobie? Otrzymuję ze skarbu 8 rb. 90 kop. miesięcznie i gdyby
nie nieprawdopodobna drożyzna położenie byłoby znośne. Niestety, nie mogę tego po-
wiedzieć o rodzinie. Żona z dwojgiem dzieci znajduje się obecnie w Petersburgu, bez
pieniędzy, bez pracy. Jak łatwo się domyślicie, możliwość pracy literackiej w mojem
położeniu — jak powiadają Niemcy — ist ausgeschlossen. Żona chciała tu przyjechać,
ale sprzeciwiłem się temu. Jak ona wybrnie z tej ciężkiej sytuacji, trudno powiedzieć.

Wasz opis nieprzyjemnej historii z Bronisławem zdumiał mnie. Nie spodziewa-
łem się, że u Was porządki w zakładach naukowych są tak zbliżone do rdzenno-rosyj-
skich. Wydaje mi się, że Wasze obawy co do złego wpływu swobody pozaszkolnej są
bezpodstawne. Nic tak nie rozbudza wstrętu do pracy jak obecna szkoła państwowa,
i nie wątpię, że w inteligentnej rodzinie dzieciak ze znacznie większą korzyścią zużytkuje
czas, niż w szkole — zwłaszcza przy tak bliskim stosunku, jaki istnieje między Wami
a synem. Co się tyczy poglądów, to w tym wieku nie są one tak istotne, jak ogólny kie-

runek wykształcenia i jeśli jest ono tego rodzaju, że rozwija zdolności człowieka, samodzielność, moc ducha i myśl krytyczną — to obawiać się niema czego.

Nie możecie sobie wyobrazić, jak zaskoczyła mnie Wasza wiadomość o Brzozowskim, tembardziej, że o niczem nie wiedziałem. Dopiero potem znalazłem w starych gazetach parę wzmianek o nim. Co o tem myśleć? Przekonany jestem, że zachodzi tu jakaś fatalna omyłka. Historia emigracji europejskiej zna wypadki kłamliwych oskarżeń o zdradę: wszak nie uniknął ich nawet Bakunin. Piszecie, że poza grupką przyjaciół nikt się za nim nie ujmuje. Tak, jego położenie musi być bardzo ciężkie. Nie jest on człowiekiem partji, nie stoi za nim organizacja, siła jego jest w określonym nastroju, w pewnych sympatjach, i takie oskarżenie może mieć bardzo smutne następstwa. Już zaznaczyliście niechęć do drukowania jego utworów. Napiszcie, czy sytuacja jego się poprawiła.

Wyobrażam sobie, jak ciężkie było to oskarżenie dla Was i Waszych przyjaciół. Napiszcie, jak się do tego odnosi współczująca mu młodzież. Gdy list mój do Was dojdzie — być może, Sąd honorowy wyda już wyrok. Jak odniosły się do tego osoby, do których Brzozowski zwraca się w swoim wezwaniu? Ze wpłątano tu nazwisko Goldberga, to dość dziwne. G. odnosił się do Brzozowskiego z wielkim szacunkiem, co niejednokrotnie zaznaczał w rozmowach. O ile pamiętam, był on raz aresztowany i obwiniony o to, że wyjeżdżał zagranicę, ale dowiódł, że nie wyjeżdżał. U nikogo wówczas nie powstała myśl o możliwości prowokacji. Zresztą najlepiej byłoby zwrócić się do jego żony dla wyjaśnienia okoliczności aresztowania. A propos: w wołogodzkiem więzieniu przesyłkowem spotkałem pewnego Polaka z Warszawy, nazwiskiem Dziudziński. Miał on na Nowym Świecie szkołę śpiewu. W liczbie jego uczniów był pewien fotograf (?) — również Stanisław Brzozowski. Otóż na śledztwie zapytywano go o tego ucznia. Dziudziński przypuszczał, że Ochrańca pomieszała jego ucznia z pisarzem St. Brzozowskim. Nie wiem, czy to może mieć związek z Brzozowskim. Na wszelki wypadek napiszę, by się dowiedzieć szczegółów. Jeżeli będzie co interesującego, zakomunikuję. Brzozowskiemu prześlijcie ode mnie serdeczne ukłony i życzenie, żeby wreszcie uwolnił się od tej całej brudnej historii i jej podobnych.

Co u Was ciekawego w świecie literackim, w kołach partyjnych? A propos: czy przejawia się u Was syndykalizm? Czy Brzozowski nie zabiera się do pisanja o nim? Tutaj to „modny“ temat.

P. S. Otrzymałem Waszą korespondentkę. Dokąd właściwie zmierza Perlmutter w swej Lustreise? Napiszcie o swym pobycie w Zakopanem. Tymczasem wszystkiego najlepszego. Oddany Wam Izaak.

Adres: Kandałaksza, Archang. gub., Izaak Puzas.

S ę d z i a ⁴⁾: Ile czasu upłynęło od chwili otrzymania tego listu?
B u b e r: List otrzymano w sierpniu 1908. Od tego czasu od autora tego listu żadnej wiadomości nie otrzymano. Wobec tego, że był on chory na gruźlicę — niewiadomo czy żyje jeszcze.

P r z e w o d n i c z ą c y ogłasza uchwały sądu w sprawie wniosków obrony. Sąd zgodził się na dopuszczenie świadków: 1) Sucheckiego Zygmunta, Kraków, Zwierzyniecka 4; 2) Kucia Józefa, Kraków, ul. Radziwiłłowska 25; 3) Daniłowskiego Gustawa w Zakopanem — o s t a t n i e g o

⁴⁾ Kon.

w drodze pisemnej, na okoliczność, że Bakaj z końcem r. 1906 w urzędowaniu zachowywał się jak zwyczajny ochrannik; 4) Leonarda Frenkla, Kraków, ul. Łobzowska 4 i 5) Drowej Drobnerowej, Kraków, Zgoda 1, na okoliczności tyżące się Goldberga, drugą także Goldringa; 6) księgarza Połonieckiego we Lwowie — na okoliczność, że p. Młodnicka opowiadała mu o sumach, które nar.-dem. wydała na zdobycie materiału kompromitującego Brzozowskiego; 7) Redaktora Srokowskiego w sprawie zająć w ochranie; 8) Słuch. wszech. Starka, Lwów, ul. Szopena 7 — na okoliczność, że podczas odczytu Brzozowskiego we Lwowie mówiono mu o Brzozowskim, że właściwe jego nazwisko opiewa Goldberg; 9) Bernarda Szarli-ta w Wiedniu II Struwerstr. 15, w drodze pisemnej — w sprawie opowiadania Henryka Sienkiewicza o właściwym nazwisku Brzozowskiego. Z a s i ę g n ą ć o p i n i j i 10) Fignerowej, 11) Krapotkina, 12) Łopatyna co do wiarygodności i ścisłości zeznań Bakaja; 13) Assyryjczyka w d r o d z e p i s e m n e j — na okoliczność, jaki charakter miały jego rozmowy i stosunki z Brzozowskim, czy znał jego (Assyryjczyka) stanowisko w partji i czego mógł się od niego dowiedzieć przez cały czas ich znajomości; 14) męża zaufania P. P. S. w Paryżu, w d r o d z e p i s e m n e j — w kwestji, kto go informował o Brzozowskim: Bakaj czy Burcew; 15) Felicję Gold-bergową, dentystkę w Zakopanem — na kwestję, w jakich warunkach St. Goldberg był aresztowany, w jakich wyjechał i jaki był charakter stosun-ku G. do Brzozowskiego; 16) p. Feldmanową — na okoliczność, że 15.II.1905 odprowadzała Brzoz. na dworzec kolejowy i że Brzozowski wówczas po-jechał do Zakopanego; 17) Sąd postanowił badać notatki Bakaja, znajdujące się w Paryżu, pod względem treści notatek, o ile odnoszą się do Brzozow-skiego, czy znachodzi się tam nazwisko Brzozowskiego względnie Goldberga, czy znachodzą się adresy Hoża i Smolna, względnie inne adresy, odno-szące się do Kulczyckiego; 18) zażądać przedłożenia metryki Brzozowskie-go; 19) zbadać *Słowo Polskie* z lat 1903 i 1905, czy znachodzi się tam wzmianka, jakoby Brzozowski nazywał się Goldberg; 20) stwierdzić, czy Brzozowski mieszkał w lutym 1905 przez 10 dni w pensjonacie Sercanek; 21) stwierdzić, kiedy mieszkał Brzozowski w Zakopanem a) w hotelu „Mor-skie Oko“, b) u Parczewskiej na Kubinówce i c) u Czubernata, ul. Kościel-na, i czy stamtąd wyjeżdżał; 22) zbadać, kiedy odbyły się wykłady Brzozow-skiego w krakowskim uniwersytecie ludowym.

Natomiast odmówił Sąd żądaniu 1) zbadania pism galicyjskich od II do V.1906 i stwierdzenia, że w owym czasie nie robiono owacji Brzozowskie-mu we Lwowie, a to ze względu, że sądowi wiadome jest, że owacje te odby-ły się tylko w jesieni; 2) przesłuchania Wład. Kobyłańskiego na okoliczność, że Burcew mówił o potrzebie wzbudzenia zaufania do Bakaja, albowiem

Burcew zeznał to samo przed Sądem; 3) przesłuchania Sienkiewicza ze względu, że zeznania Szarlita dostatecznie wyjaśnia tę okoliczność.

B u b e r: Od kogo przedstawiciele P. P. S. i frak. rew. otrzymali informacje, dotyczące się mieszkania konspiracyjnego: od Burcewa czy Bakaja? **P r z e w o d n i c z ą c y:** W tej sprawie sąd zwróci się do męża zaufania tych partji o wyjaśnienie. **S ę d z i a**⁵⁾: Mąż zaufania P. P. S. i Frakcji rewolucyjnej otrzymał informacje od Bakaja przez Burcewa.

Odczytane zostaje pismo p. Brzozowskiego o stanie jego finansów.

F i n a n s e.

Ś l u b 23.3.1901 **k w i e c i e ń.** Od matki otrzymałem po opędzeniu kosztów ślubu 180 rb. na poczet schedy po ojcu, a od krewnej Karolowej Brzozowskiej 200 rb. do **O t w o c k a.**

Od drugiej połowy maja r. 1901 zaczynam zarabiać u Arcta, który płacił mi po 10 rb. za arkusz druku („Książki dla wszystkich“); w pierwszym miesiącu 80 rb., a w dalszych po 120 w 3 ratach po 40 rb. To trwało do końca września 1901 r.

W październiku r. 1901 Arct wypłacił mi 100 rb. (Oprócz wydanych książek Arct miał moje rękopisy, o których ogłaszał w swych pierwszych katalogach r. 1902. Te rzeczy nie zostały wydane). Ten stan trwał do wyjazdu do Warszawy, połowa lutego r. 1902.

Oprócz tego w tym czasie zarabiam 27 rb. w **Prawdzie** za 1 artykuł o Amielu.

R o k 1902. Pomiędzy lutym a kwietniem r. 1902 wypłacił mi Arct nadetatowo za „Książkę dla młodzieży“ razem 320 rb., natomiast w tym czasie zarobki za „Książki dla wszystkich“ zmniejszyły się do jakichś 80 rb. miesięcznie. W czasie między listopadem 1901 r. do maja 1902 r. żona zarabia 400 rb. od Arcta za streszczenie dzieła o **Ludzie** Kolberga i napisanie książeczki o wychowaniu.

Od kwietnia 1902 r. szwagrowa Walentyna mieszka przy nas. Wtedy krewni jej i żony Marconi (Warszawa) dają nam dla Walentyny 200 rb.

W czerwcu 1902 r. otrzymuję z Kasy Mianowskiego stypendjum w kwocie 200 rb., w lipcu 1902 r. Jan Brzozowski z Popieluch przesyła 200 rb.

W sierpniu 1902 r. dostaję od księgarni p. Kołodziejskiej w Warszawie za skonfiskowaną później rzecz **Pod ciężarem Boga** 100 rb.

W 4 września zwraca się do mnie Weryho z propozycją tłumaczenia i korekty Merciera: **Filozofja neoscholastyczna**; zaczynam też pisać artykuły krytyczne dla Weryhy i tłumaczę książkę Königa o Wundzie, co wszystko daje mi od września 1902 r. do kwietnia 1903 r. od 35 — 40 rb. miesięcznie.

Zarobki u Arcta od września do grudnia 1902 r. topnieją do jakich 30 — 40 rb. miesięcznie, natomiast obejmuję korektę u Fischera i przez parę miesięcy zarabiam po 20 — 25 rb. miesięcznie.

W tym czasie nawiązuję stosunki z **Przeglądem Tygodniowym**, z którego zarabiam ogółem za kilka artykułów 60 rb.

W październiku 1902 (mieszkam Chopina 15) grozi mi licytacja za komorne z poprzedniego mieszkania (Hoża 60); wtedy wuj Mazurowski daje mi 100 rb.

W grudniu r. 1902 nawiązuję stosunki z **Glosem**. Otrzymuję od Dawida zaliczkę i honorarium $\pm$ 70 rb., a żona zaczyna zarabiać lekcjami (20 — 25 rb. miesięcz.). Stołuje się u nas adwokat Pytliński, płacąc około 25 rb. miesięcznie.

⁵⁾ Dr. Perl

Z grudnia 1902 na styczeń 1903 zaciągam pożyczkę w pragskim (Warszawa) Towarzystwie kredytowym (lub może nieco inna nazwa) 270 rb. Podpisują weksel: Pytliński i Arct.

Rok 1903. Zarobki u Arcta giną. Pozostają: Weryho — 35 — 40 rb. mies., **Głos** — 40 — 45 rb. mies., żona — 20 — 25 rb. mies.

W połowie lutego 1903 wypłacają mi nagrodę za **Mocarza** 300 rb. W kwietniu 1903 zachorowuję; Przybyszewski wydobywa mi z teatru zaliczkę 150 rb.

Dawid przynosi mi od właściciela **Głosu** Klimpla zaliczkę (spłacalną małymi potrąceniami) w kwocie 100 rb. Pytlińska za współudziałem Dr. Glassa i Władysł. Marconiego dostarcza mi 200 rb.

Doktorzy naglą do wyjazdu. Pomimo to kosztą kuracji oraz zaległe długi nie pozwalają wyjechać do Otwocka. Następuje to dopiero z końcem czerwca r. 1903. W tym czasie Kasa literacka daje 100 rb.

W Otwocku Jan Brzozowski za pośrednictwem ciotki Salkowskiej przesyła mi 100 rb., Narbutowie za pośrednictwem Dawidów 50 rb.

Zawijazuję stosunki z Kucharskim, wydawcą „Biblioteki samokształcenia“ i za przetłumaczenie książki Riehla **O Glordanie Bruno**, Dühringa **O zawodowym wykształceniu kobiet**, za oryginalne artykuły filozoficzne, tłumaczenia i streszczenia z rosyjskiego i francuskiego zarabiam aż po styczeń r. 1904 ogółem od 250 — 280 rb.

W **Głosie** w tym czasie zarabiam 40 — 50 rb. miesięcznie. To trwa do początku r. 1904. Za artykuł w **Przeglądzie Filozoficznym**: „O etyce Spencera“ — 30 rb.

W listopadzie 1903 r. grany jest **Mocarz**. Dochód wynosi po odtrąceniu zaliczki do 180 rb. W grudniu 1903 r. „Kółko młodzieży“ urządza wykłady o literaturze w Otwocku. To daje około 25 rb.

R o k 1904. **Głos** przynosi miesięcznie 40 — 50 rb. Przez styczeń i luty Kucharski daje najwyżej 15 — 20 rb. miesięcznie.

Żona zarabia w Otwocku u p. Jankowskiej i u jednej z pensjonarek, p. Jadwigi Nestorowicz, do 30 rb. miesięcznie. W tym czasie żona i dziecko chorują — tak, że zapłata komornego 15 rb. mies. idzie z trudem.

W lutym r. 1904 wuj Mazurowski daje 35 rb.

W lutym 1904 r. p. Dawidowa urządza odczyt mnie i Nowaczyńskiemu, z którego dostaje 50 rb.

W marcu 1904 wyjeżdżam z Nowaczyńskim do Łodzi na odczyt, który przynosi 30 rb. po opłaceniu kosztów podróży; urządzą mi także odczyt w T-wie prac. handl. żyd. (40 rb.). W marcu i kwietniu 1904 urządza mi odczyt Dr. Cecylja Grossglück; dochód 20 rb. W kwietniu 1904 nabywa Mortkowicz rzecz o Żeromskim i płaci mi narazie 40 rb., dalej nabywa Mikulski serję artykułów satyr. **Widma moich społeczeństwach** za 100 rb. Teżże księgarni zostaje dłużnym zaliczkę za nieskończoną pracę powieściową do 150 rb. wypłaconych przez czas od kwietnia 1904 do początku lipca 1904.

Z końcem kwietnia lub maja 1904 księgarz Borkowski nabywa niewydrukowane dotąd w „Książce“ artykuły z kampanji Sienkiewiczowskiej i daje na poczet 100 rb. — 25 rb. gotówką, a na resztę weksel, którym płacę meble zakładowi Klipla.

W końcu czerwca 1904 Mortkowicz nabywa drukującą się w **Głosie** powieść **Wiry** łącznie z Żeromskim i wypłaca aż po październik 1904 r. do 270 rb.

W maju 1904 r. żona przestaje zarabiać. W lipcu i sierpniu r. 1904 jadę dwa razy na odczyty do Falenicy na rzecz Bundu (Goldberdzy) po 10 rb., w sierpniu 1904 r. za 3 repliki felczera (Leszno 32) wydrukowane w **Kurjerze Porannym** po 10 rb. — razem 30 rb.; od Dr. Goldflamma jako zasiłek 50 rb. (sierpień lub wrzesień).

Od wuja Mazurowskiego we wrześniu 1904 otrzymuję w kilku drobnych kwotach 100 rb., z końcem września 1904 r. lub w październiku siostra żony Walentyna przesyła 45 rb. z kondycji na Białorusi.

Od września 1904 r. zaczynam zarabiać wykładami i odczytami: 1) W Kółku Pań, zorganizowanem przez p. Meiera, o „romantyzmie“ przez 4 — 6 razy w miesiącu po 5 rb. za godzinę; 2) W Kółku młodzieży gimnazjalnej, zorganiz. przez Matlakowskiego, czytam o „Literaturze“ 4 razy miesięcznie po 5 rb. za godzinę; 3) Od października 1904 wykładam w Kółku Pań, zorganizowanem przez Bronisława Gałczyńskiego, o literaturze francuskiej w. XIX — 6 do 8 godzin miesięcznie po 6 — 8 rb. za godzinę; 4) W Kółku słuchaczy filozofii przez Gałczyńskiego 2 — 3 wykłady po 10 rb.; 5) Co tydzień prawie mam wykład w Kole postępowej młodzieży, zorganiz. przez sympatyków Proletariatu, na tematy społeczne, za wykład od 5 — 8 rb.; 6) Wykłady w mieszkaniu Bernarda Lauera 2 — 3 razy po 10 rb.; 7) Odczyty naukowe przez p. Glassową i Grossglückową, razem 68 rubli.

W tym czasie żona zarabia lekcjami, jakie otrzymała z ogłoszenia w *Głosie*, 25 — 30 rb. mies.

Naogół z wykładów mam miesięcznie około 120 rb. dostarczonych mi w drobnych kwotach po 5, 8, 10, 20 rb.

Z początkiem grudnia 1904 odczyt: dwugłos polityczny mój i Niemojewskiego 2 razy urządzony przez Bronisława Gałczyńskiego po 25 rb.

W sierpniu 1904 wyjeżdżając z Otwocka, zostawiam rzeczy za komorne i dopiero w końcu października Stanisław Goldberg za 60 rb. dane mu na to przez intel. żyd. wykupił w Otwocku książki moje.

Z końcem grudnia 1904 zachorowuję, w tym czasie żyję z kilkakrotnych drobnych zaliczek z zasiłku zebranego na odczycie urządzonym przez Felicję Goldbergową, wreszcie gdy przychodzi 200 rb. z Kasy miłośników, 100 rb. od Gałczyńskiego i jakaś sumka od Dawida i *Głosu* — wyjeżdżam 3 lutego z Warszawy.

Z a g r a n i c ą 1905. Po przyjeździe do Krakowa miałem do 300 kor. gotówki. W kilka dni po przyjeździe otrzymuję od Ulanowskiego, prof. Uniwersytetu, 1000 kor.

W marcu 1905 otrzymuję od W. Feldmana 70 kor. W marcu i kwietniu z odczytów urządzonych w Krakowie do 150 kor., w kwietniu zaliczka z *Krytyki* 100 kor.; w maju z rautu literackiego, urządnego przez Gałczyńskiego i p. Szusterową, otrzymuję do Zakopanego 252 kor. jednorazowo i w następnych 2-ch miesiącach po 120 — 130 kor., dalej przez p. Feldmanową 200 kor. od osoby mi nieznaney. Honorarja z *Krytyki* ± 50 kor. miesięcznie, z *Głosu* dopiero od kwietnia 1905 po 60 — 70 kor., *Naprzód* jednorazowo 15 kor.

W czerwcu 1905 r. 2 odczyty przez p. Becka o Tretiaku 70 kor.

Za wykłady w uniwersytecie wakacyjnym w czasie między lipcem a wrześniem 1905 r. ogółem do 600 kor.; za wykład, urządzony staraniem Wacława Jankowskiego, wyż 400 kor., może do 500 kor.

We wrześniu (do Krakowa, tu do listopada 1905) Feldman płaci mi jako zaliczki za dramat Warszawa oraz stypendjum z Warszawy 300 rb. na ręce Feldmana wypłacalne. NB. ze stypendjum wypłacił mi Feldman 200 rb. a 100 zagranicą.

Za broszurę na obśtalunek Jodki Narkiewicza o bojkocie Dumy (niewydana z powodu zmiany sytuacji polit.) 200 kor.

W listopadzie do Lwowa. Pierwszego dnia otrzymuję od Połonieckiego 100 kor., w najbliższych dniach od Altenberga 215 kor., od Dr. Bubera 100 — 150 koron. Za

wykłady z politechniki otrzymałem 250 kor. Za inne wykłady przez ręce p. Dr. Perlmutter około 250 kor. Na wyjazd na południe od Dr. Bubera 2000 kor. Styczeń, luty.

N e r v i 1906. Od Hasklera 100 kor., od Feldmana 50 kor., od Dawidów 30 rb., reszta stypendjum, przesłana przez Feldmana, 100 rb.

Pomiędzy marcem a czerwcem 1906 r. otrzymuję do Nervi i do Lozanny od Dr. Bubera 2000 kor. Do Lozanny od Altenberga za książkę o Dostojewskim 400 kor.

Pomiędzy czerwcem a wrześniem do Lozanny od Hasklera 300 kor., od Połonieckiego 2000 do 2200 kor.

We wrześniu lub październiku 1906 przyjeżdżam do Lwowa. Tu przez inżyniera posła Moraczewskiego na rachunek Połonieckiego 600 kor., Haskler 100 kor., Politechnika z wykładów w rozmaitych sumach do 550 kor. Inne wykłady łącznie z jednym dochodowym o Świętochowskim 200 kor.

Dr. Buber płaci raz mieszkanie 90 kor., Haskler 2 razy po 60 kor. przesyła. **Głos warszawski** płaci za artykuły do 60 rb., **Głos lwowski** za przekład 50 kor. Kazimierz Bleszyński z Warszawy przesyła z odczytów urządzanych na ten cel 45 rb.

R o k 1907. Haskler przesyła 100 kor., Dr. Buber 600 kor.

W y j a z d d o N e r v i. Od Dawida otrzymuję 25 rb. Z **Russkaja Bogaetwa** przez Dr. Bubera 98 rb. Od Aleks. Lednickiego 100 rb. Od Hasklera 100 kor. Od Dr. Zetterbauma 500 kor. Od Dr. Bubera 100 kor. — w czerwcu 400 kor. Od Połonieckiego 600 kor., przez p. Czajkowską 160 kor.

W y j a z d d o F l o r e n c j i 15 sierpnia 1907 r. Przez Dr. Wrońskiego za przekład przez żonę książki lekarskiej z francuskiego 150 rb. Od Dawidów w dwu ratach 50 rb., z redakcji **Świt** w 3 ratach 125 rb. Od Weryhy z **Przeglądu Filozoficznego** w 2 ratach 60 rb. Od Połonieckiego 200 kor. Od p. Czajkowskiej miesięcznie od 100 — 150 kor. (od września 1907 r. do marca 1908 r.). Jednorazowo od p. Czajkowskiej 90 kor. od Dr. Bubera 100 kor. Z Panteonu 50 fr. — od „Kampfu” 68 fr.

R o k 1908. Od Połonieckiego 300 kor., od Dra Bubera 400 kor., od Prof. Reissa 400 kor.

Od Maksyma Gorkiego za przekład Daniłowskiego 225 fr., z **Sierpu** 150 rb., od Dawidów 30 — 40 rb., od Połonieckiego 200 kor.

Od marca do lipca od p. Czajkowskiej 70 — 90 fr. miesięcznie. Od Dr. Bubera 400 kor., od Połonieckiego 150 kor., od Dr. Bubera 75 kor., ze sprzedaży książek 120 kor., od Połonieckiego 100 kor., od Hasklera 100 kor., z **Głosu** 20 rb., ze **Świt** 25 rb.

Od Połonieckiego od września 1908 aż do lutego 1909 — 1300 kor. Od Dr. Bubera — 20 kor. Od września aż do lutego 1909 od p. Czajkowskiej 60 — 70 kor. miesięcznie. Od p. Czajkowskiej na rachunek Połonieckiego 200 kor. Na podróż od Dr. Bubera 150 kor.

B u b e r prosi o skonstatowanie, że w „Czarnej liście” powiedziane jest, że Brzozowski po wyjeździe do Zakopanego już więcej do Warszawy nie przyjeżdżał. **P r z e w o d n i c z ą c y** stwierdza, że w „Czarnej liście” istotnie jest to powiedziane.

B u b e r prosi o odczytanie nowego listu p. Laury Pytlińskiej. Prosi o przesłuchanie p. Felicji Goldbergowej na okoliczność warunków aresztowania i wyjazdu z Warszawy Stanisława Goldberga. **P r z e w o d n i c z ą c y**: Zwracam uwagę na trudności, związane z powoływaniem tylu nowych świadków.

Sąd uchwala powołać na świadka p. Felicję Goldbergową.

S ę d z i a ⁶⁾: Kiedy p. Brzozowskiemu wręczono pieniądze na wyjazd do Zakopanego? B r z o z o w s k i: W czasie strajków styczniowych p. Pytlińska przysłała przez służącą 30 — 40 rubli na poczet dochodu z przedstawienia Miłośników. Resztę przysłała w dzień wyjazdu — zdaje się — przez Cwierdzińską. 100 rubli z kasy literackiej przyniósł p. Gałczyński na parę godzin przed wyjazdem 3 lutego.

S ę d z i a zapytuje o powody zajścia w biurze paszportowem B r z o z o w s k i: Przez jakiś czas namawiano mnie do wyjazdu bez żony i dziecka, zapewniając, że z następnych pieniędzy wyjadą później. Nie chciałem się na to zgodzić. Przypuszczałem, że grają komedję, aby mnie wysłać samego. To mnie bardzo zdenerwowało i tym można objaśnić scenę w Magistracie.

S ę d z i a zapytuje o współpracownictwo S. Goldberga w *Głosie*. B r z o z o w s k i: Goldberg umieścił w *Głosie* pod pseudonimem M. Aleksandrowicz szereg artykułów pod łącznym tytułem „W królestwie obłudy“. Pozatem pisywał kompilacje z artykułów w *Neue Zeit*, których zwykle nie podpisywał wcale.

S ę d z i a: Czy w szerszych kołach znano działalność literacką Goldberga w *Głosie*? B r z o z o w s k i: Zdaje się, że nie.

S ę d z i a: Czy Goldberg pisywał w *Głosie* i w tym samym czasie, co Brzozowski? B r z o z o w s k i: W r. 1904 pisywali do *Głosu* jednocześnie. Byliśmy w stosunkach przyjacielskich i czytывaliśmy sobie wzajemnie swoje artykuły.

S ę d z i a: Czy Goldberg pisywał w *Głosie* i w tym samym czasie, co zowskiego z Goldbergiem? B r z o z o w s k i: Nie; wówczas nas, o ile mi wiadomo, stanowczo odróżniano.

S ę d z i a: Czy p. Brzozowski wiedział już dawniej o tem, że uważają go za Goldberga? B r z o z o w s k i: Nie. Dowiedział się o tem dopiero zagranicą. Ostatnio od Ortwiną.

S ę d z i a: Czy można było mieszać skrypta Brzozowskiego i Goldberga? B r z o z o w s k i: Stanowczo było to niemożliwe. Z powodu niewyraźnego pisma artykuły Brzozowskiego zecerzy składali podług osobnej taryfy.

S ę d z i a: Czy artykuł Brzozowskiego, zabrany u Goldberga w czasie rewizji, był podpisany? B r z o z o w s k i: Tak, ale nie pociągnął za sobą żadnych nieprzyjemności, gdyż był czysto naukowy.

⁶⁾ Dr. Perl.

S ę d z i a: Pan wspomniałeś, że Goldbergowie byli w mieszkaniu prywatnem naczelnika żandarmerji. B r z o z o w s k i: Miał wrażenie, że Goldbergowie byli w prywatnem mieszkaniu pułkownika Sałamatowa celem podpisania protokołów sprawy. Sałamatow mieszkał w sąsiedztwie Brzozowskiego na Natolińskiej.

S ę d z i a: Czy Pan przypomina sobie, że Goldberg był ogłoszony w *Robotniku*? B r z o z o w s k i: W kołach znajomych nie było żadnych oznak, aby to wpływało na stosunki z Goldbergiem. Żyłem z nim w przyjaźni i uważałem, że te sprawy są już dawno załatwione. Nigdy nie łączył Goldberga ze swoją sprawą.

S ę d z i a: Czy Pan wiedział, że w przeszłości Goldberga są jakieś niejasne zarzuty? B r z o z o w s k i: Coś słyszałem, ale nic konkretnego. Dopiero w czasie zatargu Goldberga z prezydjum wieców polskich dowiedział się jakichś szczegółów, których nie pamięta.

S ę d z i a: Czy w końcu r. 1904 Goldberg nie wspominał, że ma przeszłość nieczystą? B r z o z o w s k i: Nie wspominał. W r. 1905 mówiono o liście Felicji Goldbergowej do Bundu w tej sprawie.

S ę d z i a: Czy Pan podpisywałeś weksle? B r z o z o w s k i: Naogół nie, gdyż podpis mój nie miał wartości. Podpisywałem przy kupowaniu mebli na raty.

S ę d z i a: Czy w chwili wyjazdu w r. 1905 miałeś Pan długi? B r z o z o w s k i: Miałem.

S ę d z i a: Czy wystawiałeś Pan weksle za pośrednictwem p. Wegnerowicza? B r z o z o w s k i: Za pośrednictwem p. Kudłatego przyniesiono mi cztery weksle po 30 rubli, żyrowane przez jakąś małą księgarnię przy ulicy Ś-to - krzyskiej, ale ich nie zużytkowano. Dano je potem Goldringowi i Strzeleckiemu, zdaje się jednak, że z nich nie korzystano.

S ę d z i a: Poprzednio wspomniałeś Pan, że jeszcze przed ogłoszeniem „Czarnej listy“ miał wiadomości o stawianych mu zarzutach. B r z o z o w s k i: Miałem tylko wrażenie, że skutkiem dawnej sprawy stosunek do mnie się zmienił. Wnioskowałem to z milczenia Gorkiego i Łunaczarskiego, ze słów pp. Kleczyńskich, z nalegań Dawidowej, aby pisywać pod pseudonimem. O zarzutach dowiedział się dopiero z listu Bubera, który przysłał mu wycinek ze *Słowa Polskiego*.

B u b e r prosi o ustalenie daty i miejsca urodzenia Brzozowskiego. B r z o z o w s k i: Urodziłem się dnia 29 czerwca 1878 roku. Chrzczony w parafji Wojsławskiej, powiatu Chełmskiego, gub. Lubelsk.

P. F e l d m a n przedkłada list ⁷⁾ żony jego, datowany z Krakowa

⁷⁾ Listu tego niema w aktach.

5 lutego 1905 roku, i odczytuje miejsce, w którym p. Feldmanowa mówi o poznaniu tego dnia p. Brzozowskiego.

B u b e r: Czy Pan pisywał pod pseudonimami? B r z o z o w s k i: Pisywałem pod jednym: Adam Czepiel. Skonfiskowany manuskrypt był podpisany nazwiskiem, jak wszystkie artykuły naukowe i teoretyczne.

P r z e w o d n i c z ą c y: Sąd postanowił się odroczyć. Terminu następnego posiedzenia nie wyznacza. O terminie następnego posiedzenia strony zainteresowane zawiadomi.

B u b e r prosi, aby termin następnego posiedzenia wyznaczono po porozumieniu się z mężami zaufania Brzozowskiego. P r z e w o d n i c z ą c y: Sąd zgadza się na propozycję Bubera.

Stwierdzono zgodność 25.II.1909. Diamand mp., F. Kon mp., F. Perl mp., St. Żmigrodzki mp., E. Bobrowski.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z ŻYCIA ZAGRANICY

JUBILEUSZOWY ROK „TIMESA“

1

Osią powieści George'a Meredith'a o **Dianie z Rozstajnych Dróg** jest głośny incydent z epokowych chwil angielskiej historii gospodarczej, owych chwil, które otwarły stuletni blisko okres liberalizmu. Chodziło o zniesienie ceł zbożowych. Zawrzała walka w łonie Parlamentu i do białości rozżarzyły się antagonizmy wśród opinii publicznej. Nadszedł ostatecznie moment przesilenia. Sfery rządowe nie mogły wszakże zdobyć się na śmiałość i natychmiastową decyzję. Nagle w dniu 4-tym grudnia 1845, ku ogólnemu podnieceniu kraju, ukazała się w **Timesie** zapowiedź, że w dniu styczniowego otwarcia Parlamentu sama królowa zaleci w swej mowie tronowej zniesienie ceł na zboże. Trudno było kwestjonować prawdziwość podanej przez **Timesa** wiadomości; nie mógł przecież **Times** lansować plotki na koszt Majestatu. Krążyć poczęły najbardziej fantastyczne domysły na temat tego, w jaki sposób i skąd mógł ów dziennik posiadać tego rodzaju poufną i poważną informację. Najbardziej głośna była wersja, zużytkowana później przez Meredith'a jako główny motyw jego znanej powieści, a dotycząca osoby ministra Sidney Herberta, który tajemnicę tę miał zdradzić w rozmowie ze znaną podówczas w Anglii pięknoscią Karoliną Norton, a ta sprzedawała ją za bardzo poważną sumę redaktorowi **Timesa**.

Mimo, że wersja owa potwierdzenia nie znalazła pozostało faktem, że **Times** potrafił zdobyć wiadomość tak wielkiej dla kraju wagi, a publikując ją przesądzić i przyspieszyć wolę rządu w sprawie ceł zbożowych. Liczne wypadki, nietylko w dziejach wewnętrznej polityki Anglii, lecz i jej polityki zagranicznej, ilustrują przemożny wpływ **Timesa** na bieg rzeczy. Wkrótce po wybuchu wojny francusko - pruskiej w r. 1870, **Times** znalazł się w posiadaniu dokumentu, będącego projektem układu między Francją a Prusami, na mocy którego Francja miała — za zgodą Prus, a pod warunkiem pewnych koncesyj terytorjalnych na ich rzecz — przywłaszczyć sobie, drogą rekompensaty, terytorjum królestwa belgijskiego. A że neutralność Belgii była żrenicą w oku polityków angielskich, poczyniono w Londynie natychmiastowe kroki w kierunku porozumienia z Francją i Niemcami, którego wynikiem była wzajemna gwarancja nienaruszalności terytorjum belgijskiego.

Liczne wypadki ze stu pięćdziesięcioletnich dziejów **Timesa** ilustrują imponującą sprawność, dzięki której umiał on pospieszenie zdobywać i po świecie cyrkulować otrzymane informacje. Gdy w r. 1854, w pierwszym stadium wojny krymskiej, rząd angielski łącznie z rządem francuskim wysłał ultimatum do cara Mikołaja, ten ostatni otrzymał pierwszą o niem wiadomość nie ze źródła urzędowego a z łamów świeżo do Petersburga

nadesłanego *Timesa*. W nieskończoność mnożyć można przykłady wpływów, jakie zdobył sobie *Times* na bieg spraw kraju i świata, jakoteż niezwykle sprężystej organizacji jego aparatu informacyjnego.

2

Przeważająca część dzisiejszej prasy angielskiej może z dumą spoglądać na swą długą, zaszczytną tradycję. Znamieniem jej wysokiego poziomu etycznego była niezależność i niesprzedajność. W miarę, jednakowoż, jak zmieniały się czasy, zmieniał się również charakter dzienników; obniżał się ich poziom etyczny, a tem samem zanikała ich dawna godność i powaga. Znaczna część prasy angielskiej była onegdaj własnością wielkich i zamożnych rodzin, podobnie latyfundjom, które również stanowiły prywatną, z pokolenia na pokolenie dziedziczną, a w tradycję jeszcze bogatszą, własność rodzinną. Wysoko pojęta etyka i poczucie odpowiedzialności społecznej nie pozwalały dziennikom korzystać z łatwo dostępnych, lecz niegodnych źródeł dochodu. Z biegiem czasu, wszakże, duch komercjalizmu, zawładnąwszy społeczeństwem angielskiem, zawładnąć postanowił również organami jego niezależnej dotąd opinii. Rozpadać się począł dawny system, dawny system rodzinny; rodzinne koncerny prasowe ulegały stopniowemu rozkładowi, ustępując miejsca potężnym koncernom handlowym, których celem było skupienie we własnych rękach jak największej ilości organów prasy. Powstał trust Northcliffe'a i rywalizujący z nim trust Pearsona. Prasę prowincjonalną w znacznej mierze zagarnął Sir Edward Hulton, inna jej część, znowuż, znalazła się w posiadaniu trustu Berry'ego.

Redakcje dzienników utrzymują ścisły kontakt z partjami politycznymi. Żaden wszakże dziennik nie posiada oficjalnego charakteru partyjnego. Nawet najbardziej prononsowany organ opinii konserwatywnej *Morning Post*, lub też organ opinii liberalnej *Manchester Guardian*, nie mają na zewnątrz nic wspólnego z egzekutywami partji konserwatywnej, względnie liberalnej; partja może więc w każdej chwili zdementować dany artykuł, o ile ze względów taktycznych uzna to za konieczne. Koneksje między organami prasy, a daną partją polityczną są, wszakże, niewątpliwie bardzo silne; wpływowi członkowie partji bywają akcjonariuszami dziennika, jego redaktorzy i wybitni współpracownicy zasiadają w Parlamencie, jako przedstawiciele swego ugrupowania politycznego — a tem samem pełnią funkcję ideowych łączników pomiędzy partją a prasą. Jedynie partja socjalistyczna posiada swój własny reprezentatywny organ prasowy. (W ostatnich czasach, również nieliczna grupa komunistów angielskich wystąpiła na widownię polityczną ze swą własną gazetą). Jednakowoż dwie wielkie tradycyjne partje, konserwatywna i liberalna, pozostają nadal w dość luźnym stosunku do oddanej sobie prasy.

Podobnie luźne są stosunki między światem dziennikarskim a rządem. Znamieniem jest, że — w przeciwieństwie do innych krajów — Anglja nie posiada prasy półurzędowej. Łączność rządzącej większości parlamentarnej z redakcjami dzienników reprezentujących sympatyczną dla rządu opinię jest faktem niezaprzeczalnym; powiązanie dwu stron, t. j. rządu i prasy, jest wszakże niemniej luźne, aniżeli łączność, która istnieje między egzekutywą danej partji a oddanym jej organem prasowym. Wedle dość powszechnie na kontynencie europejskim przyjętego mniemania, *Times* jest dziennikiem półoficjalnym, stojącym do usług rządu. Jeśliby tak było w rzeczywistości, straciłby on zupełnie poczytność i zaufanie. Według tradycyjnych bowiem angielskich pojęć liberalnych — a w każdym Angliku, nawet konserwatyście z imienia, tkwi przynajmniej jedna kropla liberalizmu — rząd jest uosobieniem przemocy nad społeczeństwem, prasa zaś jest głosem wolności obywatelskiej, głosem krytyki albo i protestu przeciw owej przemocy. Wobec takiej mentalności, prasa półoficjalna nie mogłaby być dobrze widziana przez

opinię publiczną. Zamyka się w Anglii oczy na fakt, że dany dziennik, mimo że napozór niezależny, związany bywa z rządem tysiącem niewidzialnych nici, przebiegających od jednej strony ku drugiej, częstokroć po linii osobistych koneksyj. Tego rodzaju względną niezależnością cieszy się, wśród innych, najbardziej na szerokim świecie znany angielski organ prasowy *Times*.

3

Pod znakiem niezależności, głównie zaś materialnej niezależności od rządu, walczyły pokolenia rodziny Walterów, posiadaczy *Timesa*, od chwili jego założenia w r. 1785. Niejednokrotne usiłanie przez rząd czynione próby w kierunku pozyskania sobie *Timesa* drogą subsydjów, czy też kupna artykułów, pozostawały bez skutku. Wobec tego postanowiono go unicestwić i usunąć z widowni czytelnictwa. W tym celu zmobilizowano wszystkie siły i korzystano z wszelkich możliwych środków. Odcięto mu przedewszystkiem dostawę wiadomości zagranicznych. Głównym ich źródłem w owym czasie, nie tylko dla *Timesa*, lecz i innych dzienników, były nadsyłane do Anglii gazety obcokrajowe. Szantaż, polegający na ich zatrzymywaniu, robieniu wyciągów i sprzedaży zdobytych tą drogą wiadomości tym właśnie redakcjom, do których gazety zagraniczne prawnie należały, jako do adresatów, był zjawiskiem powszechnem. Szczególnie ostrą i bezwzględna forma szantażu ów przybrała w odniesieniu do *Timesa*; częstokroć odmawiano mu nie tylko adresowanych doń gazet, lecz nawet sprzedaży wiadomości zagranicznych. *Times* ujrzał się zagrożonym w swych podstawach; świeżość nowin z obcych krajów była przecież jednym z głównych czynników jego poczytności. Wobec tego redakcja zorganizowała dostawę wiadomości zagranicznych drogą przemytu, w dalszym zaś ciągu ustanowiła własne placówki korespondencyjne w głównych ośrodkach politycznego życia Europy; w ten sposób zapoczątkowała system korespondentów zagranicznych. Samodzielność swą, pod tym względem, tak mocno *Times* potrafił ugruntować, że po dzień dzisiejszy pozostał zupełnie niezależnym od takich agencji, jak Reuter, Dalziel i inne.

Materialna niezależność od rządu i własna, bezkonkurencyjna co do szybkości i dokładności, służba informacyjna, uczyniły *Timesa* potęgą, z którą liczone się nie tylko wewnątrz kraju, lecz i zagranicą. Rząd angielski, nie mogąc jej unicestwić, zmienił postawę i okazywać począł wobec niej uległość. Nie mógł jej ku sobie przyciągnąć, sam więc ku niej podszedł, niejako Mahomet ku górze. Nawet lord Durham, znany jako najbardziej zarozumiały człowiek na ziemiach angielskich, zmuszonym się raz poczuł (w r. 1840), jako członek gabinetu, osobiście odwiedzić redaktora *Timesa* i prosić go o przychylne ustosunkowanie się do rządowego projektu w sprawie belgijskiej. Z roku na rok rosło znaczenie *Timesa*; z roku na rok wzmagala się obawa przed jego potęgą. „*Times* wydał wyrok śmierci na obecny gabinet” — pisał minister lord John Russell w lutym 1851 r. — „i jest wszelkie prawdopodobieństwo, że wyrok ten zostanie spieszenie wykonany”. Wiedział dobrze lord John Russell, że na skutek kampanji *Timesa* godziny gabinetu były policzone. I nie mylił się: nazajutrz po jego liście rząd zakończył żywot.

Wpływy *Timesa*, poza Wielką Brytanią, zasięgiem swym objęły również sprawy imperjalne i ogólnoswiatowe. Korespondent *Timesa* w kolonji, dominjum, lub i w stolicy jakiegoś obcego państwa, odegrał niejednokrotnie ważniejszą rolę, aniżeli generał gubernator czy też ambasador rządu angielskiego; zamieszczane bowiem przezeń artykuły dochodziły nie tylko do rąk ministrów angielskich, lecz czytane były przez dyplomatów całego świata, w Anglii zaś samej komentowane stałe przez opinię publiczną — a z tą ostatnią rząd zawsze liczyć się musiał. Jednakowoż, w odróżnieniu od dziedziny polityki wewnętrznej, gdzie *Times* bardzo często ujawniał rozbieżność z polityczną linią rządu,

w zakresie spraw zagranicznych widoczna była, po największej części, dokładna koordynacja jego państwowej, imperjalnotwórczej woli z wolą sfer rządzących.

W aureoli autorytetu i niezależności przetrwał *Times* całą erę wiktoriańską. W pierwszych latach wieku XX-stego znalazł się wszakże w tak trudnym położeniu finansowym, że jedynym dlań ratunkiem było zdać się na łaskę potentata prasowego lorda Northcliffe'a; dziedzictwo kilku pokoleń rodziny Walterów przeszło w obce ręce i znalazło się w kręgu northcliffe'owskiego trustu. Przed okiem publiczności, wszakże, fakt ten został ukryty. Sam lord Northcliffe, zresztą, pragnął pozostać w cieniu, zdając sobie sprawę z tego, że niezależność *Timesa* w oczach opinii publicznej była atutem pierwszorzędnej wagi dla poczytności dziennika. Transakcję, mającą na celu kupno *Timesa*, przeprowadził on więc we mgle zupełnej tajemniczości. Późnemi wieczorami zajeżdżał na przedmieście Londynu pod prywatne mieszkanie administratora *Timesa*, M. Bella; przechodził się z nim wzdłuż wąskich, żywopłotami ogrodzonych ulic, prowadząc pertraktacje w sprawie kupna dziennika. Ostatecznie doszła do skutku umowa, wyrażająca się w sumie 320 tysięcy funtów (około 14-stu milionów złotych), bez świadków, bez aktu rejentalnego, bez jakiegokolwiek formalności piśmiennej; umowa dokonana w cztery oczy, w następstwie której lord Northcliffe, celem ratowania finansowej sytuacji dziennika, bezzwłocznie wpłacił całą przyrzeczoną sumę do Banku Angielskiego, na imię M. Bella, administratora *Timesa*. Tak wielka była potrzeba zachowania tajemnicy i tak wielkie wzajemne zaufanie pertraktujących ze sobą stron. Odtąd stał się *Times* członkiem olbrzymiego koncernu prasowego, który posiadał własną, szeroko rozgałęzioną obsługę informacyjną, własne pociągi do każdorazowej dyspozycji, a nawet własne lasy w Nowej Funlandji, dostarczające drzewa dla wyrobu papieru. Jednakowoż, z chwilą śmierci lorda Northcliffe'a (w r. 1922) praprawnuk założyciela gazety, John Walter, wykupił z rąk obcych dziedzictwo swych ojców; tak więc w dniu dzisiejszym *Times* znajduje się ponownie w posiadaniu swych dawnych właścicieli, jako niezależna i samowystarczalna jednostka prasowa.

4

Zabierając stale głos w kwestjach angielskiej polityki zagranicznej, nie pomijał *Times* również i sprawy polskiej, która w pierwszej połowie XIX-stego wieku była w Anglii bardzo aktualna. Z sympatją wielką wypowiadał się o niej zwłaszcza w okresie powstania listopadowego i zamieszczał korespondencje z placów boju. Pewną część wiadomości o Polsce i komentarzy zawdzięczał *Times* H. Reeve'owi (bliskiemu przyjacielowi Zygmunta Krasińskiego i tłumaczowi szeregu poezyj polskich na język angielski), który swego czasu proponowany był nawet na stanowisko konsula angielskiego w Krakowie, a któremu redakcja *Timesa* powierzyła później dział artykułów wstępnych. Z biegiem czasu, wszakże, *Times* radykalnie zmienił swą postawę wobec sprawy polskiej. Zdrada jego wywołała protesty nie tylko ze strony sympatyzującej z nami angielskiej opinii publicznej, lecz nawet w odległej Polsce głośnie odbiła się echem. „Najcięższa jego wina” — pisał *Przegląd Poznański* (rok 1848, tom VII) — „leży w pogardliwej lekkomyślności, z jaką niezmiennie występuje przeciwko obcym, osobliwie uciemnionym narodowościom. Już i tak w charakterze angielskim zanadto jest wyłączności, odrębności i zrozumienia. Zdałoby się, że dziennik, tak przeważny wpływ mający, powinienby zaradzając tej przywarze narodowej zbliżać, łączyć i posuwać naprzód dzieło braterstwa ludów. Przeciwnie, on jeszcze szerszym ten przedział robi. Z ukrycia swego odsądza całe narody od godności, od prawa, od swobód, potępia je na śmierć, niby wyroki historii wypowiadając. Jeśli kiedy jakie zdrowe rady daje, to z taką dumą, taką cierpkością, że nigdy zbawionego wpływu wyrzucić nie zdołają. Gdzieś łzy i krew za świętą sprawę wolności

strumieniami się leją, a tu ukryty dziennikarz, najczęściej położenia nie rozumiejący, dla frazesu, dla konceptu, dla wyszukanej cytacji lub porównania w śmiech wszystko obraca... Jakże przed takim sędzią mogła się uchować nasza sprawa? Wprawdzie zwał on powstanie nasze z r. 1831 wojną świętą. Później słabł coraz bardziej. Jeśli czasem jeszcze przemówił za nami, to więcej przez nienawiść ku Rosji, niż miłość dla Polski... Na odgłos wybuchu w Berlinie i Wiedniu **Times** pierwszy wspomniał o Polsce, ale też znowu on pierwszy dał hasło do potwarzy, do napadu na naszą sprawę. Wszystkie jego listy z zagranicy odrazu poczęły bić na Polaków, jako na pobudźcicieli do wszystkich zbrodni, rozbojów, niesnasek... Do połowy kwietnia **Times** miał zupełnie wolne pole dla swych obelg i oszczerczych twierdzeń. Nikt nie przeczył, bo tylko można było mieć moralną pewność, że tak nie jest. Dokumentów na zabicie nie było. Wszedł nareszcie komitet poznański w stosunki z Anglią. Przybyły objaśnienia i akta urzędowe. Inne też dzienniki zaczęły przeglądać i domyslać się zrecznie ukartowanego spisku. Osobliwie **Daily News** odznaczył się artykułami pełnymi świadomości rzeczy i zapалу dla naszej sprawy. Umieszczał codziennie listy z Poznania. Naprzeciw nieuzasadnionych twierdzeń **Timesa** stawiał dokumenta, urzędowe zeznania. Dziennik **Sun**, choć mniej gruntownie objaśniany, równą odznaczał się ku nam przychylnością. **Morning Chronicle** drukował dokumenta, sprostowania, choć wbrew przeciwnym listom swego korespondenta z Berlina. **Globe**, zrazu fałszywie patrzący na tok wypadków, nagrodził to później przez szlachetne przyznanie się do błędów. Obwieszczał nader ciekawe listy, pisane przez jakąś Angielkę w Poznaniu zamieszkałą. **Herald** ogłaszał korespondencję drugiej Angielki z arcybiskupem protestanckim dublińskim. Zgoła, z jednym głównym wyjątkiem, całe piśmiennictwo dziennikarskie za nami się ujęło. Daleko jednak było do zupełnego zwycięstwa, bo **Timesa** wszyscy czytają, i ten nawet co nie podziela z nim wyobrażeń wierzy w dokładność jego wiadomości". Najsmutniejszy był fakt, że nawet Henry Reeve, gorący przyjaciel nie tylko Krasińskiego, lecz i całej Polski, mimo wybitnego stanowiska, jakie zajmował w redakcji, nagiął się do linii jaką jego dziennik poszedł odnośnie do spraw polityki zagranicznej, i nie użył swych szerokich wpływów w tym kierunku, by przeciwdziałać kampanji **Timesa** przeciw Polsce.

W miarę jak sprawa polska szła na ziemiach angielskich w powolne zapomnienie, zapomniał o niej również i **Times**. Gdy po wojnie światowej Polska ponownie wypłynęła na widownię polityczną Europy, **Times** ustosunkował się do niej w sposób rzeczowy, lecz raczej obojętny.

5

W obecnej chwili jubileuszowej otrzymała redakcja **Timesa** pismo z kancelarii królewskiej, zawierające gratulacje i życzenia dalszej pomyślności, z podkreśleniem „wyjątkowej pozycji, jaką **Times** zajął w życiu Narodu“. Przesadny i zbyt autorytatywny wydać się może ton jakiego **Times** używa, ilekroć mówi o sprawach narodu angielskiego. Przesadny również wydać się może okazywany mu przez opinię publiczną szacunek. Jeśli jednak wziąć do rąk **Punch'a**, reprezentatywny organ humoru angielskiego, aby przeciwstawić go namaszczeniu i powadze **Timesa** w jego enuncjacjach o sprawach narodu; jeśli ujrzyć **Timesa** załamanego w zwiercadle humoru; jeśli, patrząc nań przez szkła **Punch'a**, traktować jego zakapturzony personel redakcyjny, jako „ludzi, którzy noc w noc ratują naród od katastrofy, którzy stabilizują franka, pacyfikują Indje, reorganizują Chiny, ożywiają handel stałą, lub dają prztyczka w nos Stanom Zjednoczonym“—wówczas odnaleźć można właściwą proporcję i wyznaczyć **Timesowi** należyte miejsce między krańcowościami powagi i humoru.

T. Grzebieniowski.

S Z T U K A

SZESNAŚCIE LAT POLSKIEJ ARCHITEKTURY

Odbudowa państwa zrodziła odruchową dążność ku pewnym tradycjom i formom przedrozbiorowym, oraz chęć przedłużania dawnych szlaków — przy jednoczesnem pomijaniu w miarę możliwości lat niewoli. Ujawniło się to chociażby w przystosowaniu tradycyjnych nazw i tytułów, jak wojewoda, starosta, marszałek sejmu i t. p., do nowych urzędów, mających z dawnymi bardzo wątpliwą łączność i wspólność. Podobna tendencja nawiązywania do tradycji przedrozbiorowej musiała zaznaczyć się również w architekturze, tem silniej, iż bankructwo eklektyzmu i nieudane próby secesji wskazywały już przed wojną na potrzebę szukania oparcia w ostatniej epoce przedrozbiorowej.

Podkreślenie cech odrębności narodowej znalazło po raz pierwszy swój konkretny wyraz już na wystawie architektury w Krakowie w r. 1912, gdzie odżyła polska tradycja budownictwa wiejskiego i małomiasteczkowego, w szczególności zaś późnobarokowe i klasycystyczne kształty dworu. Wystawa architektury polskiej w Krakowie w r. 1912 może być też uważana za datę narodzin nowego kierunku, który dotychczas nie ma nazwy, a który możnaby nazwać tradycjonalizmem. Kierunek ten miał dla rozwoju architektury polskiej dość duże znaczenie, nie opierał się on bowiem na suchem, szkolnem powtarzaniu zamarych form, lecz wymagał wnikliwości, wyczucia odmian prowincjonalnych i lokalnych, zrozumienia materiału budowlanego, a nawet pewnych barbaryzmów, które z tych czy innych względów uważano za specyficznie polskie i godne naśladowania. Charakterystyczną cechą tego kierunku było szukanie tematów na wsi i w miasteczku, dzięki czemu urządzano i opracowywano budynki, pozostające od lat kilkudziesięciu poza kręgiem zainteresowań architektów. Głębsze wnikięcie w architekturę, odbiegającą od akademizmu, wzmogło znakomicie rozwijający się wówczas ruch konserwatorski i przyczyniło się do wykształcenia szeregu architektów-konserwatorów, operujących nietylko ścisłą metodą, lecz posiadających sentyment do zabytków.

Wszystkie te zalety były jednak natury dydaktycznej. Zwycięstwo kierunku tradycjonalistycznego odbiło się echem w „Odezwie architektów - Polaków do narodu“, ogłoszonej w początkach wojny w r. 1914. Odezwa ta świadczyła o poczuciu odpowiedzialności architektów w stosunku do sztuki i do historii, z chwilą zarysowania się możliwości politycznej odbudowy państwa. Ruch teoretyczny, powodowany zresztą przymusową bezczynnością i oczekiwaniem na odbudowę zniszczonego kraju, był ogromny, głównie w Warszawie i Krakowie. Komunikaty Kół Architektów w sprawie odbudowy wsi, broszury popularne Stefana Szyllera, wydawnictwo takie jak: *Wieś i miasteczko*, *Projekty budynków szkół ludowych*, *Odbudowa wsi polskiej*, *Odbudowa polskiego miasteczka*, nadto liczne kursy odbudowy i budownictwa wsi

i miasteczek, Sekcja Budowlana Centralnej Komisji Obywatelskiej, Komisja Odbudowy Kraju przy Tymczasowej Radzie Stanu, Wydział Budownictwa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, wreszcie Departament Budowlany w Ministerstwie Robót Publicznych, dążyły stale i zgodnie do stworzenia architektury o wyraźnym tradycyjnym polskim typie. Jeżeli dla budownictwa wiejskiego i małomiasteczkowego szukano oparcia przeważnie w budynkach barokowych, to punktem zaczepienia dla nowej architektury monumentalnej stał się klasycyzm Stanisława Augusta, a bardziej jeszcze klasycyzm Królestwa Kongresowego. Kierunek ten był już wytknięty przed odbudową i przed wojną, gdyż zarówno w Niemczech jak i w Rosji, to jest w krajach wychowujących największy kontyngent naszych architektów czołowych, osiągnięto poważne i dodatnie rezultaty w nawiązywaniu do klasycyzmu, który w Polsce posiadał nadto aureolę ostatniego stylu przedrozbiorowego. Istotnie, szereg gmachów wystawionych w Warszawie na krótko przed wojną, jak Biblioteka Publiczna (Jan Heurich 1913), Biblioteka Kasińskich (Henryk Gay i Juljusz Nagórski, 1914), Teatr Polski (Czesław Przybylski, 1913), oraz szereg powojennych gmachów państwowych, jak naprz. gmach P. K. O. w Warszawie (Józef Handzelewicz), P. K. O. w Krakowie (A. Szyszko-Bohusz), Kasa Skarbowa w Krakowie (Adam Krzyżanowski), dom urzędników P. K. O. przy ul. Bugaj w Warszawie (Marjan Lalewicz), przebudowa Głównej Poczty we Lwowie, oraz szereg gmachów w miastach prowincjonalnych, trzymały się klasycyzmu, zerkając tu i owdzie w stronę schyłkowego lub uproszczonego baroku.

Tradycjonalizm polski można podzielić na dwa odłamy: wiejsko-małomiasteczkowy i monumentalno-wielkomiejski. Oba te odłamy szybko wyjałowiały. Początkowa dążność do stworzenia czegoś nowego, lecz zasadniczo wysnutego z tradycji, ustąpiła z chwilą wzmożonej odbudowy zwyczajnemu naśladownictwu. Budownictwo, dające się wciągnąć w zakres typów małomiasteczkowych i wiejskich, jak kolonje mieszkaniowe, szkoły powszechne, domy ludowe, wille podmiejskie, a nawet mniejsze dworce kolejowe, zaczęło naśladować dawne dworki, zajazdy, plebanje, ratusze i bóżnice, starając się imitować naiwność, bezpośredniość i prowincjonalizm. Na obronę tej architektury można powiedzieć, że wypływała ona z mniej lub więcej szczerzego sentymentu.

Lecz sentyment, jak wiadomo, nie jest epoką. Sentyment minął, pozostała maskarada. Powtórzyło się tu prawie dokładnie to samo, co przeżywał wiek XIX w swoich licznych próbach odrodzenia stylów historycznych. Neo-barokowy „tradycjonalistyczny” kościół czy dworek miał tylko tę jedną wyższość nad neo-gotyckim kościołem czy pałacem wieku XIX, że opierał się na przykładach rodzimych, gdy tamte szukały wzorów we Francji i Anglii. Podłożem tradycjonalizmu była retrospekcja, ideałem — polskość. Najgłębszym i najdoskonalszym wyrazicielem tego kierunku nie stał się jednak żaden z architektów budujących, lecz architekt-poeta — Stanisław Noakowski. W Noakowskim odbił się istotny duch tradycjonalizmu, podniesiony do poetyckiej syntezy. Rysunki i akwarele tego niezwykłego w swoim rodzaju artysty oddawały najdrobniejsze a zarazem najistotniejsze cechy i odcienie polskiej architektury wieków minionych. Album jego daje historję polskiej architektury, odczutej z całą wnikliwością romantyka i impresjonisty.

Lecz architektura Noakowskiego była nierzeczywista, ponieważ była poezją. Nikt też, nie wyłączając autora, nie śmiał i nie mógł jej realizować. Realizowano więc wzory retrospektywne, mniej lub więcej zręcznie kompilowane, co niebawem doprowadziło do pomieszania pojęć. Rozrzutność w stosowaniu attyk, skarp, dachów łamanych, mansard i podcieni zagłuszyła myśl twórczą, pograżając wszelki postęp w odmęcie zewnętrznych cech patentowanej polskości. Zjawily się też niebawem nonsensy, jakich powstydzilby się nawet eklektyzm zeszłego stulecia. Skarpa, przystawiona byle gdzie, urosła do atrybutu polskości; mansarda, renesansowa attyka, łamany dach, podcień, kolumnowy ganek,

zyskały prawo obywatelstwa nawet w budynkach kolejowych. Szkoły nabrały wyglądu dworów, dworce kolejowe zapożyczyły motywy z ratusza i bóżnicy. a przystanie wioślarskie — z oberży. Tradycjonalizm form pociągnął za sobą konserwatyzm a nawet reakcję w stosunku do techniki budowlanej. Architekt, który stawiał w mieście domy żelazobetonowe z wszelkimi udogodnieniami technicznymi, biadał jednocześnie, że chłop poszukuje nowych materiałów, że tu i owdzie buduje z pustaków, że kryje dach eternitem i że wogóle zbliża się do miasta. Był to romantyzm gatunku muzealnego, jałowy sentymentalizm żądający, aby wieś i miasteczko zachowały kształt i materiał odwieczny, chociaż niepraktyczny i z formami życia współczesnego niezgodny. Jeżeli wieś polska odbudowała się po wojnie z drzewa, to tylko dlatego, że materiał ten był jedynie dostępny, oraz że nie wymagał żadnej fachowej pomocy, gdyż każdy chłop polski jest potrosze cieślą. Tradycyjny sposób odbudowy wsi był zatem wynikiem powojennych warunków, nie odpowiadał jednak ani społecznym ani technicznym potrzebom. Architekci, propagujący tradycję za wszelką cenę, zapomnieli, że walkę z budownictwem drewnianem rozpoczął już Kazimierz Wielki. Frycz Modrzewski pisał: „mało nie wszystkie wsi w koło wygorywują, a zaś znowu je budują“. Na budownictwo drewniane skarży się w w. XVII autor „Królowej nauki budowania według zwyczaju i nieba polskiego“, a Komisja Boni Ordinis stara się wypłenić drzewo ze wszystkich miast Korony i Litwy. Ks. Piotr Świtkowski w pracy swojej *O budowaniu w i e j s k i e m* (1778) propaguje dachówkę. Towarz. Przyjaciół Nauk ogłasza w r. 1818 konkurs na „najtrwalszy i od ognia ubezpieczony dom włościański“, a w sto lat później architekci polscy nawołują do powrotu pod strzechę! Był to romantyzm, dający się porównać z protestem Ruskina, który z nienawiści do lokomotywy podróżował pieszo. Tradycjonalizm, sięgający aż do reakcji, nie wnosił oczywiście żadnych pierwiastków twórczych i wydał sam na siebie wyrok.

Znacznie lepiej, lub powiedzmy: racjonalniej, przedstawiała się sprawa budownictwa monumentalnego. Ten gatunek architektury, ciężący z największą łatwością do klasycyzmu, pozostawił w Polsce, a w szczególności w Warszawie, szereg wzorowych gmachów z okresu Królestwa Kongresowego, oraz z czasu Stanisława Augusta. Architektura monumentalna miała przed odrodzeniem państwowości bardzo małe widoki rozwoju. Nieliczne gmachy tego typu, stawiane przez rządy zaborcze, projektowane były przez Niemców w Poznaniu (Teatr Wielki, Muzeum Wielkopolskie, zamek, gmach Komisji Kolonizacyjnej) lub też przez Rosjan w Warszawie (B. Bank Państwa w Warszawie). Architektom polskim pozostawały, poza domami czynszowemi, nieliczne gmachy bankowe, domy twardowe i teatry. Na tem polu osiągnięto w okresie lat 1912 — 1914 bardzo poważne rezultaty.

Ruch budowlany po odrodzeniu państwa przejawiał się silnie w budownictwie gmachów użyteczności publicznej, którym starano się nadać wyraz oficjalny, uświęcony tradycją, ustalony i wolny od eksperymentów. Takie stanowisko zajmowała początkowo komisja międzyministerjalna, zatwierdzająca projekty w Ministerstwie Robót Publicznych, skąd wypływała zachęta do tradycjonalizmu akademickiego, pomimo że już przed wojną były poważne próby architektury nowoczesnej, „funkcjonalnej“. Tradycjonalizm utknął szybko na martwym punkcie. Nie wytrzymując konkurencji racjonalizmu, zamarł niestawnie. Okazało się raz jeszcze, że w architekturze jak w życiu niema powrotu, a odmładzanie starców jest, w gruncie rzeczy, straconym zabiegiem.

Jak tyle razy w wiekach ubiegłych, nowy kierunek przyszedł z Zachodu. Holandia, neutralna w czasie wojny, zasobna i znakomicie prosperująca, zajęła się pierwsza rozwiązywaniem kwestji mieszkaniowej. Kraj ten, zrównoważony, spokojny i daleki od wszelkich rewolucyjnych przewrotów, dokonał jednak rewolucji w budownictwie mieszkaniowym, które było zresztą od wieków silną stroną architektury holenderskiej, zawsze par

excellence mieszczańskiej, i bodaj z pośród całej architektury europejskiej, najmniej zależnej od renesansowo-pałacowego akademizmu. W Holandji, ściślej mówiąc w Rotterdamie, zrodził się kierunek w założeniach swoich bliższy tradycji średniowieczno-mieszczańskiej, niż renesansowo-pałacowej, a przeto wrogi rozwiązaniom akademickim. Praktyczność domu holenderskiego, oszczędność materiału, wygoda rozplanowania stanowiła znakomitą podstawę dla nowej twórczości architektonicznej. Na tej poniekąd tradycyjnej podstawie powstały formy ścisłe, obliczone, uwzględniające nową technikę budowlaną. Można nie godzić się z koncepcją „domu-maszyny“, lecz nie można przeciwstawić nic twierdzeniu, że w epoce fantastycznych postępów i przewrotów technicznych, w okresie głęboko sięgających zmian społecznych, przewartościowywania wartości, obumierania starych i narodzin nowych obyczajów, jedynie tylko budownictwo pozostawało do niedawna w formie i treści wsteczne i strupieszale. Jako dowód wpływu fascynującej dialektyki Le Corbusiera może służyć wyznanie wiary Lecha Niemcewskiego w przedmowie do książki *Wnętrza architektoniczne pałaców Stanisława Wyspiańskiego* (Warszawa, 1927). Autor pisze: po przeczytaniu Le Corbusiera „przypomniałem sobie, że przecież cały mój entuzjizm dla przeszłości skupiał się w dążeniu do zgromadzenia jaknajwiększej ilości owych piórek, nietyłe na kapeluszu, co w czterech ścianach wnętrza architektonicznego. Ciągłe stykanie się ze starożytnościami dawało mi aż nadto dowodów, że wprowadzają one do życia istotnie snobizm, a co gorsza obłudę nierzadkich falsyfikatów. Książka moja mogła się więc stać prosto podręcznikiem dla podrabiaczy i wtedy, rozmyślając nad tem, sam nie wiedziałem co począć“. „W Rzymie, na Forum Romanum uprzytomniłem sobie, że drogi wiodącej od Łuku Tytusa niepodobna przebyć w odwrotnym kierunku“. Nietylko treść przedmowy, lecz sama potrzeba wytłumaczenia się z napisania pracy historyczno-architektonicznej jest niezmiernie charakterystyczna, ujawnia bowiem stanowisko nietylko autora, lecz zarazem całego niemal pokolenia młodych architektów. Co więcej, do architektury nowoczesnej przeszli architekci, którzy przed laty piętnastu byli współtwórcami kierunku tradycjonalistycznego. Nie jest to oczywiście zdrada sztandaru, lecz zejście z drogi, która okazała się impasem. Zarzut, iż poniechali architekturę „narodową“ dla „międzynarodowej“ byłby niesłuszny i naiwny, a spotkałby musiał również dawnych mistrzów, którzy wprowadzili do Polski wszystkie style od romańskiego aż do klasycyzmu. Każdy wielki styl był międzynarodowy, to znaczy posiadał wartości obiektywne, miarodajne dla wszystkich narodów, przynajmniej w zasięgu kultury europejskiej. Jeżeli mimo to zyskiwał wyraz odrębny i narodowy, to nie dzięki wyrozumowanemu pasorzytowaniu na przeszłości, lecz skutkiem działania owego nieuchwytnego a jednak rzeczywistego *genius loci*, który wbrew starannemu naśladowaniu obcych wzorów przemawia w twórczości każdego żywego narodu. I dziś, pomimo (zdawałoby się) najzupełniejszej międzynarodowości modernizmu, nietrudno jest odróżnić budowlę francuską od holenderskiej, a holenderską od amerykańskiej.

Modernizm, jak każda zresztą nazwa stylu, jest rzeczą wielomówną i rozciąglą. Określenie pozytywne jest tu znacznie trudniejsze niż negatywne, tembardziej, że styl ten nie jest jeszcze ostatecznie skryształizowany. Negatywnie można określić modernizm jako kierunek zrywający bezapelacyjnie z historyzmem, pozytywnie zaś jako konstruktywizm, racjonalizm, lub to, co Niemcy nazywają obecnie „nową rzeczowością“ (*die neue Sachlichkeit*), co jednak nie wyczerpuje zagadnienia, gdyż nazwę konstruktywizm i racjonalizm możnaby z powodzeniem stosować do gotyku lub do przedwojennego funkcjonalizmu, a „die neue Sachlichkeit“ określa równie mało, jak francuski termin „l'avant-garde“. Poprzestaję zatem na określeniu negatywnem. Modernizm jest zaprzeczeniem historyzmu i akademizmu w rzutach, w kształcie i w konstrukcji. Ponieważ wyrosliśmy już z bezpod-

stawnych przekonani, że sam materiał rodzi formę, a twierdzimy raczej przeciwnie, że wola formy wyzyskuje i nagina materiał (za czem przemawia zresztą historia stylów), nie spoglądamy na modernizm jako na wynik samej techniki, lecz jako na współzrzedne zespolenie nowego kształtu z nową techniką. Słusznie mówi H. Taine, że kierunki w malarstwie i literaturze zmieniają się bardzo często, lecz żeby zmienił się styl, trzeba na to zmiany poglądu na świat. Modernizm, w swych zasadniczych przejawach, nie jest modą, jest raczej rewolucją w architekturze, sięgającą do trzewi tej sztuki, być może niemniejszą, niż było ongiś przejście z gotyku do renesansu.

Architektura jest najbardziej społeczną ze wszystkich sztuk. Otacza nas od kolebki do grobowca, jest materialistyczna w swych składnikach budowlano-praktycznych i abstrakcyjna w składnikach formalnych. Dlatego rację ma Le Corbusier w zdaniu: „la construction c'est pour faire tenir, l'architecture c'est pour emouvoir”. Architektura nowoczesna wychodzi ze słusznych i zdrowych założeń. Odrzuca tradycje renesansowego pałacu, którym żyła burżuazja XIX w. Można powiedzieć że rewolucja francuska (dojście do władzy mieszczaństwa) nie wyzwoliła architektury z pod uroku epoki arystokratycznej — i, że dopiero obecnie rodzi się styl demokratyczno-społeczny. Dotychczas mieszczaństwo naśladowało w architekturze i w obyczajowości epokę zamarłą. Stąd imitacja stylów, gipsowe rzeźby, odlewy, sztukaterje i fałszywe antyki. To wszystko już się skończyło. Dom nowoczesny bliższy jest domowi pompejańskiemu, niż tradycji renesansowej, albowiem uwzględnia w pierwszym rzędzie mieszkalność, wygodę, celową rzeczowość, a pomija ostentację, dworskość i blichtr. Dom pompejański, prosty, lekko budowany, oszczędny w użyciu materiału, wygodny, o niewielkich kształtnych wnętrzach, stiukowych ścianach i płaskich dachach, bliższy jest nam stokrotnie niż pałac renesansowy, który jest tylko zabytkiem architektury i muzealnym wnętrzem. Dzisiaj musimy budować szybko, tanio i celowo. Przynagla nas do tego gwałtowny wzrost ludności w miastach. Kryzys mieszkaniowy, odczuwany już przed wojną, urasta obecnie do klęski, do najważniejszego zagadnienia społecznego. Stąd konieczność uprzemysłowienia budowania, standaryzacja i seryjność. Uprzemysłowienia nie można jednak uważać za postęp w architekturze; jest to tylko postęp w produkcji. Dom seryjny nie jest lepszą architekturą, tak jak samochód seryjny nie jest najlepszym samochodem. Zaletą nowej architektury nie jest technika, lecz konsekwencje formalne, uzyskane w wyniku stosowania nowej techniki i nowej statyki, która mało ma wspólnego ze statyką „klasyczną”. Technika nowoczesna nie nakłada prawie żadnych więzów ani w planie ani w fasadzie. „Niemożliwe” staje się możliwym, o ile jest konstrukcyjnie uzasadnione. Otwierają się możliwości prawie nieograniczone. Pozostawanie w ramach tradycyjnych byłoby nieszczerością i fałszem. Uznajemy tylko kształt prosty, geometryczny oraz ten niezbędny przyodziewek, który szkielet ubiera w ciało. Łatwo tu oczywiście o przesadę surowości, o purytyzizm sześciennej i płaszczyznowych kombinacji, które są w znacznej mierze reakcją przeciw indywidualistyczno-romantycznym przestępstwom eklektyzmu. Zasady modernizmu są racjonalne, logiczne i odpowiadają duchowi czasu. Zależność polskiego modernizmu od Zachodu nie będzie prawdopodobnie większa, niż była ongiś zależność gotyku lub baroku, a jeżeli wytworzyły się polskie odmienne cechy tych stylów, to zapewne tą samą drogą pójdzie rozwój polskiego modernizmu. Zważywszy, że ani maszynizm ani abstrakcjonizm nie odpowiada polskiemu charakterowi, sądzić można, że dalszy rozwój pójdzie swoją drogą w myśl zdania J. J. P. Oud'a: „schylam głowę przed techniką, lecz nie wierzę, aby okręt wytrzymał porównanie z Partenonem”.

Alfred Lauterbach

WYSTAWY W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI

(Z. Stryjeńska, R. Malczewski, E. i M. Seidenbeutlowie, A. Jędrzejewski i „Łoża wolnomalarska“).

O sztuce Stryjeńskiej pisano wiele, może nie zawiele — ale najczęściej nie trafnie, fałszywie, przypisując tej znakomitej ilustratorce zalety, których w jej sztuce niema, albo grzechy, których ona tam nie popełniła. Szczególnie obficie wypisywał się na ów temat p. Warchałowski, a wynurzenia o sztuce tego doradcy artystycznego M. S. Z. mogą być klasycznym przykładem fałszywego zgoła stosunku do malarstwa i braku zrozumienia bogatej tradycji w tej dziedzinie, co u nas wśród jednostek, które z racji zajmowanego stanowiska powinny mieć coś w tej materji do powiedzenia, nie należy niestety do wyjątków.

Stryjeńska malarką we właściwym tego słowa znaczeniu nie jest, nie interesują ją zresztą te problemy, które w zwykłym trybie rzeczy stanowią istotne podstawy malarstwa stalugowego. Ani jej faktura, ani jej materia malarska nie układają się w jakości wyższego rzędu, dąży ona bowiem do stylizacji formy i barwy i do dekoracyjnego wypełnienia przestrzeni, poza tem zaś — do wyrażenia pewnej treści, której nadaje swoistą rytmikę i ogólny sens kompozycyjny. Dzięki kapitalnemu wprost podejściu do minionej tradycji lechickiej, wskrzesza ta świetna ilustratorka postacie nawpół fantastyczne, nawpół prawdziwe, jakgdyby zrodzone z dawnych legend i pieśni, a wskazówkę dla niej na tej drodze daje sztuka ludowa z krakowskiego i z Podhala i gruntowna znajomość duchowego podłoża, z którego te prymitywne formy wyrosły. Stryjeńska w swym rodzaju dekoratywnej ilustracji zbliża się poniekąd do sztuki sławnych dekoratorów rosyjskich (Bakst, Sudiejkin, Benois, Łarionow, Gonczarowa), której egzotyzm i bogactwo koloru zdobyły w swoim czasie Paryż, ale powinowactwo to — zresztą relatywne pod względem formy i kompozycji — dotyczy może raczej założeń ideowych, aniżeli artystycznych o analogicznej postawie duchowej. W I. P. S. wystawiła Stryjeńska szereg kompozycji temperowych, mogących z powodzeniem ozdabiać wnętrza niektórych gmachów publicznych jako dekoracja ścienna, tudzież szkice akwarelowe kostjumów do baletów ludowych.

Rafał Malczewski sam może nawet o tem nie wie, jak dalece przysłużył się swą twórczością literatom, których nielitościwa Muza odkomenderowała przygodnie do pisanja o sztuce. Znalazłszy się raptem w obcej sobie sferze, literaci owi święcą prawdziwą orgję masowego „wypisywania się“ na przeróżne tematy, które zdaniem ich mają jakiś związek przyczynowy ze sztuką Malczewskiego: jak to on sobie kombinuje te swoje krajobrazy, ile (procentowo) uczucia w nie wkłada, ile swojskiego sentymentu etc. Inni znów. zawodowi „krytykonii“, ulegając przeróżnym sugestjom (nie z malarskiego bynajmniej świata), wiążą tego artystę ze sztuką młodszego pokolenia Niemiec, a to z racji podejścia Malczewskiego do formy, kompozycji i treści plastycznej obrazu. Ta ostatnia teza, nie pozbawiona może pewnej racji, dała znowu asumpt krytykom do rozwodzenia się nad „nordyckością“ sztuki Malczewskiego; wszystko to razem wzięwszy, wytworzyło dookoła jego malarstwa jakąś legendę, gdzie artysta, stając się benjaminkiem krytyki, stał się także niebawem oczkiem w głowie przeróżnych snobów i rozegzaltowanych pańien na wydaniu.

Ta okoliczność, że Rafałowi Malczewskiemu poświęcam większą część niniejszego sprawozdania z okazji jego wystawy p. n. „Czarny Śląsk“ w I. P. S., dowodzi tylko, jak trudno przychodzi nam uwolnić się od tych przeróżnych sugestyj, jakie u nas wciąż się nad sztuką zawieszają, a chociaż zawsze byłem do malarstwa tego artysty nastawiony raczej negatywnie — przyznaję, że pierwszy okres jego twórczości z lat mniej więcej

1925 — 1932 nie przeszedł u mnie bez wrażenia, jakkolwiek sztuka ta budziła wówczas rozliczne zastrzeżenia, a nawet całkowicie uzasadnione sprzeciwy. Obecnie czas najwyższy skończyć z tą legendą o talencie „z Bożej łaski“ malarza, którego dyletantyzm, nie oparty o żadne poważniejsze studia malarskie, przy fałszywej z gruntu orientacji plastycznej, wydał dotąd tylko dzieła połowiczne, a jeżeli weźmiemy pod uwagę obecną wystawę w I. P. S. — poprostu całkowicie chybione.

Malczewski może olśnić swą powierzchowną egzaltacją tylko umysły słabo reagujące na prawdziwe malarstwo. Jego kolor jest wprawdzie żywy, soczysty — ale nie ma żadnej w sobie treści, nie ma ciężaru, jest surowy, często drażniący i nie opiera się prawie wcale na sąsiedztwie barw dopełniających. Artysta nie dochodzi tajemnicy kontrastów barwnych, ani modulacji tychże. Nie widać u niego chęci głowienia się nad opozycją tonów i współdzźwięków kolorystycznych, ani przejść tonalnych. Nie ma ów kolor u niego poprostu żadnej racji uzasadniającej jego obecność w malowidle — nie mówiąc już o równowadze barw zimnych i ciepłych i o walorach, które w obrazach Malczewskiego postawione są prawie zawsze bez żadnej idei malarskiej, po dyletancku.

Malczewski nie orientuje się w tej prostej prawdzie, że świadoma stylizacja formy w malarstwie jest jednym z najniebezpieczniejszych pól i ćwierćśrodków których w malarstwie należy się strzec jak ognia wiekuistego. Tradycyjne nieporozumienie w naszej sztuce: dekoracyjność układu, powierzchowna i upiększona, niweczy tu wszelkie możliwości formalne. O tę opokę rozbija się polskie malarstwo, jak barka pozbawiona steru i wydana na pastwę chimerycznego kaprysu żywiołu. Sterem tym byłaby jakaś głębsza tradycja malarska — bodaj obca, bodaj daleka, ale w każdym razie tradycja. Samo poczucie dekoracyjne tu nie wystarcza. Nie chodzi tu nawet o fakturę. Przez wzbogacenie faktury zdawało się Malczewskiemu, że podbije ową część nieufnej i nieprzejednanej krytyki, która mu pod tym względem robiła zarzuty. Wielcy mistrzowie, a nawet nie najwięksi, udychawiali materiał — stworzyli materię malarską nową, indywidualną, gdzie każda plama barwna w stosunku do innej, sąsiadującej z nią plamy miała pewną organiczność ustrojową, pewną konsystencję wypływającą z poczucia ogólnej spójności barwnej malowidła. Kolorowość obrazów Malczewskiego wyłamuje się z tego odwiecznego prawa, nie dając wzamian nic — usiłuje narzucić widzowi swą nieskoordynowaną i po malarsku nieuzasadnioną jaskrawość barw czystych, robiących wrażenie niepokoju, przy tępej i bezdusznej materji malarskiej.

Jaśniejszym akcentem na wystawie jest jeden, jedyny obraz p. t. „Śląsk“, gdzie zasady harmonji kolorów nie zostały przez artystę naruszone. W każdym bądź co bądź razie, pierwsza faza malarstwa Malczewskiego z przed kilku lat wydała pewną ilość obrazów, z którymi, mimo poważnych zastrzeżeń, można się było ostatecznie pogodzić. Wystawa obecna demaskuje całkowicie kruche podstawy tego malarstwa, gdzie ów sam przeceniony przez artystę stan napięcia uczuciowego w obliczu widzialnego świata nie może w żaden sposób zastąpić rzetelnej malarskiej wiedzy, znajomości muzeów i materiału. Nie opierając swej sztuki na wartościach dawnych, nie możemy stworzyć nowych. Byłoby to wystawianiem czeku bez pokrycia.

Mam wrażenie, iż obaj bracia E. i M. Seidenbeutlowie są w swem malarstwie na dobrej drodze. Nie głowią się jeszcze wprawdzie nad rozwiązywaniem jakichś specjalnych problemów malarskich, ale dają w swych pejzażach, martwych naturach i studjach portretowych kolory szarmonizowane, nieco jednak rozbielone, bez silniejszych akcentów i przeciwstawień. Razi czasami tutaj zbyt banalność treści plastycznej, tuzinkowość formy i brak szacunku dla materiału — tu i ówdzie jednak widać zadatki poważniejszego traktowania powierzchni malowidła i pewnej kontemplacji w obliczu niektórych

zagadnień kolorystycznych. Jednym słowem — droga właściwa, tylko środki narazie nie wystarczają.

Al. Jędrzejewski zawiódł całkowicie. Dając często na „salonach“ I. P. S. malowidła mocne, dobrze skomponowane w kolorze i formie — tym razem nie wysilił się zbyt, mimo iż w sztuce jego pewien potencjał malarski i intuicja kolorystyczna widoczne są jak na dłoni. Nie należy młodych i niedoświadczonych malarzy pasować od razu na genjuszów!

Ostatnia ta uwaga dotyczy również członków „Łoży wolno-malarskiej“, grupy wywodzącej się ideowo z kursu malarskiego prof. Pruszkowskiego. Jedynym może wystawcą zasługującym na nazwę malarza byłby tu K. Zielenkiewicz, który, porajac się na swój sposób z zagadnieniami koloru, w kilku swych kompozycjach może nawet zafrapować widza. Pietkiewiczowej portret ś. p. Marszałka Piłsudskiego nie wytrzymuje nawet prymitywnej krytyki, zaś B. Linke, jakkolwiek w treści swych „technik mieszanych“ może zainteresować naszych domorosłych pacyfistów (któż z intelektualistów nie jest pacyfistą?), z malarstwem stalugowem nie ma bynajmniej nic wspólnego; jako grafika, należałoby go podporządkować jakiejś dyscyplinie w budowie formy, gdzie wyrażona po literacku życiowa treść utworu znalazłaby w treści plastycznej kompozycji swój artystyczny odpowiednik.

Przestańmy wkońcu fabrykować młodocianych genjuszów, a I. P. S. powinien w przyszłości poważniej zastanowić się nad poziomem wystaw zbiorowych w swych gościnnych salach.

K. Winkler.

K S I A Ż K I

Pola Gojawczyńska: D z i e w c z ę t a
z N o w o l i p e k. 2 t. Warszawa, Rój.
1935.

Kwiryna, Janka, Bronka, Franka, Cechna... Dziewczęta z Nowolipek! Jest w tej nowej powieści Poli Gojawczyńskiej jeszcze z pół tuzina dziewczynskiego drobiazgu — oczywiście wszystko na udrękę matkom. Matkom z suteryn, z warsztatów i sklepików, mężatkom i wdowom. Matki się zresztą nie liczą. Gotują, piorą, szyją i cerują, są bite i porzucane przez mężów, wyłażą ze swej uwędzonej przy kuchni skóry byle zdobyć bochenek chleba lub garnczek zupy. A gdzie jeszcze przyodziewek, buty, wpisowe do szkoły?... To je tak pochłania, że się nie liczą. Są jak ziemia, której jedynym zadaniem jest odchować, odżywić wydaną latorośl, by wyrzłała czempredziej z suteryny na słońce i błękit.

Pysnie maluje Gojawczyńska środowisko wyrobników, łyczków, drobnych rzemieślników, biedoty wielkomiejskiej. Ile uciążliwych i ciepłego humoru włożyła w rodzinę Mossakowskich! Ojciec stolarz - artysta ze swym tragicznym romansem, zalatana wiecznie matka, syn muzyk ze świadectwem progimnazjum w kieszeni i świadectwem strajku szkolnego na twarzy w postaci blizny od kolby karabinu, dorosła córka śpiewaczka podobająca się bogatemu panu, córki młodsze, które też się będą podobać, czeladnicy, kiszka odsmażana w niedzielę na śniadanie, „gorzkie żale” przybywające na usta mieszkańców tych izdek raz w rok około Wielkiej Nocy, patriarchalne zwyczaje, obrzędy i zabobony. Świetny jest w swej naiwnej grozie magiczny sposób wyszukiwania złodzieja wśród domowników, polegający na tem, że wkłada się zwyczajny klucz do książki do

nabożeństwa i obchodząc wkoło wszystkich uważa, przy kim on zadrga... (To patriarchalne różdżkarstwo przypomina nam trochę „Dziurdziów” Orzeszkowej). Ot, i całe życie Mossakowskich. Prawda: jeszcze szal matki. Matki się nie liczą, jak już powiedziano wyżej, ale ważne bywają ich szale, dobywane z szuflad w brzemiennej chwili rodzi-ny: kiedy syna wyrzuca ze szkoły, kiedy dla córki przyjdzie wyżebrać pracę lub gdy mąż umiera w szpitalu. „Znów szal jedwabny wywłóknął się z szuflady, niczem cień strapienia i smutku”.

Całkowicie w taki szal, w dodatku wdowi, otulone jest życie drugiej rodziny, pani Raczynskiej. Pani Raczynska—to swego rodzaju arcydzieło, przedziwna mieszanina, na którą się składa przeczulony honor biedy i upodlenie, bigocja i ślepotą moralną, cichość i tupet, zdanie się na wolę bożą poparte wszakże niewybredzającą w środkach skrzętnością. Mysz kościelna — to mało, to uczucio-wo za słaba nazwa. To zagłodzony szczur z kruchty. Szczurom się dużo wybacz. zwłaszcza gdy mają gromadkę młodych do wyżywienia. Pani Raczynska jest mistrzowsko utrzymywana do ostatniej stronicy.

Powściągliwymi rysami zaznaczono epokę—suknie z szczołeczkami, panny z fluksjami, Barbara Ubryk w zeszytach i Rostand, majówki na Bielany z harmonją. Oszczędnie występuje tło społeczno - polityczne: strajk szkolny, rusyfikacja, tajne komplety. Dziewczęta wysypują się z izb. Wstępują na nowe drogi. Nieszczęściem, drogi te prowadzą na Marszałkowską.

Z Nowolipek na Marszałkowską to nie jest jeden łatwy skok. Nawet dla młodych nóg, ba! nawet dla ładnych dziewczęcych nóg w jedwabnych pończochach. To szmat drogi — w znaczeniu psychicznym. Wyjście ze

swej sfery dokonuje się przez rozbicie, przezwyciężenie tradycji, w której się wzrosło i która była niezawodnym oparciem dla rodziców, czyli przez podkopanie sobie jakiegdyś gruntu pod nogami. Stare formy życia padają, a nowe jeszcze się nie stały taką zwykłą swoją skórą, w której się człowiek najlepiej czuje.

Jest to problem nuworiszostwa kulturalnego. W literaturze skandynawskiej Knut Hamsun rozważał sprawę wykoślenia się chłopów, którzy wywędrowali na łatwy, biały chleb do miasta. W powieści Gojawiczyńskiej marnieją elementy proletariackie i drobnomieszczańskie, które w życiu na Marszałkowskiej dostrzegają przede wszystkim blichtr: mieszkanie z marmurowymi schodami, suknie od Hersego, no i miłość. Lećciutko prześmiewaną Kwirynę ratuje rozsądek i przyziemność, brak aspiracji, to, że pozostała w sklepiku na Nowolipkach. Gina te z aspiracjami.

Tragedja dziewcząt z Nowolipek nie jest zupełnie zrozumiała. Przemysłnie wplata autorka w szczególnie nieprzychylny dla tych dziewcząt zbieg okoliczności. Wybucho wojna, nastaje nędza, rodziny się rozpraszają, huczy wielki młyn dziejowy. Powieści jednak nie wychodzi to na dobre. Pisarka wypuściła z rąk dobrze znane i głęboko przeżyte środowisko, akcja przenosi się na szerokie wody, schematyzuje się; traci zwarłość. Nasylenie barw błędnie, występują tony uczuciowe. Wspaniały epicki dystans z pierwszej części ustępuje miejsca rozgorączkowaniu.

Pod koniec Gojawiczyńska znowu bierze w swe ręce powieść. Rozluźnienie powieści zostaje powetowane przez ostry finisz. Wyścig się zaczął na Nowolipkach. Metą miała być Marszałkowska. Kwiryna ocalała. Albowiem umiała się w porę wycofać. Amelka dużo ma w sobie z swej matki, pani Raczyńskiej, więc zapewne urządzi sobie przyzwroicie życie ze starym aptekarzem. Janka, Cechna, Bronka padają. Najbliższa celu Franka łamie się i ginie. Najwięcej chyba wzrusza tragedia Bronki, co nie chciała się doczekać powrotu swego chłopaka na czele oddziału legionów. Franka—dziecko sutyryniane i bezrodzicielskie obdarzone talentem pisarskim, jest zdaje się bardzo umiłowana przez autorkę, gdyż wokół tej postaci grupują się najpiękniejsze epizody. — Franka ze swej sprawy niepotrzebnie chce zrobić coś jakby sprawę odpowiedzialności społecznej za los dziewcząt z Nowolipek. Franka deklamuje. Tragedji dziewcząt należy szukać w nich samych i — losie. Bohaterki padają.

Pomijam ten drobiazg, że najczęściej na łóżko w jakimś kawalerskim pokoiku. Wojna i nędza zbyt niewinnie zostały naszkicowane, żeby na nie zwalić wszystkie dziewczęńskie nieszczęścia. Bronka i Alisia są świadectwem czegoś wręcz przeciwnego. Żadna też „Poradnia“ nie zapobiegłaby nieszczęściu Cechny. Są różne tropy w tej książce — nie brak społecznych i nie brak feministycznych. Nie należy jednak zbyt zawierzać pozorom. Nienapróżno autorka wygrywa w finale—Los. Nie mówimy w fatalizmie, lecz o losie człowieczym. Urodzić się na Nowolipkach czy Marszałkowskiej to również los — może nie ten gówny, metafizyczny — ale zawsze dość poważny, społeczny i nawet biologiczny los.

„Strach i dół i sidło nad tobą“. Biblijna groza oraz ogromna ludzka bezradność tego wersetu dziwnie harmonizują z magicznym poglądem na świat, jakiemu hołdują dziewczęta. Ow magizm i wola cudów, wzrosły z chwilą wyjścia z Nowolipek. Dziewczęta zatraciły podstawowe cnoty swych przodków: realizm i przedsiębiorczość. One nie idą z losem na udry. Najlepsze z nich poprzestają na szantażowaniu losu i swą cnotą. Słyszymy jakby groźbę pod adresem życia: „zapamiętaj sobie, jeśli mego porządku prowadzenia się nie nagrodzisz mężem albo estetyczną posadą — to się puszczę!“ Jest to typowo magiczne myślenie i zupełnie rzecz prosta bezsilne wobec faktów życia.

Artystycznie doskonale wygrała autorka te elementy. Przez wydobycie pierwiastków irracjonalnych — pozornie paradoks! — rozwiązanie stało się bardziej prawdopodobnem. Otworły się nagle jakieś dalekie przymglone widnokręgi. Tak jakbyśmy zajrzeli na mgnienie oka w ostatnie ciemne okno życia — to z Franczynego „ćwiczenia stylistycznego nr. 1“.

„Dziewczęta z Nowolipek“ — to nowy etap w twórczości Gojawiczyńskiej. Ujmuje w nich podawnemu prostota, uderza ta sama co w innych utworach znajomość niższych warstw społecznych. Nowe zdobycze — to wyzbywanie się metody szkicownikowej (szkoda, że tylko w pierwszej części), fala humoru i większy stopień dramatyzacji. Chcąc ustalić najzupełniej obiektywnie, która z książek Poli Gojawiczyńskiej najwięcej mi się podoba, która najwięcej mi skradła serca, ustawiłem je wszystkie w rząd na stole, włożyłem klucz od bramy do biblii Wujka (wyd. z 1821 r.) i pilnie uważałem, według wypróbowanej recepty pani Mossakowskiej. Słowo daję, zadrgałem nad „Dziewczętami z Nowolipek“!

Wacław Kubacki.

Jalu Kurek: Grypa szaleje w Naprawie. Warszawa, 1935. Gebethner i Wolff, s. 274.

Powieść Kurka jest przygodą rasowego liryka na niebezpiecznym dla poetów powieściowym gruncie. Jest to wprawdzie trzecia powieść Kurka — nie licząc montażowej zasadniczo „Mount Everest 1924” — lecz dotąd przyrodzony liryzm i metaforyzm jego znajdował ujście w równocześnie pisywanych wierszach. Obecnie odmieniły się role: w wierszach Kurek wysprzedaje resztki swych poetyckich, bardzo metaforycznych początków (połowa wierszy zbioru „Mohigangas” pochodzi z 1925 r.), natomiast w najlepszej jego dotychczasowej książce krzewi się najczystszy gatunku liryzm.

Podkreślamy to z miejsca, ponieważ z przeoczenia, że powieść ta jest tworem przedewszystkiem poety i to poety o pewnym charakterystycznym typie wzruszeń, wyniknęła znaczna część polemiki jaką „Grypa w Naprawie” wokół siebie wywołała. Pomijamy prostackie doktrynerstwo: dlaczego pan nie jest marksistą, skoro ja nim jestem, dlaczego nie zrobił pan agitki z swojej powieści; zwrócić uwagę tylko chcemy na charakterystyczne i niezależnie od powieści tej słuszne sądy pisarzy lepiej wieś znających, niesłuszne jednak i też, choć w mniejszym stopniu, doktrynerskie, gdy stanąć na stanowisku samej powieści, gdy nie przychodzić do niej z urobionymi gdzieindziej żadaniami, lecz poprostu przeczytać i powiedzieć, co w książce Kurka jest a czego nigdy być nie mogło. Myślę o pomieszczonych w „Prosto z mostu” recenzji Wojciecha Skuzy oraz ciekawym „Liście z żywej Naprawy” Antoniego Olchy. Zażądano mianowicie od Kurka obrazu wsi od strony pracujących w jej kulturze i polityce ludzi, obrazu budującego i ukazującego wiejską „pracę od podstaw”, zapominając, że są to żądania sprzeczne z najskromniejszą wolnością artysty i że z równą słusnością logiczną możnaby zarzucać wymienionym pisarzom chłopskim, że nie opiewają nędzy wiejskiej, lecz polityką klasową wiejską. Z równą słusnością, albowiem nie wolno żądać od artysty tego, czego on robić nie chce i co ważniejsze, czego robić nie może, z przyczyn, w jakie wejść należy.

Kurek bowiem pozostał w powieści swojej tylko lirykiem. I to lirykiem gatunku, jaki on zawsze najlepiej wyrażał. Jest to liryka, którą możnaby nazwać agitacyjno-programową, o silnym zamiarze celowego wzruszenia czytelnika. Liryka przecież to zarówno

wzruszanie, co wzruszanie się, mamy poetów, którzy atakują czytelnika i pragną świadomie wzruszać go, rozzdwoić, mamy innych, którzy raczej wzruszają się i sami drżą w ukryciu (Słonimskiego „Patos”: — „Rozedrgany nerwami, Krwią pisany i łzami, Jest ten zimny dytyramb klasyczny. Jak płaszcz czarny, falisty, Strofy patos kwiecisty Kryje mych ust drżenie niezdrowe”). Kurek należy do poetów pierwszego rodzaju: opłecenie tmatu dużą wylewnością retorską, gdzie jest niewątpliwy akcent wzruszenia własnego i przeżycia, lecz akcent nie po to istniejący, by siebie wyrażać, lecz by brać czytelnika, by moment lirycznej autentyczności początkowej ludzi, że autentyczny jest cały gest, cała celowa panorama metafor. W tej poezji jest wzruszenie na widok udanego gestu, pięknej tyrady, przekonującego opiewalstwa, które rodzi lub zastępuje wzruszenie dla samej rzeczy tyradą czy gestem wyrażane.

Wracając do „Grypy w Naprawie” stwierdzić musimy, że takim właśnie lirykiem pozostał on w osłonie prozy. Nie doszło do tego niespodziewanego odkrycia w poecie tajnych rezerwuarów, jakim dla miłośników Wierzyńskiego stały się „Granice świata”. Kurek pozostał sobą. Choć pogłębiła się i dojrzała jego zdolność wzruszania się, zachował on całą swą skłonność celowego wzruszania czytelnika poprzez dobrą robotę słowną. Zajmijmy się najpierw tem pogłębieniem liryzmu, powiedzmy z miejsca: biernego, aperceptywnego. Z niego wyniknęły cechy tej powieści, ściśle biorąc niebardzo powieścią będącej, lub przynajmniej tem, co zwykliśmy do tej szufladki wkładać. Dlatego przynajmniej, bo z nowym schematycznie utworem krytyka winna postępować jak zoolog z nową odmianą gatunku: nadać jeden więcej przymiotnik przy nazwie, nigdy zaś z niechęcią wymyślenia nowego przymiotnika nie wnioskować, że odmiana jest zła... — Zatem nie bardzo powieść, nie mamy bowiem ani ciągłości akcji, poza czysto zewnętrzными momentami (wyjazd Zygmunta i Andrzeja do Jordanowa, Hanki do Naprawy), ani tem więcej rzuconej na to tło ewolucji wewnętrznej ludzi. Ani śladu znajomości czy umiejętności postawienia przeżycia wewnętrznego, póki nie jest ono pretekstem lirycznym. Ludzie są tak samo ważni jak drzewa, jak zachody słońca, jak gwiazdziste noce, ważni tylko gdy się da z nich wycisnąć liryczną esencję. Świat cały jest niezróżniczkowaną plazmą, z której emanuje wzruszenie, nie liczące się z tem, czy rodzi się ono z ludzi, czy z rzeczy, z wspomnień

czy zdarzeń. „Na drugi dzień byli w kinie. Kasjerka (Zenka) zeszła ze swej placówki i siedziała na ostatnim krześle przy drzwiach, gotowa każdej chwili do zerwania się. Na ekranie Greta Garbo załamywała cudowne ręce, mdlała w akompaniamencie zmysłowej muzyki. Potem skończyło się a potem znów zaczęło się. Greta Garbo spalała się po raz niewiadomo który w żarze namiętności, noszącej na taśmie widoczne ślady częstego używania. Równocześnie z akcją filmową — ciała niebieskie w starożytnych konstelacjach rozwijały swój pobladyty szych, a dołem niosła się ciężka wilgoć od ziemi” (s. 149 — 150). „Od dołu rozszadzało ziemię wściekłe, lodowate zimno. Księżyc błądliwy wydostał się na gałęzie i przeżeglował po niebie, tężając w świetle i wyraźniąc w chłodzie. To były pierwsze podmuchy nędzy. Dużo takich wiatrów powiało. Chłopi bardziej oświeceni zbierali się w gromadki i opowiadali szeptem, że byli więźniowie brzescy wydali manifest zapowiadający rewolucję na najbliższe tygodnie” (s. 175).

Ten liryczno-opisowy synchronizm stanowi główną cechę artystyczną książki Kurka — świadczy o wspomnianym rozszerzeniu się zdolności wzruszania się, o objęciu nią i połączeniu w jedność wzruszeniową płaszczyzn bardzo dalekich. O tem też świadczy i z tem się wiąże kompozycja powieści, słusznie przez Breitera nazwana już nie impresjonistyczną, lecz pointylistyczną. Powieść, jak pewien utwór w „Mohigangasie”, jest liryczną „kompozycją wieloplanową”, jak tam poeta kłui „glebę nocy przeraźliwemi snami”, tak tutaj rozmaitość wiejskiego i prowincjonalnego życia nakłuiwa sondą liryczną. Sonda natrafia ustawicznie na jedną warstwę zaskórnią: nędza, małość, ograniczenie, próżne marzenia, choroba i śmierć. Nawet w erotyzmie jest tutaj ogłuszająca beznadziejność, potrzeba świadomie wzniesłego zakrzywienia pustki wewnętrznej — ta, jaką odnajdywaliśmy w Zbigniewa Grabowskiego „Ciszy lasu i twojej ciszy”.

Skąd taki właśnie dźwięk tej lirycznej kaskady? Pamiętać należy, że liryzm jako wzruszanie się to jednak funkcja bierna. To jest zawsze, jak w wierszyku Boya ziarno piasku, które potąd drażni bierną muszlę, aż wyjdzie perła. Zwłaszcza kiedy mamy do czynienia z przedmiotem zasadniczo obcym nam, który jednak obejmujemy wzruszeniem, ten pasywny charakter liryzmu gwałtownie się uwidatnia. Tak zaś jest ze stosunkiem Kurka do chłopca i do wsi. Kurek ze wsi nie wyszedł i trudno u niego o czynną i przetwórczą postawę, jaka rozpoczyna się dopiero

z chwilą okiełzania wzruszeń. Kurek nie widzi zagadnień wsi od wewnątrz, od tej strony, gdzie działacze i poeci przewyciężywszy już to wzruszalnictwo, przetopili je na prągnięcie i cel; że część chłopska dzieje się w Naprawie, gdzie wychodzi „Wieś i jej pieśń”, a jako całość obrazu wsi ukazuje tylko nędzę Naprawy, to pomyłka równie niedopuszczalna, jak powieść o Krakowie, któraby tylko opowiadała o Kazimierzu i nocnych scenach na plantach. Tu możemy nawrócić do chłopskiej krytyki powieści: obiektywnie krytycy ci mają rację lecz mieć ją przestają, gdy lepiej posegregować wartości „Grypy w Naprawie”. Kurek nie jest i nie będzie pisarzem wsi obecnej, jego poziom zagadnień równa się jeszcze „Komornikom” Orkana, ale też nie o tę sprawę w powieści jego chodzi. Ten bierny liryzm w stosunku do wsi obecnej możemy odrzucić, ale musimy pamiętać, że pisarz ma do niego prawo, jak ma prawo do każdej innej postawy. Z chwilą zaś, kiedy dostrzegliśmy, z czego to prawo wywodzi się, musimy pisarza zrozumieć i rozgrzeszyć, choćbyśmy nie mogli wybaczyć.

Pozostaje druga strona liryzmu Kurka, bardziej dla niego znamienita. Wspominana skłonność celowego wzruszania czytelnika. Chłopska strona książki pisana jest wyraźnie z tym zamiarem. „Z nędzy trzeba robić niebo... Lecz kiedy nastąpi mobilizacja dołu przeciw górze, to znaczy przepowiadane przez proroków wniebo- i wpiekło-wstąpienie, — wstanie Naprawa, skuta w lutowy mróz, pobita żywiołem, kupiona ciałami nędznych nieboszczyków — i pójdzie prosto w niebo. Jeżeli jest niebo — niebo jest dla Naprawy.” — Zarzucić łatwo niedostatek tej lirycznej agitacji. Powiedzieć, że jest klasowa i faszystowska, bo nieokreślona i łatwo bez zobowiązań pisać się na nią. Jest to niestety wielki niedobór wszelkiej poezji. Inwokacja podobna, ujęta w rymy, pozostawiała by ten sam niedobór, lecz nie dostrzegalibyśmy go — wprost przeciwnie, uznawalibyśmy, że w takiej szczerzej nieokreśloności jest jedynie możliwa programowość poetycka. Takich bezpośrednich zwrotów agitacyjnych jest szereg: wywodzą się wszędzie prawie z charakterystycznego dla Kurka świadomie wzruszonego napięcia słownego, z gestu obliczonego na efekt liryczny. Musimy uznać dużą szczerzość tego retorstwa. Te strony powieści, gdzie Kurek wzrusza się wsią i chłopem, choć dobrze napisane, nie są nowe i obowiązujące, te zaś gdzie wzruszać pragnie, oceniamy wyżej: Jest to nowy, choć prozaiczny „śpiew o Rzeczypospolitej”.

Mniej (za wyjątkiem Irzykowskiego) pod-

kreślano inną stronę powieści. Opowieść o losach Zygmunta i Andrzeja, Zenki i Hanki. A jednak tutaj tylko autor czuje się naprawdę u siebie. Tylko tym ludziom pozwala więcej mówić, tylko ich zna lepiej i indywidualizuje, a nie traktuje jako bierną masę nędzy i choroby. Patrząc z normalnie powieściowego stanowiska, na którym żądamy akcji i charakterów, „Grypa w Naprawie” — to przecież powieść prowincjonalna o inteligentach, z wstawkami lirycznymi na tematy chłopskie. Powieść o graniczącym z wsią prowincjonalnym miasteczku. Przypominać trzeba, że ta część powieści napisana jest najlepiej, ale niepokojąco. Niepokojąco z dwóch przyczyn: miasteczko prowincjonalne (Jordanów) ukazane zostało w koszmarnej nudzie, śmieszności, nacisku plotkującej opinii, bezwładzie kulturalnym — niepokojące jest to, że wielka część miasteczek polskich istotnie taka jest. Historia spłócenia domu gospodyni Zenki i Lili jest tych stosunków symbolicznym wprost wyrazem. Bardziej niepokojący jest nakreślony na tem tle stosunek młodych inteligentów do siebie i swej przyszłości. Nie słychane ośpienie i przytłoczenie, pesymizm, który nie jest przetworczy, lecz zrezygnowany i pogrążony w ochłapach marzeń, w beznadziejnym czekaniu na lepsze coś. Znowuż, niestety, z stosunkiem wielu młodych do życia tak jest i obraz Kurka jest niepokojąco trafny, jak te oto słowa Zygmunta: „Urodziłem się przed wojną i dojrzałem wśród pogłosów bitew, przewrotu i nędzy. Dziś wszyscy mówią o rozbrojeniu, o pacyfizmie, o końcu kapitalizmu oraz o wojnie gazowej w przyszłości. Dla nas niema miejsca. Ten kraj jest piękny. Polska będzie żyła długo, ale my umrzemy wnet, nie zdążywszy się wypowiedzieć”. Jedynym ratunkiem tych ludzi, jak jedyną poza wspomnianymi apostrofami szczerą ucieczką uczuciową pisarza jest erotyzm. Nie miłość, tę mamy dopiero w pięknych scenach między Zygmuntem a Zenką, choć i one drażnią nieproporcją między ośpieniem na wszystkie, przecież istotniejsze, sprawy świata a tem zagłuszającym spalaniem się. Nie jest to również t. zw. rozpusta, lecz niezdrowe skoncentrowanie uwagi na sprawach płci, jako narkotyku, którym usypia się wzburzoną świadomość. Co gorsze, ten erotyzm rozwłókł autor również na wieś, w sposób nieraz rażący i sprawiający, że nie możemy go przypisać jego postaciom tylko, lecz jemu samemu. — W całości więc ta dobra, gdy o wartości powieściowe chodzi, część książki źle wypadła, gdy o wartościach ogólnych

myślimy. Czujemy bowiem, że mimo całego szlachetnego liryzmu Kurek to właśnie ktoś pokroju psychicznego Zygmunta i Andrzeja, z ich brakiem jasnego spojrzenia na świat, brakiem spoiwości wewnętrznej, bezużytecznym marzycielstwem, niemięskim erotyzmem. Jako obraz postawy życiowej wielu młodych jest to obraz trafny, lecz pozbawiony wartości na przyszłość i skazany na przewyżczenie. Życzymy pisarzowi, by przewyżczenia tego dokonał.

Autorowi zatem wyrządzono złą przysługę, wmawiając, że jest piewca wsi współczesnej. Takiego w powieści jeszcze nie mamy. Może nim będzie w trzeciej swej powieści Kruczkowski — może Kurek jedynie swej ciągle trwającej postawy poetyckiej spróbował na temacie szerszym nad przygodne wybiegi liryczne. Pod jego liryczne opiewalstwo, traktujące temat jako pretekst do pięknie wruszającej agitacji słownej, doskonała nadała się ta wieś okrojona z żywości, z nadziei i przyszłości. Przygoda Kurka jest całkiem osobistą przygodą poety, który zapomniał, że na szerokim polu powieści, gdzie rządzą inne perspektywy i wymagania, pociągnie go się do odpowiedzialności za to, co nie jest jego wadą ani krótkowzrocznością, lecz poprostu właściwością talentu pisarskiego, którą trudno przewyżczyć, gdy jest naturalna i szczerza. Lecz my, stwierdzając, że właściwość ta pozwoliła mu na bardzo niepełny obraz wsi, i życząc wyjścia poza krąg biernego liryzmu, widząc całą nieprzystatność tej postawy duchowej, jaką w osobach swych bohaterów inteligentkich Kurek najlepiej odczuwa, stwierdzmy to tylko bez wniosków, w nadziei, że pisarz będzie umiał się z tego wyzwolić.

Kazimierz Wyka.

Pamiętniki chłopów. Instytut Gospodarstwa Społecznego, Warszawa, 1935; str. XLII + 718.

Podobnie jak wydane parę lat temu przez Instytut Gospodarstwa Społecznego „Pamiętniki bezrobotnych”, tak i „Pamiętniki chłopów” obejmują tylko niewielką część materiału, znajdującego się w posiadaniu Instytutu. Oczywiście w warunkach naszych jest rzeczą niemożliwą marzyć o wydaniu blisko 500 prac rękopiśmiennych, które zgromadził ogłoszony we wrześniu roku 1933 konkurs na pamiętnik chłopu. Siłą rzeczy musiał się też Instytut ograniczyć do ogłoszenia części swych materiałów, pozostawiając dostęp do reszty specjalistom - badaczom. W tych wa-

runkach jest rzeczą ważną wyraźnie sprecyzowanie kryteriów, jakimi kierowali się wydawcy, kwalifikując dane pamiętniki do druku. Niestety sprawa tych kryteriów nie została jasno postawiona i, jak to zwykle bywa we wszystkich konkursach, pierwszorzędne znaczenie miało tu uznanie tej czy innej pracy „za najlepszą”. Tu skolei powstaje zagadnienie kryteriów, jakimi sąd konkurso- wy kierował się przy takim uznawaniu. Kryteria te mogą być różnej natury i różne punkty widzenia mogą tu decydować. Tak np. praca wybitna z punktu widzenia kryteriów literackich może być mało ciekawa dla socjologa, a nieudolnie wyrażony, drobny rozmiarami fragmentek może być bardzo interesujący dla takich czy innych badań naukowca. Sprawa kryteriów wyboru nie została w wydaniu Instytutu Gospodarstwa Społecznego jasno postawiona i można suponować, że w dużym stopniu kierowano się tu względami istotnymi dla społecznika, reagującego na cierpienia wsi, w mniejszym zaś stopniu liczono się z wymaganiami badacza-socjologa.

Niemniej jednak „Pamiętniki chłopów” dostarczają wiele ciekawego materiału socjologicznego. Odtwarzają się bowiem w nich przeobrażenia wsi dzisiejszej, wypowiadają się nastroje, jakimi ta wieś żyje, prądy, które ją nurtują. Oczywiście jest to materiał z którym należy obchodzić się niezmieennie ostrożnie. Nie można też na podstawie jego budować zbyt łatwych uogólnień ani wyciągać zbyt prędkich wniosków praktycznych. W każdym razie jest to materiał interesujący, który wiele wnosi w wiedzę naszą o stanie i przeobrażeniach wsi dzisiejszej.

Piszący reprezentują różne zakątki Polski. Pamiętniki ogłoszone pochodzą z 10 województw, przyczem najwięcej dostarczyły ich województwa Warszawskie, Łódzkie i Lubelskie. Pod względem sytuacji socjalnej piszący reprezentują różne środowiska, odpowiadające daleko posuniętemu zróżnicowaniu społeczno - gospodarczemu wsi polskiej. Mamy tu bogatą skalę od właścicieli wielomorgowych gospodarstw aż do małorolnych i bezrolnych. Interesująco też przedstawia się zagadnienie wieku piszących. Jest to młodzie, która weszła w życie już w Polsce niepodległej, są ludzie dojrzały, mający za sobą udział w wojnie światowej, mamy kilku starców, którzy wspomnieniami swemi sięgają prawie czasów pańszczyźnianych. Te różnice wieku pamiętnikarzy dają nam ciekawą materiał porównawczy, mówiący o różnicach w sposobie reagowania na rze-

czywistość różnych pokoleń wiejskich. Łączy się z tem i zagadnienie stosunku wzajemnego starych i młodych, ciekawie zaznaczające się w kilku pamiętnikach.

„Pamiętniki chłopów” umożliwiają badaczowi przynajmniej postawienie szeregu problemów badawczych. Poza wymienionemi powyżej występują tu takie zagadnienia, jak problem oddziaływania miasta na wieś i sprawa wpływu wzorów kulturowych wiejskich, jak zagadnienie stosunków przestrzennych w świecie wiejskim na tle rozgrywanego się kryzysu, jak problem stosunku do państwa, do kościoła, do innych środowisk społecznych. Rzecz jasna, ilość tych problemów może być znacznie powiększona.

Przedewszystkiem jednak występuje problem kryzysu. Prof. Krzywicki w swej pięknej przedmowie powiada, że „pamiętniki, które miały być wizerunkami życia chłopów w różnych okazjach miejsca i czasu, stały się nade wszystko pamiętnikami chłopów w okresie kryzysu”. Widzimy tu z jednej strony, jakie rzeczowe przeobrażenia kryzys wnosi w obiektywną rzeczywistość świata chłopskiego, a obok tego zarazem, jak świat ten widzi kryzys, jak nań reaguje. Otrzymujemy tu materiał tak plastyczny, że umożliwia on nam wyprowadzenie pewnych uogólnień, niewątpliwie zasadniczo nie odbiegających od rzeczywistości.

Otóż można powiedzieć, że wieś polska przeżywa dziś okres bardzo potężnej rewolucji. Procesy rewolucjonizujące wieś rozpoczęły się już wiele dziesiątków lat temu wraz z coraz silniejszym przenikaniem na wieś elementów gospodarki kapitalistycznej. Był to okres wielkich przewarstwowień wsi, przemowienia przez nią nowych wzorów kulturowych, nieraz radykalnie przeobrażających dawne stosunki. W pamiętnikach starszych chłopów momenty te występują niejednokrotnie. Później przyszła wojna światowa, która przyniosła nie tylko zniszczenie materialne, ale i głębokie wstrząsy społeczne, które również dadzą się określić mianem rewolucji. Wkrótce po wojnie nadeszły dla wsi lata wyjątkowej pomyślności. Był to okres inflacji i wysokich cen na produkty agrarne. Wieś, a szczególnie jej część zamożna, stanęła wtedy na nogach. Dawne długi zostały spłacone, stan posiadania zwiększył się, porobiono szereg poważnych inwestycji. Wszyscy pamiętnikarze stwierdzają, że był to dla nich okres dobrobytu, znacznego podniesienia się materialnego. Zresztą nie tylko materialnego. Albowiem w owych latach szczęśliwych również zachodziły na wsi przemiany bardzo głębokie. Wyraźnie pod-

nosiła się stopa życia kulturalnego, budził się pęd do czytelnictwa, silne było zainteresowanie sprawami politycznymi, rozwijały się związki i stowarzyszenia różnego typu. Wieś kształciła swe dzieci, posyłała je do seminarjów nauczycielskich, gimnazjów i na wyższe uczelnie. Wielu pamiętnikarzy wyrażnie o tem mówi.

Ten okres dobrobytu wytworzył swoistą postawę optymistyczną, wiarę w przyszłość. Tem też boleśniej zostało odczuwane załamanie gospodarcze. W okresie pomyślności chłop zaciągał pożyczki, które zużywał głównie na cele inwestycyjne, a tylko w małym stopniu na konsumpcyjne. W dobie kryzysu zobowiązania te stały się dla niego przekleństwem. I kryzys przyniósł nową rewolucję, może jeszcze gwałtowniejszą od poprzednich.

Gdy porównujemy „Pamiętniki chłopów” z „Pamiętnikami bezrobotnych”, jedno rzuca nam się w oczy. Autorowie „Pamiętników bezrobotnych” to w większości swej bezrobotni w stanie permanencji. Ich sytuacja życiowa da się określić w sposób następujący — bezrobotni, którzy od czasu do czasu znajdują zajęcie. W dużej ilości wypadków czas bezrobocia znacznie przewyższa u nich czas pracy. Pociąga to za sobą daleko idące konsekwencje psychiczne, które wyrażają się w stanie krańcowej depresji, apatii, utraty wiary w przyszłość i w życie. Jest to ów słynny obraz permanentnego bezrobocia, który w literaturze naukowej ma swe klasyczne opracowanie w słynnej monografii o bezrobotnych z Marienthalu. Obraz wsi, dotkniętej przez kryzys, różni się jednak od obrazu rzeczywistości bezrobotnego proletariatu fabrycznego czy miejskiego. Kryzys dla chłopów zaczął się dopiero w r. 1929, a w postaci tragicznej wystąpił około r. 1931. Przedtem był okres znacznej pomyślności, odczuwanej jako wyraźne wznoszenie się ku górze. Stąd też dysocjacja psychosocjalna chłopów nie jest tak daleko posunięta, jak u bezrobotnego. Mamy tu do czynienia z

pauperyzacją materialną, która jednak nie dała jeszcze takich rezultatów moralnych, jakie mają miejsce wśród proletariatu miejskiego. Stąd też zdolność odczuwania i reagowania chłopów jest znacznie silniejsza. Boleśniej odczuwa on klęskę, jaka go spotkała, ale nie chce z nią się pogodzić, zajmując postawę bojową, a nawet rewolucyjną.

Na tem tle wyrasta pogląd chłopów na dzisiejszą rzeczywistość społeczną, polityczną i gospodarczą. Oczywiście w poglądzie tym znajdujemy odgłosy tych czy innych stanowisk politycznych, które przez gazetę, książkę i zebranie docierają na wieś. Ważne jest to, co chłop stąd bierze i w jaki sposób urabia to, co bierze. Kryzys staje się dla niego siłą wroga i nienawistną. Jest on personifikowany w sekwestratorze, który ściągą podatki, w ziemianinie, księdzu, lichwiarzu, w inteligencie miejskim we wszystkich tych którzy na chłopów czyhają i z pracy jego chcą korzystać. Siłą wroga są kartele, które sprawiają, że wytworzyły się nożyce pomiędzy cenami artykułów przemysłowych a artykułów rolnych. Do wszystkich tych wrogów chłop odnosi się z nienawiścią i w słowach niektórych pamiętnikarzy rozbrzmiewają akcenty buntu wyraźnego, nieukrywającego.

Zabarwienie uczuciowe, jakie noszą wypowiedzi naszych autorów, sprawia, że znaczenie „Pamiętników chłopów” musi znacznie przekroczyć sferę zainteresowań ściśle naukowych. Są one w pierwszym rzędzie lekturą dla praktycznych polityków, którzy tak czy inaczej muszą stanąć wobec groźnej rzeczywistości życia dzisiejszej wsi. Te też względy praktyczne miał niewątpliwie na uwadze Instytut Gospodarstwa Społecznego, wydając „Pamiętniki chłopów”. Słowa naszych pamiętnikarzy brzmią nieraz brutalnie i niepokojąco. Ale też brutalny i niepokojący jest świat, który oni reprezentują. Trzeba z tego zdać sobie sprawę i umieć wyciągnąć stąd odpowiednie wnioski.

A. H.

Druk numeru ukończono 26 czerwca 1935 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83.

